



HISTORYA
O PRA-PRA-PRA... WNUKU
I O PRA-PRA-PRA... DZIADKU.

ИСТОРИЯ

ОТЪ ПЕРВЫХЪ ЛѢТЪ

ДО НАШЕГО ВРЕМЕНИ

Egz. archiwalny IBL

HISTORIA

O PRA-PRA-PRA... WNUKU

I O PRA-PRA-PRA... DZIADKU.

POWIEŚĆ

we Dwóch Częściach

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

—————
CZĘŚĆ PIERWSZA.

—————
PRA-PRA-PRA... WNUK.

—————
Tom I.

INSTYTUT
KADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. N 72

00-550

W I L N O.

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

Nakładem i drukiem Józefa Zawadskiego.

1863.

<http://rcin.org.pl> KAZIMIERZ BRU...



Za pozwoleniem Cenzury, 15 Września 1862 roku.
Wilno.

1245

<http://rcin.org.pl>

KAZIMIERSKI BRUNO

I.

Miałem— a może i jeszcze mam— stryjeczno-rodzonego brata, któremu na imię było Jan, a na nazwisko tak jak i mnie.

W powieści niniejszej opowiem jego życie, albo raczej, dzieje jego duszy i serca, w których, dziwnym sposobem, terażniejszość łączy się z odległą przeszłością. Zdaje się jakoby życie jednego i tegoż samego człowieka rozdzieliło się na dwa momenta, oddalone od siebie dwoma i pół wiekami. Zdaje się również, jakoby życia dwóch ludzi złączyły się ze sobą w czasie, w taki mniej więcej sposób, w jaki w przestrzeni, za pomocą telegraficznego drutu, łączy się jeden punkt ziemskiej powierzchni z drugim. Jak na dwóch końcach drutu, dwie maszynki odpowiadają sobie wzajemnie i jednako-wo, a drut służy im za przewodnika i łącznik, tak na dwóch końcach dwiestu pięćdziesięciu lat odpowiadali sobie: pra-pra-pra..... dziadek, Kuźma, i pra-pra-pra..... wnuk, Jan, a lata służyły im za przewodnika i łącznik.

Obok każdego podobieństwa musi istnieć i różnica, bez której podobieństwo zamieniłoby się na tożsamość.

niemożliwą pomiędzy dwiema maszynami, a nie dopiero pomiędzy maszynami a ludźmi.

Pomiędzy Kuźmą tedy i Jasiem, a telegraficznymi maszynami, zachodziła najprzód taka różnica, jaka jest pomiędzy czasem a przestrzenią: różnica wielka, niedopuszczająca działania odwrotnego, od pra-pra-pra.....wnuka na pra-pra-pra.....dziadka, ale żadna, a przynajmniej prawie żadna, w działaniu prostym, od pra-pra-pra...dziadka na pra-pra-pra.....wnuka. Różnica ta zależała jeszcze i na tém, że, aczkolwiek można człowieka porównać z maszyną, zawsze jednakże maszyna jest maszyną a człowiek człowiekiem. Na tego ostatniego, okoliczności, wśród których funkcjonuje, w większej liczbie i większej wpływają różności. A okoliczności— rzecz można— robią ludzi. Pod ich naciskiem ludzie stają się wielkimi lub małymi, dobrymi lub złymi, silnymi lub słabymi. Niejeden bohater, którego świat podziwiał, przeszedłby niepostrzeżony, nieznany, nieceniony, gdyby okoliczności nie wyprowadziły go z nicości i nie postawiły na widowni świata całego. Napoleon wielki umarłby może jakimś kapitanem od artylerji.

Okoliczności jednakże nie lada-komu służą. Potrzeba być najprzód przysposobionym do nich, a potem— chcieć i umieć z nich korzystać. W czasach np., kiedy napoleońska wschodziła gwiazda, cały horyzont ludzkości zasiał się wschodzącymi gwiazdami. A ileż-to tysięcy zgasło!.. ile zatrzymało się w pół drogi do zenitu!.. Przysposobienie przeto, wolę i umiejętność korzystania z okoliczności, zaliczyć należy do głównych różnic pomiędzy człowiekiem a maszyną.

Różnic tych znalazłoby się jeszcze więcej, gdybyśmy wglądnęli w istotę natury ludzkiej. Lecz nie tu miej-

sce zastanawiać się nad tem. Chodziło mi tylko o wstępne porównanie pomiędzy dwiema osobami, mającemi w opowiadaniu niniejszém wystąpić w roli podwójnego bohatera.

Wypada mi usprawiedliwić tytuł powieści. Postawiłem wnuka przed dziadem, jakby wbrew temu, co sam, o kilkanaście wierszy wyżej, powiedziałem o działaniu prostém i odwrótném. Trzeba przeto, ażebyście wiedzieli, łaskawi czytelnicy, że ja tu występuję w roli autora drugiej ręki, w części kompilatora, w części komentaryusztwórcy, nadającego całościowe kształty temu, czego pierwotnym a istotnym autorem był mój stryjeczny, Jan Jeź. Trzeba także, abym się przyznał zaraz na wstępie, że nie jestem zupełnie pewnym: czy Kuźma Jeź jest niezawodnie Jana (a zatem i moim) pra-pra-pra... dziadkiem. Z tego to powodu użyłem w tytule dyplomatycznego wybiegu. Po zgłoskach »pra-pra-pra« umieściłem kropki, dla oznaczenia, iż brakuje mi autentycznych dowodów, jako Kuźma Jeź jest Jana i moim przodkiem; a jeżeli jest nim rzeczywiście, to nie wiem— czy jako pra-pra-pra, czy jako pra-pra-pra-pra, czyli też, jako pra-pra-pra-pra pra-pra-pra?... Wątpliwość więc o przodku zmusiła mnie do postawienia na pierwszym miejscu potomka.

Wątpliwość ta pochodziła głównie ze źródeł. Rodzina Jeźów, która drzewa swego genologicznego nie ozdobiła krzesłami, buławami, ani pastorałami, nie posiada, o ile wiem, archiwów familijnych. Za źródła więc służyły mi: najprzód— osobista a bliska znajomość z Janem, a powtóre— szpargały, notaty, opisy i listy, po nim pozostałe. W nich odwołuje się on często do przeszło-

ści i zamieszcza nawet niekiedy wyciągi z relacyj jakoby owoczesnych, których nigdzie w druku nie zdarzyło mi się spotkać. Zkąd on je czerpał?— alboż ja wiem... We wszystkich jego pismach nie znalazłem ani jednego odsyłacza, ani najmniejszego odwołania się do źródeł. Może on tworzył, fantazyował... Ten ostatni domysł wydaje się bardzo prawdopodobnym, dla tego, że tak wyciągi jak własne jego pisanie bynajmniej nie różnią się pod względem stylu. Czy tak się z przeszłością utożsamili?.. Ale— nie: o tem wątpię;... prędyż można przypuścić, że dokomponował czego mu brakło.

Nie sędzę, aby wątpliwość pod względem prawdy, albo raczej dokładności historycznej, w jaką na samym wstępie podaję osnowę powieści, opartą na zapiskach brata Jana, miała Janowi zaszkodzić w opinii łaskawych czytelników. Przypuszczając bowiem, że wszystko co po nim pozostało jest skomponowanem, albo, wyrażając się dobitniej, zmyślonem, to to stawi go tylko na równi z powieściopisarzami, poetami, publicystami, którzy tyle piszą i drukują— a wszystko nieprawda. Jeżeli poetom, powieściopisarzom i publicystom zmyślanie żadnego na honorze nie zadaje szwanku, to spodziewam się, że i bratu Janowi zostanie ono przebaczonem. Dodaję jednakże, iż jak za prawdziwość jego podań nie ręczyłbym, tak również nie ręczyłbym że nie są prawdziwe. Może on je tylko na swój styl przerabiał, na swój język tłómaczył, a czerpiąc ze źródeł nieznanych, nieprzystępnych i uznanych powszechnie za wątpliwe, jakimi są np. ustne podania ludowe, zebrane w formy skazek, bajek, przypowieści, dum, pieśni, nie uważał za potrzebne odwoływać się do nich, tém bardziej, że pisał dla siebie, nie dla publiczności.

Z tego to ostatniego powodu— to jest, że Jan pisał dla siebie, nie dla publiczności— nie mogę pism jego po prostu przepisać i posłać do druku, a to dla tego, że: 1° gdybym szukał wydawcy, to z pewnością nie znalazłbym, 2° gdybym wydrukował własnym kosztem, to nie znalazłbym czytelników. Pisał bowiem, jakby stylistyki uczył się u pewnego korespondenta jednego z polskich dzienników: urywanemi, krótkimi peryodami, pomiędzy którymi nie było związku, których sam sens nawet bywał częstokroć zagadkowym. Zdawało się, jakoby on gardził stylem. A przypuszczając że tworzył, to tworzył nie tylko myśl, ale i składnię a nierzadko i same wyrazy, i rzucał je jedne po drugich, jakby brał z wielkiej kupy, nazywającej się mową ludzką, i porządkował na chybi trafi, bez wyboru, bez względu na przyzwoitość, na smak, na prawidła. Nie można więc było tego żywcem drukować.

Co jednakże w jego pismach było najnieznośniejszém, to to, że trudno było dojść w nich wątku i ładu. Arkusze, półarkusze, ćwiartki, świstki i udzierki, na jakich było wszystko rozrzucone, nie nosiły na sobie, ani numerów porządkowych ani dat, i nadto każdy kawałek przedstawiał oddzielną całość. Jan nie przenosił ciągu z arkusza na arkusz, z ćwiartki na ćwiartkę. Jeżeli zaczął na arkuszu, to na arkuszu skończył; zaczął na świstku lub kwitku, to na świstku lub kwitku skończył. A często oddzielne te, urywkowe utwory miały tę rzadką własność, że wszystko było jedno, czy czytać je z początku do końca, czyli też na odwrót z końca do początku, *notabene*, trzeba było czytać peryodami. Ale i w peryodach także, niektóre przedstawiały tę samą szczególność stylu i co do wyrazów. W tém brat mój

zbiegał się podobieństwem, jak z wyżej wymienionym korespondentem, tak z niektórymi z naszych rymotworców. W rymotworstwie jednakże uchodzi taka *licentia*, i bywa nawet niekiedy pożądaną, dla tego, że jeżeli nie rozczulić, to przynajmniej zabawić może czytelnika. W prozie wszakże bynajmniej nie jest na swoim miejscu. I pewny jestem, że pierwsza stronnica utworów mego stryjecznego brata zniewoliłaby czytelnika albo zaniechać czytanie, albo co gorzej, zasnąć. Dla próby umieszczę jeden z najmniejszych ustępów:

— »Gdzie tam!.. Byłoby dobrze, gdyby nie było źle. Chodzili i drobnostkami się nie kontentowali. Bo dobrze mówi przysłowie: *terpy kazacze, atamanem budesz. Ale, na did'każ terpity koły' na peréd znajesz, szo atamanom ne budész. Tak by te wonó bucim wychodyło, z tohó, szo lude każut. Vox populi, vox dei.* Słuchaj-że głosu ludzi!.. Zglupiejesz, spodlejesz, i zakochasz się w sobie. Kuźma był tego zdania: *luděj słuchaj a swij rozum maj...* Nie kiep był, co to wymyślił. Ale, to co innego. I ja bym tak potrafił, gdyby nie... et!.. bodaj to kroć-set-tysięcy-milionów czarci porwało!.. Tak, ha!.. Być głupim, nie sztuka. Być podłym, to tak łatwo. Głupotę tłumaczą przez niewinność, podłość przez konieczność! O, ty niewinny baranku, coś uznał konieczność!— zarzną ciebie, biedaku, z twojej skóry zrobią chodaki; twoje kości psom na śmiecisko wyrzucają; twoje mięsiwo zjedzą i strawią... Ale pierwej cię trochę podkarmią... Ciesz się tём, niewinny baranku... Wielkie pytanie: co jest głupota?.. *That is the question...*«

Cóżby z tego wynikło, gdybym taki orzech dał czytelnikowi do zgryzienia!.. gdybym mu ofiarował piętna-

ście, a może i dwadzieścia arkuszy papieru, zadrukowanego taką siekaniną myśli.

Zrazu, kiedy dostał się mi plik zapisek Jana, kiedy go rozwinąłem i przebiegłem z uwagą kilka pierwszych ćwiartek, zdawało się mi, jakby chory, półobłąkany umysł wytrząsł na nie bezładnie zapas myśli, które w chaotycznym nieporządku spoczywały w głowie. Każdemu to samoby się wydało. Ale ja znałem Jana. Znałem go lepiej jak samego siebie. Wiedziałem, że przy pozornym nieładzie, była nitka Ariadny, której się on trzymał, była pewna ścisła logiczność, która kierowała jego krokami, która mu, kiedy mówił, kładła w usta tyle jakiegoś męskiego, zwięzłego, jędrnego krasomówstwa, że nie można go było bez zachwycenia słuchać 1). Więc nie zraziłem się pierwszemi ćwiartkami. Odczytałem wszystko i— powiem prawdę— po pierwszym odczytaniu, powstał w głowie mojej taki jakiś szum, jakby mózg mój rozstrzępił się, rozpręcił na drobne włókna, i jakby temi włóknami strzępków i prętów jakiś wichur mიაł, skręcał i rozkręcał. Dziwnem to było; ale co było najdziwniejszem, to, że wydało się mi, iż stałem się o kilkaset lat starszym. Czułem jakbym ogromnie długo żył na świecie. Jakoś utożsamiałem się z przedmiotem, który z powodzi wyrazów, frazesów, niedokończonych i w pół wypowiedzianych myśli, występował jak płaskorzeźba. I gdyby tak pozostał, byłbym może stał

1) Tego rodzaju psychologiczny fenomen nie jest moją głową wymysłem. Kto był w Paryżu, mógł poznać p. C. N. Poeta, artysta, głęboki myśliciel, kiedy mówi, to go się nasłuchać nie można a słuchając go, można więcej skorzystać jak z książki; ale jeżeli co napisze, to ani weź zrozumieć.

się kontynuatozem Jana, a przynajmniej jakimś rodzajem adepta jakiegoś oryginalnego mistycyzmu, i to z tém większą łatwością, że zasady Janowych myśli, życia i postępowania były zarazem i mojémi. W umyśle moim były razem przytomne: jego osobistość i jego pisma. Konsekwentnie rzecz biorąc, ostatecznie tłómaczyły pierwszą. Chodziło więc o to tylko, abym poszedł za tłómaczeniem, które, przez samo zaufanie do osobistości, mogłem wziąć za jakiś rodzaj natchnienia czy objawienia.

Jednakże— skutkiem czego, nie wiem— przedmiot ów oderwał się odemnie, stanął na zewnątrz. I z całą swobodą umysłu mogłem się mu przypatrzeć.

Trzeba wszelako dodać, że nie dawał się on ująć w kleszcze krytyki, ni ugiąć pod młotem prawideł, ani przymierzyć do żadnych znanych i uznanych wzorów, bez czego krytyczne rozprawianie staje się prostą gawędą o tém, co się podoba a co nie podoba, obracającą się w niwecz łacińskiem przysłowiem: *de gustibus non disputandum*.

Przypatrywanie się tedy moje ograniczało się na następujących dwóch ostatecznościach: przyjąć lub nie przyjąć, albo raczej: uwierzyć lub nie uwierzyć. W pierwszym razie, to jest uwierzywszy, mogłem się czegoś doszukać, czegoś takiego, czegooby może najprzenikliwsze nie dojrzało oko. A nie wystarczało tylko zmienienie i oglądzenie stylu, przetłómaczenie go na styl zrozumiały: trzeba było samą treść na język dostępny wytlómaczyć. W drugim zaś razie, to jest nie uwierzywszy, pozostawało mi jedno; o całym[?] tym pliku powiedzieć— głupstwo!.. i wydać go na pastwę molóm, albo na inny jaki użytek. Byłbym to niezawodnie uczynił, gdyby Jan był dla mnie figurą obojętną.

Przyznam się, że nie jestem zwolennikiem ślepej wiary, pomimo że powiadają o niej, iż ma własność uzdrawiania. Taka wiara wydaje mi się bardzo podobną do owej gadki ludowej o szczęśliwości głupca:— *«Szczęśliwy dureń, niczym się nie żuryt, jist, pje, lulku kuryt.»*— Miałem więc wstręt do bezwarunkowego uwierzenia w sens zapisek Janowych. Ale z drugiej strony nie mogłem także bezwarunkowo w ich bezsens uwierzyć, a to dla tego, że z całą pewnością przeświadczenia wiedziałem, iż w Janie był materyał na człowieka, materyał, z którego nie mogło same tylko głupstwo wypłynąć. Wiedza przeto o istnieniu tego materyału podparła moją wiarę i zmusiła mnie do kilkakrotnego czytania i pilnego studyowania szpargałów. Odgadywałem je, zestawiałem jedne z drugimi, przykładałem świstki do arkuszy i arkusze do świstków, i tym sposobem systematyzowałem całość.

Do jakichże ta praca nie doprowadzała mnie rezultatów!.. Raz zdawało się mi, że ot, ot, chwytam już wątek czegoś, ale— czego?.. Kiedy nad tém pomyślałem, przekonywałem się, że to «coś» było «nie». Drugi raz wpadłem już na trop, i znalazłem tylko porównanie dla Jana.

— To drugi Mahomet...— mówiłem do siebie.— Jego arkusze, ćwiartki i świstki można nazwać suratami i znaleźć w nich geniusz, bratni temu, który natchnął twórcę Koranu... Nie było w nich wprawdzie obrazowości i przenośni wschodnich, ale obrazowość i przenośnie wpływały z natury i wieku w których żył Mahomet... Innym warunkom podlegał Jan na Ukrainie w dziewiętnastym stuleciu, a innym Mahomet w Arabii, w sześćset lat po narodzeniu Chrystusa.

Podobieństwo pomiędzy nimi, upatrywałem szczególnie w sposobie traktowania tradycji, z tą jedynie różnicą, że Jan nie odwoływał się do objawienia, nie tłumaczył się, iż mu Duch Święty lub Archanioł podpowiadał. Fakta jednakże, które przytaczał, wyglądały tak zupełnie, jakby były podpowiedziane.

To znów nie Mahometa, ale bądź filozofa, bądź poetę, bądź po prostu szlachcica-excentryka wydawało się mi, że w nim widzę. Nie mogłem sobie dać rady. Co powiecie np. o następującym ustępie, przetłómaczonym n. b. na dostępny styl:

— «Nieraz, o! nieraz padam twarzą na ziemię, i chciałbym w nią wrość, wtłoczyć się do najgłębszych jej głębin. Łzy mi płyną. Czemuż-to mnie, mężczyźnie, mnie mężowi, łzy płyną?.. Dziwo!.. dziwo:... stokrotnie dziwo!!!. Nie płakałem po ojcu, a płaczę nad ziemią... Cóż ona ma w sobie, jakie uroki, że ją tak kocham, tak szalenie, zapamiętałe i czule, jak syn matki, kochanek kochanki kochać nie może?.. Czemuż, kiedy wszyscy inni rwą się do nieba, kiedy słyszę choralne do koła wołanie: niebo! niebo!.. odwracam wzrok od błękitów, po których słońce się toczy, księżyc pływa, gwiazdy kwitną, na których obłoki układają się w powietrzne fale i wiatry odprowadzają gonitwy, w których myśli i pragnienia ludzkie toną, jak w otchłani wiecznej szczęśliwości— czemuż ja wbijam się myślą w ziemię i przypadam twarzą i sercem do czarnego jej łona!.. I długie nieraz godziny zbiegają mi na tej ziemskiej kontemplacyi, aż czarne łono przezroczyścieje, i widzę... I widzę to, czego nikt w niebie nie zobaczy.. A najwięcej kości.. kościotrupów... Bieleją one zrazu w martwej nie-ruchomości kościano-marmurową białością, wyraźnie od-

bijając od czarnego tła. Martwe, nieruchome, białe, jedne z drugimi splecione, wyglądają niby rozwłóknione w niezmiernym obrębie, pobielające od starości korzenie, podpierające sobą tę warstwę ziemi, po której chodzą ludzie, na której rosną zioła, kwiaty, drzewa a czerepy wydają się, jak popękane skorupy jaj, świadczące o świeżym wylęgnienu ostatniego pokolenia. I leżą tak długo, bez drgnięcia, jakby zmagnetyzowane potęgą mego wzroku... Aż snadź zniecierpliwione poczynają drgać, drganiem człowieka w chwili, gdy go opuszcza głęboki sen. Potém ruszają się, rozplatają. Z głuchym łoskotem piszczele oddzielają się od piszczeli, żebra wysuwają się z żeber, a czerepy prostują się na pacierzowych kolumnach, które trzeszczą jak okrętowe belki, gdy je podważa maszt wichrem nachylany, a kości o kości klekocą jak bociany, gdy nad wieczorem zlatują na gniazda. Straszna to i ciekawa chwila— ta chwila przebudzenia i powstawania kościotrupów... Powstają i mocują się z ciężkiem brzemieniem— z grubą warstwą ziemi, która je przytłacza. Podnoszą ją i podnoszą się, usiadają, prostują się i powoli, powoli powstają... A jakie ich mnóstwo!.. miliony!.. miliony!.. A co za chrzęst i klekot pomiędzy niemi!... Dźwignięte ich czaszkami podziemie wyrównywa się i wygładza w sklepienie i zawisa nad niemi, i one ruszają się swobodnie, chodzą, gromadzą się w grupy, w kolumny, w tłumy, jak ludzie żywi, rozmawiający ze sobą i radzący... Nieoswojone oko z trwogą odwróciłoby się od nich; oswojone, w tłumach szkieletów rozróżnić umie jednostki, rozpozna fizyognomię, odgadnie charakter. Tak w stadzie dzikiego ptactwa, wydaje się nam, że ptak od ptaka niczem się nie różni;— żórawie są dla nas tylko żórawiami;— a prze-

cie, gdybyśmy obyli się z nimi, przekonalibyśmy się, że każdy z nich ma imię własne, że ptak od ptaka różni się, jak człowiek od człowieka. Obyłem się z kościotrupami, oswoilem się z nimi, poznałem ich, wtajemniczyłem się w ich ruchy, wsłuchałem się w ich rozmowy, i— zaprawdę powiadam wam, ludzie żywi! gdybyście wiedzieli to, o czém ja dowiedziałem się, wywlekalibyście z grobów trupy ojców waszych i szkielety przodków i obchodzilibyście się z nimi, jak z upiorami!.. Nie grzebalibyście waszych zmarłych bez przebicia im piersi kołem osikowym,.. Bo one to— szkielety— one, zamiast leżeć cicho i wiecznie, podnoszą grunt pod wami i podważają łoża wasze wygodne, i nawołują wam sny uiespokojne; one na jawie mącą wam sumienie; wy się zżymacie, jak dzikie zwierzęta w pętach, rzucacie się, jak ptaki w klatkach,— a świat przeżywa was burzycielami porządku publicznego... Nie wy temu winniście:— to te szkielety, których tyle w kłamanym spokoju spoczywa pod murawą, deptaną waszemi stopy... Nazywacie ich: popiołami— dla oznaczenia przepalenia, po którym iskiereki nawet pogasły. To nieprawda!.. Niewłaściwa to nazwa!.. Nazwijcie ich raczej lawą wulkaniczną...

»Wsłuchiwałem się w rozmowy kościotrupów... Ciekawe rozmowy!.. bez słów, bez dźwięku głosu, a rozumiałe. Szkielety wypełniają się niby kształtami ciał, które je powlekały za życia, ale tak przezroczystymi, że jak w wymoczkach żywotny proces, tak w nich przejrzeć można na wskrós myśl, krążącą niby krew w eterycznych muszkulach, żyłach i fibrach. Widać ruch myśli— i oto rozmowa. Myśl krążąc, skupia się, rozkłada, rozpromienia— mieni się w rozliczne barwy i odcienia—

wyskakuje na zewnątrz w rozmaitych kształtach, niekiedy jak dym słupem sunie do góry, niekiedy ścielę się i rozplywa— i można ją wyczytać, jak z książki... A jak szkielety wypełniają się cieniami ciał, tak ciała otaczają się formami krajobrazów, grodów, murów, domów, lepierek; pod niemi, za niemi i przed niemi rozścielają się pola i stepy, garbią góry, szumią lasy, piętrzą się skały, nad niemi niebo, to błękitnieje pogodą, to szarzy się chmurami, to jaśniej słońcem, albo księżycem i gwiazdami. I— dziwna rzecz!— widzisz zarazem i czarne sklepienie podziemia i szeroki horyzont nieba. Wszystko razem jasność i ciemność, barwy i bezbarwność— niby zmieszane a nie zmieszane— ustępujące jedno drugiemu, a przenikające się na wskrós. W ciemności widać jasność taką światłą, jakby sto słońce zapaliło się na raz, a w jasności ciemność taką czarną, jaka tylko w podziemiu, pozbawionem wszelkich na świat otworów, istnieć może. W dziwnej tej jasno-ciemności toczy się akcja, bielejąca kośćmi szkieletów i mieniająca się barwami niby ciał ludzi, niby widoków natury, a ożywiona i przenikniona grą, ruchem myśli.«

Z tego miarkując ustępu, nazwie czytelnik Jana fantastykiem, marzycielem, roicielem, jakimśi rodzajem lunatyka, śniącego na jawie, albo może sny za jaw biorącego. Takim on i mnie wydał się tym razem, tém bardziej, że ustęp przytoczony w następujący kończył się sposób:

— «Miewałem takie widowiska z jakich jedno Hamlet matce swojej pokazał.

»Raz przyłgnałem twarzą do ziemi i wlepiłem wzrok w jej głębię. Kościotrupy, jak zwykle, wstały i, odzawszy się w niby ciała, podzieliły na grupy, z których każda inny jakoby grała dramat. Każdy szkielet wystą-

pił, jako aktor, w odmiennój roli, a każda rola, nie zmysleniem była sceniczném, ale prawdziwém odwórze-
niem téj, jaką miał za życia. Mało który nie objawiał
głębokiej zgryzoty sumienia, i na to, zdaje się, jedynie
powtarzał akcyę życiowego dramatu, aby przez samo to
powtórzenie odnieść karę, biczować się własnymi błęda-
mi i zbrodniami. Męczarnie sumienia były straszne, bo
błędy szły na równi ze zbrodniami. W piekle nie mo-
żna sobie większych mąk wyobrazić. Eteryczne szkiele-
tów obłonki i krążące w nich strumienie myśli kureczy-
ły się i zżymały, jakby pod smaganiem rozpalonych dru-
cianych biczów, kości trzeszczały jakby pod uderzeniem
żelaznych maczug. Bolesć ogólna panowała w tych tłu-
mach, złożonych ze wszystkich klass i stanów, ze wszyst-
kich stopni i wieków— z koronowanych i chłopów, z buń-
czucznych i prałatów, z magnatów i szaraczkowej szla-
chty, z pogan, chrześcian, żydów, słowem ze wszyst-
kich, których wiekami hodowała nasza ziemia. A cho-
ciaż jedni od drugich po kilkaset lat starszymi byli i
młodszymi, była pomiędzy nimi jakaś rowiesność, jakby
wszyscy w jednym dniu porodzili się i pomarli. Wszy-
scy uznawali się winnymi, jeżeli nie za swoje własne,
to za przodków lub potomków błędy i zbrodnie, i wszy-
scy cierpieli. Rzadko myśl weselsza wystrzelała, jak
błędny ognik, i nikła. Rzadziej jeszcze jaśniała blada-
wym płomykiem. Żal mi było tych potępieńców. Pła-
kałem nad niemi. Byłbym rad odkupić ich grzechy. Czu-
łem bowiem, że ja, żywy, jestem względem ojców, jak
wnuk względem dziadów. Nie mogłem więc cierpień ich
potęgować klątwami: bo jakiegoż trzeba wyrodka, nie sy-
na, aby usta złożyć się mogły do klątwy na ojca i dzia-
dów!.. Głos jakiś wiał do mnie z podziemia:

— »Zechciej!.. a możesz ich uratować: modlitwą intencyi napraw złe, za które oni cierpią...

«I czułem, że mogłem naprawić— nie!— że musiałem... Bo i ja wkrótce stanę się zmarłym... i ja wkrótce położę się pod ziemię, wejdem do grona kościotrupów, i wraz z niemi roztrząsać będę sens mego żywota, i na barki moje wezmę cały ciężar grzechów przyszych, grzechów własnych i nieszczęść przeszłych... Ma-ż żywot mój pozostać bez sensu i w ostatecznej wynikłości swojej dać— błąd!... albo ma-ż sens onego być takim, aby po zrównoważeniu dobrego ze złem i po zniweczeniu równych części jednego przez drugie, przeważającą różnicą pozostała— zbrodnia!...

»Widziałem staroswiecką komnatę. Pysznie była ozdobiona. Oświecała ją alabastrowa lampa, w której paliła się wonna oliwa. Na kominie dogorywały brzoszowe polana i rozsypywały się w popiół. Na ścianach wisiały bogate makaty i świętych obrazy. Sufit przedstawił spięcie po środku, mające kształt dużego wieńca, uwitego misternie z grubiej i miękkiej aksamitnej materyi, przetykaniej i podpinanej puchowemi bukietami. Złota skręcona frenzla przewijała się po wieńcu, migocąc blaskiem i chowając się tu i ówdzie, to za fałdami aksamitu, to w puchu bukietów. Kolory wieńca zdawały się mieniącemi, ale nie były bardzo wyraźne:— blade światło lampy i niepewny blask komina nie dawały ich dobrze rozpoznać. Wewnątrz wieńca powierzchnia gładka, nieco wklęsła i połyskująca, niby lustrzana, odbijała aksamit, puchy i frenzle, powtarzając je kilkakrotnie, mieszając ze sobą i tworząc przez to niby jakieś bukiety, jakiś kwietny quodlibet, jakieś girlandy, które gdys się im przypatrywał z rozmaitych punktów komnaty, z każde-

go wydawały się inaczej. Od wieńca, do koła niby, promienie idące pochyło z góry ku dołowi, rozchodziły się mocno naciągnięte fałdy, zbiegające na ściany po nad drzwi i okna, i wydymające się półkołem po nad kominem. Suta szlarka namarszczona i dołem nadzierżgana, wypływała z pod tych fałdów, oddzielając się od nich szerokim na półpiędzi szlakiem, a rozchylając się u góry okien, rzucała cień na firanki. Fałdy i szlarka były koloru turkusowego. Na szlaku migotały barwy jaskrawe, ułożone w kształcie wijącej się bez końca girlandy. Na turkusowem tle sufitu, przeglądały gdzie niedzie błyszczące rzutki, które połyskiwały niby gwiazdki na błękitnem tle nieba. Z pod szlarki do podłogi, wysłanej bogatemi i miękkimi kobiercami, spływały ściennie obicia. Po środku komnaty stał okrągły, przykryty kobiercem stół, a pod ścianami hebanowe krzesła, ozdobione nakładaniami z perłowej macicy i złocistemi nabijaniami i wybite adamaszkiem. W szeregu krzesel widzieć się dawało łoże, mające formę zbliżoną nieco do nowożytniej kanapy i przyrządzone do takiego spoczynku, w którym się w pół siedzi, w pół leży. Na stole leżała krótka buława, wysadzana drogiemi kamieniami, a obok niej karabela w jaszczur oprawna. W ogóle, w całej tej komnacie kapąło przepychem i wykwinnym zbytkiem, ale zbytkiem takim, który dowodzi artystycznego poczucia, na którym miło oku spocząć. A lejkowata forma sufitu, okrycie ścian materyami i krągły kształt komnaty, nadawały tej ostatniej pozór namiotu, i można ją było wziąć za namiot, gdyby nie gotyckie okna i drzwi, i gdyby nie wielkość rozmiarów, które świadczyły, że jest częścią jakiegoś gmachu, może pałacu lub zamku. Wprost przez ściany, przejryste pomimo obić, widać było jakieś mu-

ry, dachy i wieże, a za niemi pola, góry i lasy, a nad t \acute{e} m wszystki \acute{e} m jasne niebo i czarne podziemia sklepienie. Dziwny to by \acute{l} widok!.. tak wszystko pomieszane i przyt \acute{e} m tak dok \acute{l} adnie jeden przedmiot od drugiego oddzielony...

«W komnacie siedzia \acute{l} starzec. Siedzia \acute{l} on w pozy-
cyi cz \acute{l} owieka spoczywaj \acute{a} cego po trudach. Siw \acute{a} mia \acute{l}
g \acute{l} ow \acute{e} i brod \acute{e} , a wyraz wytrawnego rozumu bi \acute{l} mu
z wynios \acute{l} ego czo \acute{l} a i strzela \acute{l} z oczu. Ca \acute{l} a postac \acute{i} jego
wyraza \acute{l} a wcielenie po \acute{l} aczonych i stopionych w jedno: po-
wagi, odwagi i dumy. I zdawa \acute{l} o si \acute{e} , \acute{z} e rozum, powa-
ga, odwaga i duma na to obra \acute{l} y t \acute{e} postac \acute{i} i wcieli \acute{l} y
si \acute{e} w ni \acute{a} , aby pokaza \acute{c} , jak one s \acute{a} pi \acute{e} kue w po \acute{l} acze-
niu. Wyraz rozumu by \acute{l} tego rodzaju, co to wzbudza
slep \acute{a} ufno \acute{s} c \acute{i} . Powaga by \acute{l} a tak \acute{a} , co to ka \acute{z} e si \acute{e} szano-
wa \acute{c} , i nic o sobie nie m \acute{o} wi \acute{a} c, przypomina, \acute{z} e cz \acute{l} -
wiek jest Boga obrazem. Odwaga mia \acute{l} a w sobie jaki \acute{s}
odcien \acute{i} niby-zuchwalstwa, ale takiego, kt \acute{o} re nie wyzywa,
nie nastawia si \acute{e} , lecz nie zna niebezpiecze \acute{n} stw i wszel-
k \acute{a} walk \acute{e} , byle sprawiedliw \acute{a} , przyjmuje bez zmru \acute{z} enia
powieki i prowadzi j \acute{a} , bez wzgl \acute{e} du na to, czy zwyci \acute{e} -
 \acute{z} y, czy pokonan \acute{a} zostanie. Duma wyst \acute{e} powa \acute{l} a jako ob-
jaw uczucia godno \acute{s} ci osobist \acute{e} j, tego szlachectwa duszy,
t \acute{e} j szlachetno \acute{s} ci cz \acute{l} owiecz \acute{e} j, a by \acute{l} a tak wielk \acute{a} , \acute{z} e nie
by \acute{l} o w \acute{s} wiecie stanu ni dostoj \acute{e} nstwa, kt \acute{o} rychby ona po-
 \acute{z} ada \acute{l} a, albo kt \acute{o} reby j \acute{a} zaspokoic \acute{i} mog \acute{l} y. Dostoj \acute{e} nstwem
najwyzsz \acute{e} m, zadowalaj \acute{a} c \acute{e} m j \acute{a} najzupe \acute{n} niej, by \acute{l} a: cz \acute{l} -
wiecze \acute{n} sko \acute{s} c \acute{i} . Wszelkie za \acute{s} dodatki, przymiotniki, tytu-
 \acute{l} y, kt \acute{o} re mi radzi przystrajaj \acute{a} si \acute{e} ludzie, nie pojmu \acute{a} c
godno \acute{s} ci cz \acute{l} owiecz \acute{e} j, by \acute{l} y dla ni \acute{e} j oboj \acute{e} tne. A przyt \acute{e} m
wydawa \acute{l} a si \acute{e} ona tak \acute{a} , \acute{z} e \acute{z} adna wyzszo \acute{s} c \acute{i} z \acute{l} ama \acute{c} j \acute{e} j
ani nagi \acute{a} c nie mog \acute{l} a. Lecz nie depta \acute{l} a \acute{z} adn \acute{e} j ni \acute{z} szo-
 \acute{s} ci, bo szanowa \acute{l} a siebie, a w sobie bli $\acute{z$ niego. Z po za

dumy więc przeglądała pokora, która w obec wyższych nie zamienia się w podłość, w obec niższych w pychę, i która stanowi najlepszą i jedyną podstawę uczucia i pojęcia godności człowieczeń.

»Starzec ten był przeto pięknym pięknoscią duszy, o-promieniającą całą powierzchownosć jego. Kształty jednakże postaci nie odznaczały się niczēm nadzwyczajnēm, nie przedstawiały tēj doskonałości i harmonii rysów które na klassycznych posągach i malowidłach widziēć się dają. Wzrostu był miernie słusznego, tuszy oznaczającēj czerstwość i krzepkosć; twarz miał ściągłą, otwartą i pogodną, oczy błękitne, nos równy; przystrzyżona, siwa broda, nie maskowała wypukłēj i mocnej piersi; białe wąsy spływały na dół i zlewały się z brodą, ale je znać było, bo od siwizny brody odbijały się wyraźnie mleczną białoscią. Na wyniosłēm czole, nad brwiami, wisiał mars, który groził jak burza zapowiadająca się z daleka. Ubiór jego był taki, w którym spędza się godziny samotności i spoczynkowi poświęcone. Szeroki żupan osłaniał mu postać, a z pod żupana wyglądały safianowe buty. Żupan był koloru ciemno-karmazynowego, podbity lekkim sobolowēm futerskiēm. Głowę przykrywał sobolowy kołpaczek, przechylony trochę na lewe ucho.

»W takiej komnacie i w takim stroju, starzec wyglądał najmniej na królewską osobę. Można było wziąć go za monarchę— pana i władzcę— strudzonego panowaniem i oddającego się chwilce dumania i samotnego spoczynku. W jego minie jednakże było coś więcj jak królewskiego. Było w niēj coś tak wysoce człowieczego, tak zbliżającego się do bóstwa, że królewskosć nie mogła dostatecznego dać o niēj wyobrażenia.

»Na twarzy starca przeglądał frasunek. Oczy jego

błądziły niedbale po ozdobach komnaty, lub spoczywały niekiedy na buławie i karabeli, albo z pewnym wyrazem niecierpliwego czy trwożliwego wyczekiwania, wglądały w przestrzeń roztwierającą się po za ścianą. Oczekiwanie jego zamieniło się wkrótce na uwagę. W przestrzeni, z razu pustej i spokojnej, powstało lekkie zamieszanie. Poczęły ją napełniać jakieś tłumy, niby duchów, niby-cieni, niewyraźnych i wiotkich, jakby zformowanych z tych dymów, które się już rozwiewają w powietrzu, albo raczej z tego powietrza, które drży w objęciach słonecznego ciepła. Powoli tłumy występowały coraz wyraźniej. Cienie kolorowały się i wypełniały kształtami ciał, zarysowujących się jako ludzkie i końskie konturny. I coraz wyraźniej, a w końcu zupełnie już wyraźnie, dały się rozpoznać szeregi wojowników, zbrojne i konne, poprzedzane rozwiniętymi sztandarami, przeciągające jak na przeglądzie wojskowym. Starcowi oblicze rozjaśniło się wewnętrznym jakimś zadowoleniem. Szeregi szły, płynęły; można było powiedzieć, że leciały po nad samą ziemią, bo rycerze mieli na barkach skrzydła, które szumiały jak orle, i szum piór mieszały z furczeniem proporców, z tententem i prychnaniem koni, z chrzęstem zbroi i broni brzękiem. Z pod hełmów i misiurek patrzyły wąsate, marsowe, groźne twarze— wszystkie, chociaż nie podobne rysami, ale wyrazem tak do starca podobne, jakby on i ci rycerze, do jednego, wyłącznym duchem natchnionego, rodzaju ludzi należeli. Panoszyli się wojownicy na koniach; panoszyły się pod wojownikami konie— jedni i drugie czystej jakiejś rasy, szlachetnej krwi, pięknej porody. Rycerze spoglądali ku starcowi; starzec spoglądał na rycerzy— i dostrzegać się dawała pomiędzy nimi jakaś sympatyczna wzajemność

uczuc i pojęć. Były to, jakby dzieci jednej matki, bracia jednego zakonu— równi, pomimo mnóstwa— dzielni, bo każdy był mnóstwem— wieley, bo każdy czuł Boga w sobie. Uprzecoczyściła się myśl starca. Bujał on nią nad szeroką ziemią, która była jego ojczyzną, krążył nad nią jak orzeł i orlim wzrokiem oglądał jej granice, które, to kąpały się w sinych falach mórz, to płynęły nurtami rzek, to biegly śnieżystym, skalnym grzbieciem gór. I całą tę ziemię, ze wszystkiem co na niej było, kładł do serca, jak się dziecinę kładzie do kołyski, tulił ją czule, hołubił, a z oczów stzelała gotowość bronić jej, jak rozjuszona lwica broni swoje szczenięta. Dla tego snadź w komnacie, na dumanie i spoczynek przeznaczonęj, miał na podorędziu buławę i karabelę, po które sięgnąć mógł każdój chwili i z pysznego węzłowia zerwać się do boju, bez względu ani na wiek, ani na miarę zasług. Dla tego to z miłością spoglądał na spółyrcerzy, w których widział siebie, spotęgowanego tylekrotnie, ilu pojedynczych wojowników liczyły szeregi, które przed nim defilowały i defilowały, porządnie, szykownie, a bez końca, jakby ich było więcej niż gwiazd na niebie. Chorągwie po chorągwiach szły i szły. Znaki się zmieniały. Husarskie, pancerne, kozackie i tatarskie, mijały jedne po drugich, pozdrawiając starca marsowym uśmiechem. Ten starzec— musiał być chyba hetmanem...

•Defilada trwała długo— dłużej jak godzinę. Przypatrywałem się jej. Piersь wzdymała mi się dumą, radością i jakięms rwaniem się naprzód, które było może odwagą. Dawne dzieje wstawały przedemną dotykalnie. Rycerze ci— to pra-ojce moi. I możnaż było nie być dumnym i radosnym, będąc synem takich pra-ojców!... Możnaż było nie poczuć w sercu przepełnienia odwagi,

czując za sobą takie rycerstwo, stojące w niezłomnej rezerwie!... Ja— ostatnie ogniwo łańcucha pokoleń— bo nawet muszę odwołać się do tych, którzy mnie poprzedzili, ilekroć pomyślę, kim jestem, jakie mam obowiązki i jakie prawa... Bo to, czem jestem, nie winienem jakiemuś przypadkowi, ale logicznemu rozwojowi praw, które ciągle usiłując się zaokrąglić, ciągle się rozwijają, z pokolenia w pokolenie, pod parciem mnóstwa rozlicznych przyczyn, pomiędzy którymi najważniejszą, główną, dźwignią, osią, jest: wola pokoleń. Bez niej społeczność byłaby trzodą.

»Nieprzebraną była mnogość rycerzy. Starcowi oblicze coraz mocniej promieniało. Troska zwała się z oczu i czoła, a na jej miejscu osiadła taka pogoda, jaką wielkim zaledwie mistrzom-malarzom udaje się niekiedy na obliczach świętych Pańskich przedstawić.

»Raptem, jakby za podmuchem lekkiego jakiegoś wiatru, z defilujących rycerzy poczęły się zwiewać cieleśne obłonki. Kolory ciał bladły, jak na konających, kiedy krew krzepnie,— kształty znikały, jak tuman poranny, kiedy unosząc się z nad dolin odsłania widnokregi. Hełmy, zbroje, bronie, świeciły coraz mglistszym niby pruchna blaskiem, bladły i nikły, odsłaniając wysterczające kości. Znikły, i zamiast głów wystąpiły żółkłe czerepy, zamiast nóg i rąk— białe piszczele, zamiast kształtów kibici— nagie żebra i ogniwa pacierzy. Lecz szeregi nie zmniejszyły się, ani rozerwały. Szkielety ludzkie maszerowały wierzchem na szkieletach końskich. Na ten widok, uśmiech uciekł z ust starca, a miejsce uśmiechu zajął ten wyraz zdziwionej nieco boleści, jaki pojawia się na twarzy uczciwego człowieka, gdy chcąc uczynić dobrze, uczynił źle. Powaga nie opuściła go ani

na chwilę; lecz przysłonił ją żal, który rośł i rośł coraz mocniej, gdy szkielety poczęły jeden po drugim wyciągać ku niemu piszczele rąk i ukazywać nań tym sposobem, który nazywa się: wytykaniem palcami. Z razu ręka po ręce wyciągała się z szeregów, potem po rąk kilka, a w końcu— tysiące. Podnoszenie się piszczeli wydawało dziwny szelest, połączony z trzaskaniem takiem, jak kiedy klaskają wyciągane stawy. Kosteczki palców, wyjąwszy ukaziciela sztywnie wyprężonego, trzęsły się w powietrzu jak frenzle i drobno klekotały. Końskie szkielety tentniały, a tententowi ich wtórowało dziwne, przeźliwe skrzypienie.

»Niema ta scena była przerażająco-dziką. Starcowi wewnętrzne cierpienie wywołało na twarz konwulsyjne muszkułów kurcze. — »Moja wina!... moja wina!... moja wielka wina!...« — stało się ogólnym wyrazem całej jego postaci. I w wielkiej boleści, w przyznaniu się do jakiegoś grzechu, którzy mu kościotrupy palcami wytknęły, sposagował poważny starzec.

»Defilada szkieletów trwała prawie tak długo jak rycerska. Zakończył ją tłumny na starca napad. Zmieszaly się kościotrupy, konne i piesze, i ścisnęły się w olbrzymią, nieforemną kupę. Nie był to jednakże żaden napad dotykalny, tylko ciągle wytykanie palcami. Larwy otoczyły starca i ukazywały na niego, a pod ukazywaniem tém doświadczał on wrażenia tortur, zabijających bez zabicia, szarpiących ciało i łamiących kości, dla sprawienia bolu konania, nie pozwalając na skonanie.

»Po niejakiem czasie przeciągu tłum poczęł rzadnąć i zniknął. Starzec znalazł się znów sam. Cała postać jego wyrażała ciężkie, głębokie, bolesne zmęczenie.

»Nie długo jednakże był sam. Do komnato-namiotu wszedł człowiek, który pozdrowiwszy go z głębokim uszanowaniem, usiadł na przeciw niego. Był-to mąż, mogący mieć około trzydziestu lat. Wzrostu był dość słusznego, szczupły, suchy, kościsty, mocno i szykownie zbudowany. Twarz jego gęsto zmarszczyły ślady ospy. Włosy miał krótko przystrzyżone. Zarost wąsów i brody był rzadki, nieregularny, kosmykowy. Brwi nieregularnymi łukami zakreślały się mu nad oczami. A oczy miał siwe, z wyrazem sokolim. Kolor włosów i brody był ciemno-łłowy. Z oczu patrzyły mu przebiegłość i odwaga— przebiegłość taka, której najsprytniej i najtajemniej ułożonym podstępem podejść nie podobna; odwaga taka, która nawet nie rozumie znaczenia wyrazu: niebezpieczeństwo. Kilka blizn, przecinających się pod rozmaitemi kątami na czole i policzkach, dopełniały wyrazu twarzy i służyły niejako rękojmą nieulekłości tego człowieka. Ubiór jego był nader prosty i bardzo skromny, a najwydatniejszą onego część stanowił kaftan łosiowy, zmoręgowaciały od śladów drucianych kółek kolczugi, która rzadko snadź była zeń zdejmowaną.

»Pomiędzy starcem a przybyłym mężem zawiązała się rozmowa, będąca dosłownem powtórzeniem jednej z tych, jakie miewali oni ze sobą za życia, przed dwoma z połową wiekami. Starzec mówił:

— Wezwałem cię, panie bracie, dla pomówienia z tobą o ważnych, dotyczących się publicznej sprawy rzeczach.

— Wezwanie to czyni mi zaszczyt...— odrzekł mąż ospowaty, pochylając z uszanowaniem głowę.— Każdej chwili jestem gotów pełnić rozkazy twoje, hetmanie...

— Potrzeba...: ratować... ojczyznę...— rzekł starzec powoli, wpatrując się w towarzysza swego, jakby chciał

z oczu jego wyczytać wrażenie, jakie na nim sprawią wyrazy.

— Ratować!...— zawołał mąż zdumiony.— Mówisz, hetmanie, o potrzebie ratunku, jakbyś nie posiadał tego klejnotu— tu wskazał palcem buławę— którym roztrzaskać możesz łeb każdemu, ktoby śmiał na nią się targnąć!...

— Tak...— odparł hetman z westchnieniem— ten klejnot jest symbolem rycerskości naszej, streszczającą się całkowicie w herkulesowej buławie hetmaństwa.. Tak... Lecz, niestety! zmienił on pierwotne znaczenie swoje, które niegdyś było obowiązkiem, ciężką służbą, a dziś stało się ozdobą, przywilejem... Niegdyś on bronił— dziś, sam obrony potrzebuje... Niegdyś był narzędziem, a celem była ojczyzna;— dziś sam stał się celem, wykradającym ojczyznę z przed oczu rycerstwa... W oczach naszego rycerstwa zmaląła ona, stała się podrzędnością a za to klejnot wzrósł, stał się świecznikiem... Utrzymanie onego jest pierwszym zadaniem; służenie ojczyźnie— drugim... Kiedy ta ostatnia powołuje do służby, to rycerstwo targuje się, jakby nie o pełnienie obowiązku, lecz o świadczenie łaski, jakby nie o pielęgnowanie matki rodzonej, lecz o rzucenie grosza jałmużny nieznannej jakiejś, podejrzananej żebraczce... A gdy wyjdzie, gdy stanie, bądź w radnym kole, bądź na polu zapasów marsowych, to... jakże ono staje?... Nie postawiłoż ołtarza prywatnie?... Na sejmie, chodzi mu przedewszystkiem o otoczenie klejnotu coraz większemi i coraz większemi podporami... Na polu zapasów bojowych chodzi mu przedewszystkiem o ozdobienie klejnotu coraz jaśniejszemi blaskami... Kiedyż mu chodzi o ojczyznę?...

»Tu starzec machnął ręką i kiwnął głową z wyrazem wstrętu i żalu.

— Klejnotni— ciągnął dalej— zapomnieli czem są i czem być powinni... Wielką ojczyznę rozdrobili na tysiące malutkich, z których każdą uwięzili w ciasnych granicach osobistych, drobnych ambicyj... Te malutkie ojczyzny żyją, prosperują, powiększają się i wzmagają kosztem i ze stratą wielkiej... Czyż nie tak, panie bracie?...

»Ospowaty mąż, z natężoną uwagą słuchający przemowy starca, za całą odpowiedź pochylił głowę na znak potwierdzenia.

— A więc ojczyzna w niebezpieczeństwie?...— zapytał starzec.

— W... nie... bez... pieczeństwie...— odparł zapytany, powoli, niby namyślając się.

— A więc potrzeba ją ratować?...

— Potrzeba...— odrzekł ospowaty mąż, a wzrok jego wyrażał zapytanie: jak?...

— Wszelkie zło ma swoje przyczyny...— ciągnął dalej starzec.— Zniszcz przyczyny, zło samo przez się upadnie... A, aby zniszczyć przyczyny, trzeba je najprzód znać... Stara to i odwieczna prawda, ogólnik, o którym wszyscy wiedzą; ale, niestety! poprzestają na samej jeno gołej świadomości onego... Dla czego?.. Oto dla tego, że wglądnąwszy w przyczyny, spotykają w nich osobisty interes, którego dla powszechnego trzeba się zaprzeć, który dla ojczyzny trzeba poświęcić... Więc pomijają przyczyny, a piorunują na niektóre podrzędniejsze skutki... Bywałeś na kazaniach księdza Piotra; czytałeś Worek Judaszów; słyszałeś wymowne głosy na sejmie...

Wszyscy i wszędzie widzą złe w skutkach, powstają na nie i wielkim głosem wołają o poprawę obyczajów... Chcą, aby pan był łaskawym i sprawiedliwym dla chłopów; chcą, aby szlachta stała się rządną, aby gorliwą była w pełnieniu publicznych obowiązków, aby pozbyła się prywaty; chcą, jednym słowem, natchnąć stan rycerski cnotą i duchem Bożym i przemienić ludzi na aniołów... Dobre, piękne chęci!.. Wszyscy im przyklaskują i uznają je: bo jakże nie uznać takiej jasnej jak słońce prawdy: że niech jeno ludzie zostaną aniołami, a wówczas złe wszelakie, ze wszystkimi skutkami i przyczynami, od razu upadnie... Ludzie z łatwością umieją odróżnić złe od dobrego; ale z trudnością im przychodzi dowieść w praktyce, że rozumieją tę różnicę, szczególnie, jeżeli złe opiera się na przyczynach, będących podstawą osobistych interesów... Odwołują się wówczas do prawowitości... Zdaje się im, że porządek towarzyski wywróconym a przynajmniej podkopanym zostanie, jeżeli nadwerężą się prawa lub urządzenia, zaręczające im korzyści wyłączne... W prostej zmianie, ścieśniającej tylko nieco rozwój wygod osobistych, upatrują nieszczęścia publiczne, a to dla tego, że przez długie tradycyjne nawyknięcie, szczęście publiczne przyzwyczaili się odnosić do swoich pojedynczych »ego«. I z tego powodu nie wglądają w źródłową złego przyczynę, ani są nawet w stanie w nią wglądać... A gdyby jaki śmiałek odważył się wypowiedzieć im ją w żywe oczy, ukamienowaliby go, obwołaliby zdrajcą kraju... O skutkach praw ile chcesz—przyczyn nie tykaj... Ten, coby je wypowiedział, dowiódłby tylko chlubnej odwagi, ale czyby co sprawił!.. Późna chyba potomność, w kilkaset lat, odgrzebałaby jego słowa i zrehabilitowała pamięć... Może byłoby to je-

dnakże już po niewczasie... Bezpieczniej pozostawiać potomości czyny spełnione: *acta sed non verba...*

»Tu starzec zamilkł, jakby dla odpocznienia, albo też może dla zważenia, jakie wrażenie mówienie jego sprawia na słuchaczu. Twarz tego ostatniego smutnie sposepniała, lecz zawsze zupełne wyrażała potwierdzenie. Pomilczawszy przez chwilę, starzec raptem zapytał:

— Znasz przyczynę złego?..

«Mąż ospowaty nie odrzekł. Widać było jednakże po nim, że nie może albo nie śmie powiedzieć:— znam. Starzec więc mówił dalej.

— Główną u nas przyczyną złego jest: wyodrębnienie się stanu rycerskiego w łonie narodu... Zrobiło się to z potrzeby, a potrzeba przerodziła się w nadużycie... Naród nasz jest rolniczym... Rolnik potrzebuje spokoju i bezpieczeństwa, aby mógł zorać, zasiać i doczekać się zbioru, i znów orać, siać i zbierać... Gdyby dla oręża porzucał rolę, w celu podboju lub obrony, podbójca lub obrońca, zwycięzca lub pokonany, w każdym razie, zaodłogowałyby rola jego... Dla tego to z góry rzekł się podboju; a dla własnej obrony wydelegował część pewną ze swojej całości, uzbroidł ją i zaopatrywał jej potrzeby... Tak powstało nasze rycerstwo,;... nie jako stan lub klasa odrębna, lecz jako delegacya narodowa, mogąca być liczniejszą lub mniej liczną, stosownie do potrzeby, i po spełnieniu zadania swego, po odparciu najeźdźcy i zabezpieczeniu granic i pracy rolniczej, wracająca na łono narodu, z którego wyszła... Z potrzeby też obrony powstał i rząd u nas,... z tą wszakże różnicą, że rząd, zależał od wyboru, a rycerzem zostawał każdy dobrowolnie: bo doskonale rozumieli pracownicy nasi, że aby dobrze rządzić, potrzeba posiadać

zaufanie i uznanie spółobywateli, a aby dobrze się bić, potrzeba posiadać ochotę... Tym sposobem, rządzący władzę a rycerze oręż do rąk dostali... Władza i oręż musiały się zlać w jedno, bo orężni szli pod rozporządzenie rządców... I w rolniczym, bezbronny narodzie stała się władza orężna; i stała się wyłącznie rycerską; i zapragnęła być dziedziczną; i zorganizowała się w stan rycerski, który zaprzeczywszy narodowej całości praw życia publicznego, wziął na siebie stały obowiązek wyręczenia jej we wszystkich jej objawach... Łatwo mu to przyszło, bo był zbrojny i miał do czynienia z bezbronnymi... Stało się to w skutek słabosci ludzkiej, nie umiejącej oprzeć się ponętności władzy... Lecz z czasem zmieniło się w straszne nadużycie... Rycerstwo-część, obróciło naród-całość w poddaństwo... Zrzekłszy się podbojów zewnętrznych, wykonało wewnętrzny, na własnem swoim społeczeństwie... Sprawiedliwe względem obcych, stało się niesprawiedliwem względem swoich... Rodzicielkę zagarnęło w poddaństwo, ojczyznę zabrało dla siebie, w sobie ją ześrodkowało, nazwało ją sobą a siebie ojczyzną, i zamiast jej służyć, uczyniło ją sługą swoją... Takie, obrażające naturę postawienie się stanu rycerskiego, nie mogło obejść się bez najgorszych skutków... Wystąpiły one, tak w zepsuciu publicznych i prywatnych obyczajów, jako też i w tém, że grono rycerskie jest już za szczupłym, za słabym do zadośćuczynienia przyjętym na siebie dobrowolnie obowiązkiem... Nie jest już w stanie bronić samo siebie, a z sobą i ojczyzną... Od strony, w której Islam grozi światu chrześcijańskiemu, już nie może własną stać na straży osobą... Tam siła potrzeby postawiła rycerstwo nowe, młodsze, nieklejnotne, zawistne staremu i zawiść w starém wzbu-

dzające... To także dąży do odrębności, a dla mocniejszego onej uwydatnienia, osłania się i orężem swoim osłania sprawę uciśnionego chłopstwa... Ze zła jednego wyrodziło się drugie, jako przeciwwaga, jako konieczne następstwo, nieuniknione a groźne... groźne zaś dla tego, że poszarpie łono wspólnej matki... Potrzeba mu zapobiedz spieszenie, bo jutro, pojutrze, będzie może już za późno... Słyszę już grzmoty zbliżającej się burzy, przed którą należy się chronić, którą trzeba zażegnać, odwrócić... trzeba... koniecznie...

— Straszliwy obraz odmalowałeś, hetmanie... — odezwał się mąż ospowaty, gdy starzec przestał mówić. — Pokaż go senatowi, sejmującym stanom, całemu rycerstwu...

— Naprawdę!.. — przerwał starzec. — Długo żyłem, dużo myślałem, i poznałem ludzi... Nie ubłagać ich o zaparcie się siebie samych. A tu potrzeba zaparcia się... Potrzeba najprzód przyznania się: błądzimy... Nie... Człowiek jest strasznie słaby i podły w obec własnych namiętności... Nie zrzeknie się on pozycyi, zapewniającej mu wyższość towarzyską i wygody!... Namiętności ubezwładniają i rozbrajają najlepszą wolę osobistą... Pod ich sąd nie można oddawać takiej sprawy jak ratunek ojczyzny... Trzeba innego użyć sposobu... Przedłożę ci go, panie bracie, jeżeli znajdę w tobie gotowość zrobić zeń użytek...

— Rozporządzaj mną, hetmanie... — odezwał się mąż. — Ufam ci ślepo...

»Starzec prowadził rzecz dalej:

— Sposób ten zależy na tém: aby całemu narodowi otworzyć i ułatwić przystęp do stanu rycerskiego, i aby zatrzeć różnicę, jaka pomiędzy istniejącem już klejnotnym i nieklejnotnym rycerstwem zachodzi... Jednym sło-

wem, potrzeba nobilitować cały naród... Sposobność ku temu następuje się sama w obecnych okolicznościach... Korzystając z nich, utworzyć można coś pośredniego pomiędzy dwojgiem rycerstwa, co służyłoby pomiędzy nimi jako łącznik, do czego garnęliby się zarówno klejnotni i nieklejnotni, co zbliżyłoby i zlało w jedno dwie ostateczności, a zarazem dało sposobność każdemu bez wyjątku passować się na rycerza... Niech się na rozcięż otworzą wrota do stanu rycerskiego, i niech się cały naród przez nie wleje!.. Kiedy stan rycerski wyobraża ojczyznę, to niechże wszystkich ogarnie... Kiedy on jest szlachetnym, to niech nie będzie nieszlachetnych... Ojczyzna nie może nie zyskać, zyskając stokrotnie powiększoną liczbą obrońców... Potrzeba...

«Starcowi, kiedy słów tych domawiał, ogniem młodego zapалу gorzało oko. Widać było, jak on bardzo kochał tę ojczyznę. Ospowaty mąż wyczekiwał z niecierpliwością, jakby natychmiast chciał zrywać się i pełnić rozkaz starca.— Gdy w tém, w podziemiu głuchy rozległ się klekot.— Nasunęły tłumy szkieletów.— Starzec zamilkł i błędnie strzelił okiem do koła.— Szkielety wyciągnęły ku niemu ręce.— Ospowaty mąż zerwał się i błysnął zrazu groźnie okiem, z giestem takim, jakby sam jeden chciał pójść na wszystkich. Lecz natychmiast potem ręce mu opadły, i spoglądał tylko, jak człowiek rozżalony i zesmucony uczuciem własnej bezwładności. A tłumy nasuwały, coraz większe i coraz gęstsze. Opony i osłony komnaty, w której siedział starzec, coraz bardziej przezroczyślały i, można powiedzieć, rozwiewały się w taki mniej więcej sposób, w jaki z ciemnej ściany znika blask od potarcia fosforu. Tak samo działo się z meblami, murami i odzieżą. To samo z cia-

łem hetmana i jego przyjaciela. Zdawało się, jakoby to wszystko rozkładało się na gazy, Najdłużej rozkładowi opierały się: miecz i buława. Stołu już nie było, a kształty miecza i buławy widzieć się jeszcze dawały. W końcu i to znikło, i pozostał wśród tłumów starzec i ospowaty mąż. Swiecili ostatniemi, niewyraźnemi zarysami ciał, z pod których bielaly już nagie kości. Starzec zerwał się ruchem rozpacz i wznosił ręce do góry, jakby z prośbą do nieba. W tej chwili lekki jakiś niby podmuch zdjął z niego ostatnie ślady powietrznych kształtów, i on gołym kościotrupem runął na ziemię. Najbliżej niego stojący szkielet przydeptał mu nogą czaszkę; drugi stanął mu na żebrach, inny na piszczelach, Kości zatrzeszczały. Tłumy poczęły się chwiać, jak zbożowe kłosa od powiewu burzy, chyłały się i kładły na olbrzymią jedną kupę.— I wszystko znikło.— Pozostała tylko okiem niezmierna kostnica.— I napróżno długo jeszcze, długo czekałem, aby znów podziemie życiem zawrzało.»

A co... Jak też łaskawemu czytelnikowi podoba się ten spory ustęp?.. Jeżeli styl onego wyda się dość gładkim, to uprzedzam, że pochwała za gładkość mnie się należy. Obrobiłem, wypełniłem i powiązałem okresy, obawiając się, aby, pozostawiając je w pierwotnym ich stanie, łaskawy czytelnik od głośnego czytania, (gdyby mu nb. ochota głośno czytać przyszła), nie dostał nagiotków na języku.

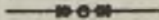
Pomijając jednakże styl, pomijając także ramy, w które powyższy np. opis ułożony został, warto zastanowić się nad treścią. Są tam rzeczy takie, z których widać że autor myślał nad przeszłością. Pytanie nad jaką przeszłością?... nad którym mianowicie momentem wieków ubie-

głych?.. On sam na to odpowiada, oznaczając wyraźnie: dwa wieki i pół, czyli dwieście pięćdziesiąt lat, o których na nie jednym szpargale wspomina; ale nigdzie nie wymienia ich tak dokładnie, aby można było z całą pewnością, oznaczyć rok, miesiąc i dzień. W dwóch jeszcze czy w trzech miejscach są opisy kościotrupich dramatów, jakby umysł autora robił niekiedy wycieczki pod ziemię, spodziewając się, że

»Tam znajdzie zbroje stare, co zardzałe leżą,
I kości, co niewiedzieć do kogo należą;
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele...«

Zresztą, akcja jego opisów i dramatycznych obrazów odbywa się na powierzchni ziemi, przez żywych ludzi; jego postrzeżenia do żyjących także się odnoszą. Ale wszystko tak poplątane i zagmatwane, że dla rozgmatwania, trzeba było znać Jana osobiście i bardzo blisko. To »trzeba« zmusza mnie zaznajomić czytelnika najprzód z autorem, a potem dopiero z jego dziełem.

Wyznać muszę, że pomimo bliższej z Janem znajomości, z trudnością jednakże, po nitce, dochodziłem do kłębuszka. A dochodziłem sam, bez niczyjej pomocy i porady. Raz odwołałem się do rady i najgorzej na tym wyszedłem. Spotkało mnie bowiem zniechęcenie. Jak to było, opowiem, a to tym chętniej, że osoby, o których będę mówił, nie zupełnie obojętną rolę w powieści życia Janowego odegrały.



II.

Właśnie, kiedy wyporządziłem ustęp powyżej przytoczony, i odczytując go kilkakrotnie, delektowałem się nim, do słuchu mego doszło trzaskanie z bata i turkot wjeżdżającego na podwórze pojazdu. Wyjrzałem przez okno. Od razu poznałem krytą, na kładzionych resorach nejtyczankę mego niedalekiego sąsiada, powiatowego marszałka, Albina Skrzybickiego. Pośpieszyłem co prędkiej ua ganek. Ostatni wystrzał z bata zadzwonił mi w uszach. Piątka zatoczyła na podwórzu półkole i przytoczyła nejtyczankę pod same moje nogi, a ściągniona silną dłonią furmana, stanęła jak wryta.

— *Wydom wydaty, słychom słychaty!...*— zawołałem z ganku.

— Kopa lat już!...— odezwał się głos z nejtyczanki.

Wołania te miały niby oznaczać, żeśmy się od niepamiętnych czasów nie widzieli; chociaż, mówiąc nawiasem, trzy dni temu, w Czeczelniku, na jarmarku, miałem przyjemność kilka godzin spędzić w towarzystwie szanownego sąsiada. Dowodziłoby to, żeśmy się tak ser-

decznie kochali, że trzy dni wydały się nam »kopą lat«. Jakby tam jednakże nie było, dość, że gdy Albin wy-
laź z nejtyczanki i pochwyił mnie w szerokie objęcia, ucałowaliśmy się serdecznie.

— Bodajto... mój poczeiwy Tomaszu... kochany sąsie-
dzie!..— wołał całując.— Takto... he... tak!.. Jakże mi
się masz?.. co?.. zdrowo... mocno?.. he!..

Otarł usta i uściskał mnie *da capo*, a każdy jego
pocałunek rozlegał się donośnie i dźwięcznie, niby pi-
stoletowy wystrzał.

Chciałem coś przemówić, otwierałem już usta; lecz
usta moje zatkanemi zostały miękkimi i mokremi usta-
mi Albina. Nic więc nie mówiłem, tylko, nie chcąc dłu-
żnym pozostać w wynurzeniu czułości, darłem się głę-
bą do policzków sąsiada, chwyciłem go za barki i tak ma-
newrowałem, aby pocałunki jego ściągnąć sobie na twarz,
a odwrócić od ust. Manewra te nie wiodły mi się jednak.
Na którą stronę nie pochyliłem twarzy, wszędzie ustami
spotykałem usta sąsiada, a nawet wypadło raz jakoś tak,
że on, chcąc się snadź oblizać, oblizał zarazem i sie-
bie i mnie. Przelknąłem odważnie ślinę i ze spotęgo-
wanym zapalem uściśnąłem go i pocałowałem.

Nareszcie— skończyło się to.

Serdeczność taka, zdarzająca się u nas na wsi, od
pewnego czasu staje się coraz rzadszą. Nie powiem,
abym za nią tęsknił, tém bardziej, że już nie bywa ona
prawdziwie serdeczną. Same bezsporne przyjęcie przy-
słowia:— »kochajmy się jak bracia, rachujmy się jak
żydzi«— dowodnie pokazuje, jakiej wartości jest ninie
owo sławne, dawne:— »kochajmy się«. A w co staro-
polskie »kochajmy się«, w to samo i «ściskajmy, całuj-
my» obróciło się. Serdeczność i rachunek stanęły w je-

dnej parze. Dawniej serdeczność była bez rachunku. Wyrównanie się tedy tego ostatniego na pierwszy, oznacza, że rachunek wzrasta procentami dodatniemi, a serdeczność ujemnemi:— z czego wypada, że gdy rachunek dojdzie do *maximum*, serdeczność spadnie, najprzód na zero, a z zera wkroczy w sferę wartości ze znakiem *minus*. Jest to obrachowanie oparte na jeometrycznym postępie, a pewne, tak przynajmniej, jak Malthusowe rozrodzenia się rodzaju ludzkiego. Z wzrostem rachunku grozi nam serdeczność ujemna. Pytanie: co lepiej— czy bezrachunkowość, czy bezserdeczność?..

Bez odpowiedzi jednakże to ważne pomnę pytanie, albo raczej odpowiedź na nie pozostawię sądowi ludzi kompetentnych, tych, którzy pisanemi morałami rozwiązać usiłują zadania społeczne, którzy moralizują, moralizują i moralizują bez końca, miary i granic, używając morałów w rodzaju deszczochronów, mających społeczność od ulewy zła zabezpieczyć. Oni— zdaje się— wzięli sobie za zadanie, jeżeli nie rozwiązać, to przynajmniej rozdeklamować to arcyważne pytanie. Niech więc rozwiązują, deklamują, rozdeklamowują;— ja wracam do Albina.

Uściski sąsiada, albo raczej jego wysoka i szeroka postać, bynajmniej nie przezroczysta, zamaskowała przed oczami memi dalszy widok, zasłoniła nie tylko horyzont, ale i podwórze całe i ganek, i nie dozwoliła mi dopatrzyć od razu innej postaci, która najprzód mignęła się mi w budzie obok Albina, potem na stopniach nejtuczanki za Albinem, a nareszcie— kiedy ten ostatni rzucił się na mnie— znikła. O ile po przelotnym spojrzeniu sądzić mogłem, nie była to lotna, powietrzna po-

stać ducha lub sylfidy, ale coś przysadkowego i dość ciężkiego, zdolnego raptem zniknąć przez zawalenie się chyba pod ziemię, gdyby skorupa ziemska nie była dość mocną do udźwignienia ciężaru chociażby nie wiem jak otyłych ludzi. W uściskach Albina przyszła mi ona na myśl; chciałem obejrzeć się za nią; lecz sfera uścisków tak mnie ogarnęła i osłoniła, że nie zdołałem na zewnątrz ani jednego przelotnego wykrasć spojrzenia. Aż gdy mnie Albin uwolnił— gdy on i ja odsapnęliśmy po serdecznościach— ujrzałem stojącą tuż przy nas figurę w czarnym fraku w czarnych spodniach i w aksamitnej niepewnego koloru kamizelce. Z pod fraka, na brzuch tej figury spływały breloki, składające się: z dżetatur, rożków, z trzech misternie wyrobionych kluczyków do zegarka i z dwóch pieczęci krwawnikowych. Palce jej ozdobione były w dwa różnej wielkości sygnety, z których jeden, ten co jaśniał na wielkim palcu, mógł taką bez mała pieczęć wycisnąć, jakie widzimy na aktach urzędowych. Wierzch tej figury świecił niewielką łysiną, ukoronowaną w gładko uczesane i przylegające do skroni miękkie włosy. Brelokom było u niej dobrze, bo, nie jak u ludzi chudych, chwiały się i podskakiwały w powietrzu, ale lekko i regularnie oddechem poruszane, spoczywały na krągłym, gładkim i nieco naprzód wydętym brzuszku. A jak brelokom, tak wszystkiemu, zdaje się, na tej figurze było dobrze— i frakowi i spodniom i kamizelce, a to dla tego zapewne, że sama ona, ogólnym wyrazem całej swojej postaci, wyrażała najzupełniejsze z siebie zadowolenie. Oko jej było duże, otwarte i— że użyję Mickiewiczowskiego porównania— słodkie, jak figa. Twarz świeciła podwójnie: i pewnym połyskiem naturalnym, pochodzącym jakby od wyglansowania lub wy-

tarcia delikatnym tłuszczem, i protekcyjno-dobrotliwym uśmiechem, przystyglým niejako do tłusciutkich policzków.

Ze wspomnienia o fraku, domyślił się zapewne czytelnik, że figura, o której mowa, była płci męskiej, pomimo, że opisując powierzchowność jej, używałem ciągle rodzaju żeńskiego. Robiłem to umyślnie. Trafwszy na wyrazy »postać, figura,« będące żeńskiego rodzaju, nie spieszyłem się zamienić je na «mąż, mężczyzna, obywatel» i t. p., dla tego, że człowiek ten należał z pozoru do bezpłciowego rodzaju ludzi, których nawet do hermofrodytów zaliczyć nie można: hermofrodyeci bowiem łączą w sobie dwie płcie— a on wyglądał, jakby nie miał żadnej— wyrażał jakowąś neutralność, do której ani jedna ani druga połowa rodzaju ludzkiego przyznaćby się nie mogła— jakiś rodzaj muła— ni koń, ni osioł— po którym rodzajowej reprodukcji spodziewać się nie można. Ale było to tylko pozornem: bo rzeczywiście był on płci męskiej. Neutralność jego na naszą rozwiązywała się korzyść, ale to w taki sposób, jakby nam zaszczyt uczynić chciała— jakby mówiła: »mężczyzni, szczyćcie się! że *mnie* w waszym rodzaju posiadacie.« A zaimki «*mnie*» i «*ja*» żywcem wcielonymi były w jego całą postać: wyglądały przez oczy, wylaziły przez usta, jakimś płomykiem wystrzelały z łysiny, unosiły się nad uszami, rozsiadały na brzuchu, a wszędzie uśmiechnięte i zadowolone. Nie będę wymieniał koloru jego włosów, oczu, cery, te bowiem szczegóły zamazywały się niejako, jakby pod lakierem, który zamiast uwydatnić barwy, rozpuścił je i zmieszał, i z obrazu, o którym przedtem można było powiedzieć, że jest ładnym lub brzydkim, zrobił to, że można było nazwać go tylko... lakierowanym. Ja-

śniał na gościu lakier miłości własnej, opromieniał go od stóp do głowy i wykradał najzupełniej wszystkie drobności, któremi— chcąc czytelników bliżej z powieściowemi postaciami poznać— autorowie wprowadzane przez siebie postacie określają. Ani w pierwszej chwili ani później, nigdy dokładnie nie wiedziałem, czy człowiek, którego Albin przywiózł do mnie, jest brunetem lub blondynem, pięknym lub niepięknym, Zdaje się jednakże, że nie był on ani takim, ani owakim.

— Rekomenduję ci...— rzekł Albin po odsapnięciu, demaskując gościa i robiąc prawą ręką giest taki, jakby go chciał ująć pod ramię i podprowadzić ku mnie.— Rekomenduję ci.. pana.. Józefa Ambrożego Porońskiego..

— Pan Józef Ambroży!...— zawołałem, i chciałem rzucić się ku niemu, dla uściśnięcia jego prawicy, z taką samą przynajmniej serdecznością, z jaką uściśkałem się z Albinem. Lecz »ja« i »mnie,« zamigotały nad obliczem pana Józefa Ambrożego, wionęły na mnie chłodem i zmroziły mój serdecznościowy zapal. Cofnąłem się zrazu— ale natychmiast poprawiłem się. Ułożyłem twarz jak można najgrzeczniej, wykrzywiłem usta do uśmiechu, o ile można najradośniejszego, podszedłem do gościa, podałem mu rękę i witałem go:

— O!.. jakże jestem szczęśliwym, że mam zaszczyt posiadać w domu moim takiego znakomitego człowieka!...

Albin tymczasem spoglądał na nas z góry i śmiał się urywanym co chwila półśmiechem:

— Cha-cha!.. cha-cha-cha!.. cha-cha!..

Pan Józef Ambroży, nie przerywając mi, słuchał moich komplementów, i w miarę coraz powiększającej się dobitności onych, coraz mocniej, miękko i delikatną dło-

nią swoją ścisnął mi rękę. Ja zaś ciągle tworzyłem waryacje na jedną i tę samą nutę, a tą nutą było: «o, jakże jestem szczęśliwy!» Aż wyczerpnałem się i umilkłem. Wówczas pan Józef Ambroży zabrał głos:

— Wzruszenie nie dozwoliło mi mówić... Powitanie pańskie z marszałkiem, uprzytomniło mi szczeropolską serdeczność, tak, niestety! rzadką w naszym wieku... Z zachwyceniem patrzyłem na was, panowie... Przekonałem się, że niewygasło jeszcze wśród nas polskie uczucie, że żyje jeszcze ono pod strzechą szlacheckiego dworku... Łzy pocisnęły się mi za powieki... Muszę mieć łzy w oczach?..

Ostatnie wyrazy wymówił z akcentem, w którym zabrzmiało zapytanie. Spojrzałem mu w oczy, i nie wiem— czy w nich były łzy, czy nie były: wydało mi się bowiem, że i nie były i były.

Albin zaśmiał się głośniejsz, jakby śmiechem tym chciał wyrazić:

— A co?.. a widzisz!..

— O, panie..— podchwyciłem, i nie widziałem, co mam dalej powiedzieć.

— Dzięki, wam, panowie...— przerwał pan Józef Ambroży, wstrząsając z lekka moją ręką i puszczając ją po chwili— dzięki wam, za to wzruszenie... Zelektryzowało mnie ono...

Powiem prawdę, że wynurzenie wdzięczności nie bardzo mi się podobało. Wyglądało to bowiem na dziękowanie aktorom, za dobre odegranie ról na scenie; wydało mi się, że pan Poroński, zrobił sobie spektakl z mojego z Albinem przywitania. Nie okazałem jednakże nieukontentowania mego, a on ciągnął dalej:

— Jakżeż-bo tu miejscowość odpowiada podobnym okazom!..— i obrócił się oglądając do koła.— Ta stara strzecha szlachecka... to obszerne podwórze... ta pochyłona stajenka... ten płot z rozwieszoną bielizną... te skrzypiące wrota, zamykane kołaczem... ten staroświecki nasz, a taki nasz, przełaz!..

Tu głos jego zadrżał, jakby pod naciskiem silniejszego wzruszenia.

— Ta nakoniec— ciągnął— klassyczna na podwórku lipa, taka Czarnoleska, że nasz pan Jan, zdaje się, iż tylko co wstał z pod niej... te widne ztąd chatki pocziwych naszych chłopków... ten staw, ogłaszający się szumiącym młynem, i ciemnozielony las, i łany zboża, i ów nadpróchniały krzyż, wyciągający po nad wsią zgrzybiałe ramiona, jakby jej błogosławił, i cerkiewka, i karczemka, i wszystko... ach!.. panie!.. a na tle tego sielskiego obrazu, pan dobrodziej, w objęciach zacnego i szanownego marszałka!..

Tu pan Józef Ambroży posunął ku mnie, chcąc snadź pochwycić mnie w objęcia i przycisnąć do piersi, ale wyprzedził mnie Albin, który, bez żartów tem wyliczeniem cech sielskości rozczulony, przestał śmiać się, odepchnął mnie, wysunął się naprzód pomiędzy mnie i gościa, i przyjął tego ostatniego na łono swoje.

Pan Józef Ambroży i Albin splekli się ramionami. Uścisk był długi i ze strony sąsiada mego potężny. Ugniatał on gościa, podnosił, stawiał, znów podnosił. Słychać było co chwila odgłosy pocałunków i krzyżujące się z dwóch ust wyrazy: »wielki, zacny, znakomity, szanowny.« A gdy wybuch ten czułości zakończył się, gość był mokry od łez, któremi oblał go Albin, i czer-

wieniał się od pocałunków, które ten na policzkach jego wypiętnował. Poczciwy marszałek na prawdę się spląkał: wyjął z kieszeni fular, ucierał nos i obcierał oczy. Rozczulenie jego i mnie zaraziło. Czułem jak i mnie poczęło się już w gardle zatykać. Pan Józef Ambroży tymczasem westchnął, przyłożył parę razy białą batystową chustkę do oczu, i, zwracając mowę do mnie, tak rzecz dalej prowadził:

— Poznałem, panie... od razu poznałem, że w takim sielskiem zacisznym gniazdku, pomalowanem takimi cudnymi a *naszemi* barwami, Boży mieszkać musi czeladnik... Tu wszystko wieje urokiem *naszej*, przeszłości...

Zauważałem, że zaimek «nasz» wymawianym był z pewnym, szczególniejszym przyciskiem.

— Biada temu, co jój nie uznaje!..— zawołał podniesionym do akcentu anatemy głosem.— Biada temu, co podniesie świętokradzką rękę na ten Boży spokój, na ten żywot ciszy i rezygnacyi, jaki przechował się jeszcze w naszych wioskach, w naszych dworzech szlacheckich, wśród naszego ludku!..

Albin podniósł prawicę do góry i wstrząsnął nią, jakby dla okazania, że klątwę pana Józefa Ambrożego popiera. Chciał on coś mówić, ale nie mógł. Silne wzruszenie więziło mu wyrazy w gardle.

Moje wzruszenie jakoś przeminęło. Przypomniały się mi obowiązki gospodarza domu, przeciwko którym wykroczyłem, trzymając gości za długo na ganku.

— Proszę panów... Służę panom...— rzekłem, zwracając się do pana Józefa Ambrożego i ukazując na drzwi wchodowe.

Pan Józef Ambroży przymusnął z lekka dłonią skudłaczne nieco w objęciach Albina włosy i postąpił ku drzwiom. Lecz raptem zatrzymał się przed samym progiem, cofnął się o parę kroków i zwracając się to ku mnie, to ku Albinowi, począł się certować:

— Panie dobrodzieju!.. panie marszałku!.. proszę panów!.. nie róbcie mi tej krzywdy!.. ależ, panowie!.. proszę iść naprzód...

— Ale!..— podchwycił Albin.— Za kogoż to pan dobrodziej nas ma!.. niechże pan będzie łaskaw!.. ja tu jak u siebie, jak domowy... znam się z Tomaszem od czasu, jak obadwa chodziliśmy bez por., hm!.. bez spo... bez por...

Tu Albin się zaciął i nie chciał dokończyć wyrazu, myśląc snadź że nieprzyzwoity, a nie mogąc zastąpić go innym jakim, jękał się.

— Dokończ, panie marszałku...— rzekł dobrotliwie pan Józef Ambroży.— Tak: tek— dni... My tu sami swoi... Mnie zachwyca ta nasza wiejska naiwność... Co na sercu, to na języku... *O, sancta simplicitas!*..

— Ależ, proszę panów!..— zawołałem głośno, widząc, że się na nowe uniesienie zanosil..

— Niechże pan będzie łaskaw!..— odparł pan Józef Ambroży, pokazując mi na drzwi.

— Proszę pana!..— nalegałem.

— Ale-bo, panie!..— odebrałem w odpowiedzi.

— Idź Albinie!.. otwórz pochód!.. daj przykład!..— przekładałem sąsiadowi, lecz ten był niewzruszony.

— Za nic!.,— odrzekł stanowczo.— Jakto!.. ja miałbym poprzedzać pana Józefa Ambrożego!.. Za nic!..

— No... to ja panów poprzedzę... ja... gospodarz!..

I wszedłszy do sieni, począłem wabić ku sobie moich gości.

— Panie Poroński dobrodzieju!.. Albinie!.. Albinie... marszałku!.. panie Poroński!.. proszę panów!.. służę panom!..

Nie powiódł się mi ten manewr. Goście byli nieporuszeni i nieubłagani!.. Napróżno przekładałem. Jeden drugiego poprzedzać nie chciał. I ja wystawiłem się jedno na kompromitację. Musiałem więc jak niepyszny powrócić znów na ganek i znów prosić i błagać o zaprzestanie ceremonii. Tyle jednakże zyskałem, że wykluczyłem się od pierwszeństwa. Już o mnie nie chodziło. Przekroczeniem progu przekroczyłem prawidła grzeczności, utraciłem do pierwszeństwa prawo i od świeżo zarekomendowanego gościa dostałem mimochodem nauczkę, której sens moralny zawarł się w potrzebie szanowania zwyczajów przodków, jedynej— jak powiadał pan Józef Ambroży— naszej spuścizny.

— Nie gońmy— mówił— za tem, co wkracza w sferę niemożliwości... Ukorzmy się przed wyrokami Opatrzności... Ale, jak oka w głowie strzeżmy tych naszych świętości...

— Ależ, proszę pana dobrodzieja!..— odezwał się już nieco znieczepliwiony Albin, który radby był usiąść i o-rzeźwić się czem lub pokrzepić.

— Panie marszałku dobrodzieju!..— odrzekł pan Józef Ambroży błagająco — Nie narażajże mnie na uchybienie szacunkowi, należnemu tak zacnemu, tak godnemu przedstawicielowi obywatelstwa...

Nie było rady. Jeden drugiego przeprzeć nie mógł. O czem przekonawszy się, następujący zaproponowałem sposób:

— Panowie dobrodzieje!.. wchodźcie razem...

Albin ujął pana Józefa Ambrożego pod ramię i poszedł ku drzwiom. Lecz w tém nowa zaszła trudność. Drzwi były za wąskie. Trzebaby chyba było na pół łokcia je rozszerzyć, aby przeprowadzić przez nie razem Albina i pana Józefa Ambrożego. Weszli i zagrzeźli— i musieli się cofnąć. Albin próbował wsunąć się bokiem, ale to mniej jeszcze było możliwem, dla tego, że w brzuchach szerszymi byli ci panowie, niż w kłębach.

Przy tych probach miałem sposobność porównać wzrost moich gości. Pan Poroński sięgał łysiną do ucha Albinowi, tak, że ten ostatni całą połową głowy nad nim górował. Tuszą jednakże nie wiele się różnili i pod tym względem obadwa należeli do rodzaju obywateli poważnych.

Już rozpaczałem. Myślałem, że przyjdzie mi przyjąć gości na ganku. Już chciałem wołać o krzesła. Gdy w tém zmiękł raptem Albin, ruszył ku drzwiom i utorał drogę do wnętrza domu, najprzód panu Józefowi Ambrożemu, a za nim i mnie.

Jak gości podejmowałem— o tém, zdaje mi się, nie mam potrzeby opowiadać czytelnikowi. Ale za to mam potrzebę poznać bliżej jeszcze z postaciami dwóch mężów, z których jednego od dzieciństwa osobiście, drugiego prawie od dzieciństwa z reputacyi, doskonale znałem. Zacznę od tego ostatniego.

Niejeden z czytelników może zna pana Józefa Ambrożego Porońskiego, tak przynajmniej, jak ja go znałem, to jest: z reputacyi. Nie wchodziłbym przeto w szczegóły jego osobistości, gdybym się obawiał, abym nie naraził go na *qui pro quo*: aby pan Józef Ambroży nie był wziętym za kogo innego, lub kto inny za pana Jó-

zefa Ambrożego. Z tego powodu powiedzieć muszę wyraźnie, że jest to autor dzieł drukowanych i niedrukowanych, ten drażniciel ruchu umysłowego swęj prowincyi z ostatnich czasów, ten przedsiębiorca rozlicznych naukowych, artystycznych, literackich i dobroczynnych zakładów— ten sam, co tak szczerze się gniewa, że nie widzi, aby siejba jego wchodziła i w plon się zamieniała. Jest on żywem weieleniem tegoczesnej naszej literatury. Poeta, powieściopisarz, artysta, moralista, trochę, ale nie bardzo, uczony, wydrukował kilka tomów, w których doszukać się można wszystkiego, *czego*— jak Rusin powiada— *dusza zabażaje*, a wszystko oparł na głębokiej... czułościowości.— »Kochać, nie ryzykować się!«— oto jego dewiza. Jest on wyznawcą stałego, ale spokojnego uczucia, szemrzącego zawsze jednakowo, jak strumyk, i jak strumyk, płynącego wśród kwiatków, badyków, motylków, takiem korytkiem, jakiem mu— jak się wyraża— *Opatrzność płynąć* kazała. Wszelkie na prawo albo na lewo zmiany owego korytka, nazywa bezwzględnie wyrokiem Opatrzności, z góry je uznaje, i radzi zastosować się do nich... z »rezygnacją.«— «Szarpać się— powiada— to nie sztuka... To lada kto potrafi... Dziki zwierz szarpie się... A człowiek przecie wyższym jest od dzikiego zwierzęcia...— Dla tych, których miłość spaliła, ma on słowo politowania i żalu. Kiwa głową i mówi: »szkoda ich!.. takie złote serca!.. zdaliby się na co innego...« Jest bowiem tego przekonania, że ci, którzy żywcem skoczyli w płomień miłości i rozsypali się w popiół w jej zarzewiu, gdyby nie uczynili byli tego szaleństwa, to pozostałoby im miłości właśnie w miarę. właśnie tyle ile potrzeba; na czytanie i kupowanie książek, na wspieranie artystów, na dawanie składek na po-

mniki, medale, teatra, muzea, biblioteki, kościoły, klasztory, dobroczynne zakłady, etc. etc. Dla tego ich żałuje: bo inaczej— litowałby się tylko nad nimi. Dla tego też— stosując się sam do własnych prawideł— stał się niewyraźnym, nabral tuszy, stracił płeć i cerę. Ustroił się w breloki i sygnety, jako w relikwie, we wspomnienia przeszłości, niewyraźnej, wczorajszo-dzisiejszej, do utworzenia której sam się znacznie przyczyniał, a w której dążono— do pogodzenia obowiązków i wygod, i znalaziono:— że dla pełnienia obowiązków należy umiarkować wygody; albo też, na odwrót: dla zabezpieczenia wygod trzeba miarkować obowiązki. Stroić się we frak z pierwszą wizytą— ceremoniować się o pierwszeństwo— wołać o litość nad biednymi, pocziwami chłopkami— nos ucierać w batystową chustkę— zachwycać się prostotą i naiwnością— przestrzegać zwyczajów przy stole— zalecać wiarę, jako lekarstwo w utrapieniu— potępiać rozum, jako osłabiający wiarę, podkopujący obyczaje i bałamucący głowy. Oto prawidła, podług których pan Józef Ambroży kieruje się w życiu, i które usiłuje wpoić w ducha swęj społeczności. A widząc usiłowania swoje pół daremnemi— widząc, z jednej strony wybryki, prowadzące za daleko, jednych po drodze obranego z rozumu uczucia, drugich po drodze ogołoczonego z uczucia rozumu; z drugiej strony, opieszałość, nie dochodzącą do normy czulego umiarkowania, jaką on przepisał— gniewa się, zżyma, ciska pioruny, niekiedy we frazeologiczno-deklamacyjnym zapędzie dochodzi aż do tego, że zdaje się, że już, już rozstał się z umiarkowaniem, że sięgnie po broń ostrą, zaczepną, z którą popelni... szaleństwo... Zawsze jednakże w czas się zatrzyma i wycofa... z honorem— i wielki alarm kończy... niczém. W tej

grze wielce mu pomagają: wrodzona zdolność i ruchliwa imaginacya.

Zdaje się, że dostatecznie dałem go poznać. Jeżeli opuściłem rys jaki, charakteryzujący tę niepospolitą postać, to może i nie moja w tem wina. Jako wioskowy mieszkaniec, nie mogłem dostatecznie ogarnąć całości tej niewyraźnej istoty.

W świecie autorskim ma zwyczaj prawdziwe swoje miano ukrywać po za rozlicznymi a coraz to innymi pseudonymami. Nazywa się raz tak, drugi raz owak, przybierając nazwisko to tego, to owego autora... rozumie się— za zgodą i pozwoleniem właściciela. W jakim to celu... nie umiem sobie dobrze wytłómaczyć; może przez amatorstwo, może przez abnegacyę... Raz chciał pod mojem wystąpić imieniem. Nie pozwoliłem, i przeprowadziłem z nim z tego powodu dość interesującą korespondencyę. Pan Józef Ambroży usiłował dowieść mi, że chce użyć mego nazwiska, nie na swoją, ale na moją korzyść, i takie dawał racye:

— ».....Kończysz pan trzydzieści lat— pisał (jak on wiedział o moim wieku!..)— i wkraczasz w wiek dojrzałości. Czas, aby i na utworach pańskich znać już było dojrzałość. Przed trzydziestu laty nie można być pisarzem: jest się jeszcze studentem; próbuje się sił i życzyby należało, aby młodzi ludzie trzymali swoje wyroby w tekach, przepisywali je, poprawiali i nie rwali się do druku przed skończeniem trzech krzyżyków. Dobrzeby było i niesłychanieby na tém publiczność zyskała, gdyby każdy nowy pisarz, posyłając dzieła swoje do cenzury; obowiązany był przyłączyć metrykę urodzenia. Co to za ulga byłaby dla cenzora!.. jakby na tém zyskała publiczność!.. jakby zyskał sam autor!.. Piérwszemu uby-

łoby połowę pracy. Druga nie zapychałaby się niezdrowym pokarmem, do zielonych podobnym jabłek. Trzeci zaś nie kompromitowałby swego nazwiska: bo nie byłby zmuszonym, albo zapierać się później swoich młodych opinij, albo unosząc się źle zrozumianą ambicją, bronić takowych i narażać całą swoją autorską karierę. Pan jesteś w tym ostatnim przypadku. W pańskich pismach przebija się talent, z którego może dałoby się co zrobić, ale, niestety! obok talentu, straszliwe wady: w pisowni— błędy (o zgrozo!) grammatyczne, w stylu— niepoprawność, w myślach (co najgorzej)— tendencyjki... Musisz pan albo wyprzeć się pism swoich, albo bronić ich. Pozwólże mi zrobić i jedno i drugie. Piszę, jak pan wiesz, nieźle (o! życzyłbym sobie tak jak on pisać...); nie zrobię więc panu wstydu, nie skompromituję pańskiego nazwiska. Wydam dzieło, które wyrobi panu stanowisko, dzieło-oś, które usprawiedliwi przedtrzydziestoroczne pańskie autorstwo i zarazem wytknie drogę na przyszłość. Wtajemniczyłem się w rodzaj pańskiego talentu i potrafię być Tomaszem Teodorem Jeżem. Obrońnię, oczyszczę, usprawiedliwię i zalecę pana, i dam panu przed oczy wzór-tekst, którego rozrabianie zajmie ci całe życie i na podstawie onego będziesz mógł tysiąc tomów napisać. Będzie to: pocziwe wyznanie wiary, dobra obrona i skuteczne lekarstwo— wszystko niesłychanie panu obecnie potrzebne: stoisz bowiem przed publicznością w podwójnej roli, obwinionego i chorego, i potrzebujesz wyjść z niej. Sam nie potrafisz sobie zaradzić: bo jak obwiniony, chociażby najlepszym był prawnikiem, nie może obejść się bez adwokata, jak chory, chociażby najgruntowniej posiadał medycynę, nie może nie wezwać pomocy lekarza, tak pan nie możesz nie po-

trzebować mnie. Gdzie indziej egzystuje krytyka, kierująca autorami. U nas jej nie ma. U nas autor musi kierować się wedle jakiegoś wzoru-tekstu. Jeżeli przeto ów wzór-tekst nosi podpis obcy, autor staje się naśladowcą; jeżeli zaś jego własne nazwisko figuruje na okładce— zostaje oryginalnym. W zamian tedy za pożyczenie mi nazwiska na raz jeden, ofiaruję panu: oryginalność,— i uprzedzam, że o zamianie tej publiczność nie a nie nie będzie wiedziała. Tajemnica utonie pomiędzy mną a panem i tymi, z którymi uczyniłem już tego rodzaju zamianę. Ten ostatni warunek koniecznym jest, dla utworzenia i utrzymania w gronie literatów pewnego *esprit du corps*. Na to pan zgodzisz się bez namysłu, jeżeli przystaniesz na zamianę. Dyskrecyę z mojej strony zaręczam honorem; dyskrecyę zaś ze strony literatów zaręcza ich własny interes. A dla zachęcenia pana, na dowód mojej dobrej wiary, bezinteresowności i ufności, i licząc z góry, że propozycya moja, tak dla pana korzystna, będzie przyjętą, przyłączam rejestr literatów, których nazwiskami posłużyłem się, jako pseudonymami. Takiego świetnego towarzystwa nie powstydzisz się pan....«

Rzeczywiście, przy tym liście był rejestr nazwisk, z wyszczególnieniem dzieł. Gdym to przeczytał— aż mnie głowa zabolala... I zawahałem się: co robić?.. Gdyby nie ten rejestr, to bez namysłu odrzuciłbym propozycyę, pomimo, że bardzo była korzystną. Ale— ten rejestr!.. Przebieżenie go oczyma i krótkie zastanowienie się nad nim, wywróciły całe moje wyobrażenie o tém, co się godzi, a co nie godzi. Przykład powag stanął przedemną jak *fatum*, o którym chociaż się wie, że jest złem, ale się wie również, że jest nieuniknionem— jak grzech z całą

grzechu ponętnością. Wpadłem w zły humor. Zły humor wywołał we mnie potrzebę sprzeciwienia się. Potrzeba sprzeciwienia się oparła się na przekonaniu. I— odmówiłem. Bodaj, czy nie ta to odmowa spowodowała wizytę pana Józefa Ambroźego. Nie wiem o tém z pewnością, ale— być może...

Człowiek, który przywiózł pana Józefa Ambroźego, był moim starym i dobrym znajomym, rówieśnikiem i szkolnym kolegą, przed sześciu laty ożenionym, a przed pięciu obranym jednogłośnie na powiatowego marszałka.

Koleżeństwo nasze zhartowało się w przyjaźń, nie tyle w klassie, ile na stancyi, w klassie bowiem, tylko w jednej, pierwszej, byliśmy razem; na stancyi zaś przepędziliśmy ze sobą całych lat pięć. Przez ciąg tych pięciu lat, Albin Skrzybicki przeszedł klass trzy— i skończył. Ojciec jego powiadał:

— *Omne trinum perfectum*:... jeżeli Albiniek nie może siedmiu klass ukończyć, to wolę, aby poprzestał na trzech, niż miałby potem wyskoczyć ze środka, z czwartej albo piątej, jak Filip z konopi.

Nieboszczyk bowiem prezes Skrzybicki, był trochę, sam może o tém nie wiedząc, Pitagoresistą. Wierzył w liczby, wszystko układał i wszystko u niego samo układało się wedle pewnych cyfr, pomiędzy którymi pryncypalne znaczenie miały: jeden, trzy i siedm. Pochował trzy żony, miał jednego syna, trzy wsie i siedm tysięcy rubli sr. rocznego dochodu. Kiedy Albiniek nie dostał promocyi z pierwszej klasy do drugiej, już go chciał odbierać ze szkół, obawiając się, aby dostawszy promocyę, nie zahaczył się na drugiej; a kiedy dostał się do tej ostatniej, to wszelkich dołożył starań, powiadają na-

wet, że poforsował pieniędzmi, byle syn przeszedł do trzeciej. W trzeciej Albin przesiedział lat dwa. Byłby go ojciec nie odbierał, gdyby nie ambarasy, jakich doświadczył w drugiej i jakie przewidywał w czwartej, piątej i szóstej.

— Zrujnuję się— mówił— na zdrowiu i majątku, jeżeli trzykrotnie przyjdzie mi ułatwiać Albinkowi promocję.

Niepokoił go nieco pięcioletni pobyt syna w szkołach. Nie podobała się mu liczba: pięć. Wolałby, aby Albin zestawił razem trzy i siedm— trzy klasy i siedm lat; ale, jak na toż, po dwóletnim pobycie w trzeciej, przywiozł na wakacye świadectwo, zwiastujące promocję do czwartej.

— Ale... ba!..— rzekł stary— nie tak to łatwo starego wróbla na plewy złapać...

I oznajmił synowi, że już więcej do szkół nie pojedzie.

Zawód szkolny rozpoczął Albin ze mną, a zakończył z Janem, który go dopędził w klasie trzeciej. Był więc i moim i Jana jednoklasnikiem, pomimo, że ja zawsze tego ostatniego o dwa lata poprzedzałem. Był przytém i moim i Jana przyjacielem, a szczególnie Jana, dla tego, że ten ostatni przewyższał go w trzaskaniu z bata. W całych Niemirowskich szkołach nikt nie trzaskał jak Jan. Bywało, jak zaprawi nakoniecznik, jak go podwojskuje i w miarę nastrzępi, jak zawinie batem i palnie, to aż w uszach zadzwoni. Albin emulował z nim w tym talencie, ale nie zazdrościł mu. Przeciwnie— sam najpierwszy oddawał mu sprawiedliwość i cieszył się jego zręcznością. Dzieckiem więc okazywał jedną z pięknych

skłonności serca: skłonność do uznawania zalety w drugim, bez oglądania się na siebie.

Opuściwszy szkoły w siedmnastu latach, stał się Albin od razu panem własnej woli, ograniczonej wprawdzie wolą ojca, ale w takiej mierze, że mu to bynajmniej nie ciążyło. Dostał bowiem siedm tysięcy rubli ciepłą ręką i jedną wieś, z której dochód był jego własnością, a która daną mu była na to, aby przyuczał się do gospodarstwa. Mógł więc ze swoją osobą robić co mu się spodobало.

Jakżeśmy mu zazdrościli ile razy ujrzeliśmy go w Niemirowie!.. Mieliśmy go za człowieka zupełnie dojrzałego, dla tego, że przyjeżdżał czterma dzielnymi końmi, nejtyczanką i miał dwóch kozaków na usługach.

Pomimo przedwczesnej nieco pełnoletności i pomimo rozstania się z kolegami, nie zerwał jednakże Albin z nami. Jako jedyny spadkobierca prezesa, jako— w siedmnastym roku— Rozrządzający znacznemi dochodami, posiadał całe prawo wejścia w grono młodzieży hulaszczęj, oddanej polowaniom, kartom, jarmarkom, i zapomnieć o tój, która przytrzymana w szkołach, ślęczała jeszcze nad książkami. Pogodził on wszelako jedno z drugim. Bywał na polowaniach, jarmarkach, jeździł na kontrakty, jeżeli zdarzyła się okazyja, to i poniterował; ale przytém i do Niemirowa zajeżdżał póty, póki spodziewał się, że znajdzie tam którego ze swoich jednoklasników, którzy go bardzo interesowali. Dziwna rzecz!— obchodziło go np., jakie kto postępy czynił w naukach. Instynkto- wie niejako sprzyjał uczącym się i szczerze cieszył się naukowem powodzeniem swoich kolegów, niecierpliwiąc się, gdy który z tyłu przyzostał, i gniewając się, gdy ten lub ów, nie kończąc, opuszczał szkoły.

Na jego przyjazd można było z pewnością liczyć podczas niektórych większych świąt, jako też w epokach, w których wypadały majówki i rozpoczynały się wakacje. Na Zielone np. Świątki poświęcał nawet Bałtcki jarmark przyjemności spędzenia dwóch dni w towarzystwie kolegów. Wypraszał się do niego, do zajezdnego domostwa, i tam, w żydowskiej izbie, rozpasywaliśmy się na używanie swobody. Tam oczekiwały nas rozmaite niezakazane i zakazane owoce, jako to: cukierki i makaroniki od Mortka, makagigi od Chany, fajki, nawet likier, nawet wino. Albin rozповідаł o życiu na szerokim świecie, do którego serdecznie wzdychaliśmy, pokazywał swoje konie, które oglądaliśmy, udając znawców, i rozpytywał nas troskliwie o nasze powodzenie— o to, co się w szkołach dzieje, co tam słyhać. Odpowiadając, udzielaliśmy mu pewnych nowin, których on z żywą słuchał ciekawością i dopytywał się o szczegóły. Donosiliśmy mu np.: o zdarzeniu, jakie miało miejsce w Termopylach, albo o wypadku, jaki spotkał Timophana, brata Timoleona, albo o poświęceniu się Horacyusza Koklesa, Mucyusza Scewoli, o matce Koriolana etc. etc. Nie czytaliśmy jeszcze gazet, więc nas tegoczesność od przeszłości nie odrywała i wielka odległość wieków minionych nie wydawała się bardzo wielką. Jan szczególnie umiał się w nie przenosić, i stare dzieje opowiadał jak istne nowiny. Jeżeli np. przyplątało się do rozmowy imię Koklesa, to odmalował go jak żywego. Opisał bitwę, porażkę Rzymian. Złamani, nie mają innego odwrotu, tylko jedyny most. Uciekają, cisną się w nieładzie, tłoczą. Nieprzyjaciel ściga niedobitków. Jest tuż-tuż za nimi. Jeżeli zdobędzie most— biada im!.. biada Rzymowi!.. Trwoga goni obrońców Romulusowego grodu, bie-

gną jak trzoda, opuszczają jedyne wejście do ojczystego miasta, i na moście pozostaje tylko jeden. Ale ten jeden— jest Horacyuszem Koklesem. Całą ojczyznę osłonił puklerzem piersi własnej. Wrogowie garną się, walą, wszyscy na jednego. Napróżno, Kokles postanowił zginąć na progu rodzinnego miasta. Rzymianie opamiętali się, wracają, zrywają pomost, robią słupy, niszczą most, i— ocalają Rzym.

— Cóż stało się z Koklesem?..— pytał Albin zaniepokojony.

— Rzucił się do Tybru i dostał wpływ do swoich...— odpowiadał który z nas.

— Chwała Bogu!..— wołał uradowany Albin.— Byłaby go wielka szkoda, gdyby, broń Boże! zginął... No!, ależ był zuch!.. Oto, panie, gdyby...

I wszczynaly się rozliczne przypuszczenia, w których zwykle siebie stawialiśmy w położeniu Horacyuszów i Mucyuszów. My, dzieci skupione w żydowskiej izbie, olbrzymieliśmy na bohaterów, i żalowaliśmy, że nie nam przyszło się bronić Grecyi i Rzymu. A gdy który z nas bąknął: »Ej ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz, kozacze!« to natychmiast, greccy i rzymscy bohaterowie przedzierzgałi się w wyobraźni naszej w kozaków i wydawało się nam, że to kozak stał do ostatka na podrażbanem wiązaniu mostu Sublicyusza.

Obok historii występowała na scenę i literatura. W tej Albin prym trzymał. Przywoził nam wieści ze świata, od którego oddzielały nas mury szkolne, i wymawiał przed nami nazwiska, które mile brzmiały uszom naszym. Od niego— pamiętam— po raz podobno pierwszy dowiedzieliśmy się o Kraszewskim.

Rozmów naszych podsłuchiwali kozacy Albiua i niemirowskie żydki, i wieści o Leonidasach, Epaminondasach, Horacyuszach, Mucyuszach, rozchodziły się pomiędzy chłopami i pomiędzy żydami, ale najdziwaczniej i najrozmaiciiej przerobione. Żydzi szczególnie bez ceremonii z niemi się obchodzili; wszystkie bowiem bohaterskie czyny Greków i Rzymian kładli na karb siedmiu braci Machabeuszów. Szmul, krawczyk od rozmaitych reperacyj, opowiadał mi, jako Juda Machabeusz upiekł sobie rękę w rozżarzonych węglach; a gdym mu zaprzeczył, to zaklął się na *putchejrem*, że to prawda.

Słowem, chociaż Albin opuścił szkoły, nie opuścił jednakże nas, i dowiadując się od nas różnych nowin, był pewnym rodzajem łącznika pomiędzy nami a światem zewnętrznym, światem, na którym wolno było palić fajkę, nosić wąsy i bawić się w bałagulę, do którego zatem rwały się dusze nasze. Wzrastaliśmy więc razem, albo prawie razem: my w miasteczku, nad książką, on na wsi, na wolnym powietrzu. Wieś i wolne powietrze posłużyły mu doskonale: przerósł bowiem nas wszystkich, rozrósł się w barkach i piersiach, nabierał coraz więcej tuszy i poważniał w miarę, jak zwiększała się waga jego ciała; a poważniał tak wyraźnie, że w dwudziestym trzecim roku jego życia, można już go było nazwać »szanownym obywatelem.« Pomędzy nami dostało się mu przezwisko Albinosa, nie tyle od brzmienia chrzestnego jego imienia, ile od blond włosów, jasnych i miękkich, jak len; i z tym przezwiskiem pozostał, ale tylko pomiędzy nami; bo w gronie obywatelstwa, z powodu wzrostu, tuszy i majątku, bardzo prędko poczęto go powszechnym otaczać szacunkiem. Kiedy my uważaliśmy go jeszcze, jako rówieśnika, i jako takiego traktowali, już

w opinii publicznej, pomiędzy nim a nami, istniał ogromny przedział, stawiający go daleko na przodzie. My uchodziliśmy jeszcze za smarkaczów, on— za człowieka całą gębą. Nie wiedzieliśmy jednakże o tém, bo on nam tego nigdy uczuć nie dał, i jak w początkach, tak ciągle przyjeżdżał po nowiny.

Uniwersytet rozerwał nas. My w inny, pełny uroków i złudzeń wziębnęliśmy świat; on pozostał w swoim, bujał na świeżem powietrzu— i wybujał. Ci z nas, którzy udali się do Kijowa, widywali go na kontraktach. Do Kijowa, sprowadzał go najprzód zwyczaj, a potem interes: Interes albo raczej interesa, wszystkie, prędzej i lepiej w powiatowem mógł załatwić mieście, wyjąwszy jednego, zależącego na uprowadzeniu domu w rozmaite sprawunki, pomiędzy któremi ważniejszymi były kawior, śledzie holenderskie, konfitury od Bałabuchi, skórki i książki. A szczególnie— książki... Kupował je hurtem. Glücksberg tak liczył na niego, że z góry przygotowaną miał pakę, zawierającą wszystkie, na które trudniej było o kupca. Na pace wielkimi literami figurował napis:— Jaśnie Wielmożny Albin Skrzybicki. Płacąc rachunek, dopytywał się Albin, czy nie ogłasza kto jakiej prenumeraty: miał bowiem szczególniejszą do prenumerowania słabość. Ile było list u Glücksberga, na wszystkich się podpisywał i z góry płacił; a jeżeli autor udał się wprost do niego, z pewnością zamówił najmniej dziesięć albo dwadzieścia egzemplarzy. Prenumerował wszystko, na wszystko się abonował, wszędzie dawał składki, chyba że jakieś z przedsięwzięstw, mających literaturę, sztuki, lub ulżenie cierpiącej ludzkości na celu, nie doszło do jego wiadomości.

Wkrótce jakoś po opuszczeniu szkół, Albinowi umarł

ojciec. W młodym wieku stał się panem dużego majątku. Przyzwyczajony się zawczasu do rządzenia sobą, nie uległ on ogólnej chorobie paniczów, gdy raptem przyjdzie się im rozporządzać tysiącami rubli. Nie zaszumiało mu w głowie, nie «pohulał sobie», ale dalej w raz przyjętym kierunku rozwijał tryb życia i postępowania. W życiu jego objawiała się pewna skłonność, która uwydatniła go na tle obywatelstwa. Skłonnością tą było: «dobrze żyć!» U nas każdy podobno chciałby «dobrze żyć», każdy mniej więcej stara się o to—ale nie każdy potrafi. Nie dość mieć skłonność, nie dość chcieć. Potrzeba posiadać przytęm geniusz a ten ostatni nie tworzy się chęciem, nie nabywa się, ale potrzeba z nim się urodzić—jak zwykle z geniuszem—jak rodzą się artyści, poeci, wielcy ludzie; bo i w «dobrem życiu»—jak we wszystkim, co jest dobrem lub złem, użytecznym lub szkodliwym, pięknym lub brzydkim—jest swego rodzaju wielkość. Dzieje starożytne przechowały nam wzór umiętego «dobrze żyć» człowieka. Był nim L. Licinius Lucullus. Owóż natura obdarzyła naszego Albina lukullusowskim geniuszem, i gdyby majątek jego równał się majątkowi sławnego konsula, moglibyśmy nie zazdrościć Rzymianom tej znakomitości w sferze «dobrego życia.»

Sfera majątkowa Albina niepozwała mu wznieść się na najwyższy stopień wielkości. Umiał on jednakże zastosować się do niej: robił co mógł, wyciągnął wszystko co wyciągnąć się dało czystego dochodu od dwóch z górą milionów złp., reprezentujących wartość jego dóbr.

Dom jego był wygodny i piękny: nie pałac, ale szlachecki dwór, biały, czysty, obszerny, ocieniony drzewami, które szumiąc przed oknami, usposabiały do marzenia, ozieleniony bluszczem, otoczony symetrycznie isto-

sownie trawnikami, kłębami i kwiatami, i zaopatrzone wewnątrz we wszystkie wygody i wygodki, piękności i pięknotki, o jakich tylko szlachcic polski, nie umiejący nb. po francuzku, zamarzyć jest w stanie. Gust objawił się szczególnie w wyborze miejsca na dom, z którego na cztery świata strony coraz inny odkrywał się widok. Od północy, ku której zwróconym był front, widać było obszerny, kilka razy w zygzaki załamany staw, gubiący się na prawo w oczeretach, łożach i łakach, na lewo zaś opierający się o szeroką groblę, jak alea wysadzoną wierzbami, przy końcu której duży młyn murowany wyglądał niby zamek i hurczał, szumiał i tarkotał ośmiu kołami, wprawiającemi w ruch kamienie pytle, folusze i tartat. Za stawem, wznosząca się łagodnie pochyłość, przedstawiała: u spodu skały, wyżej wygon, a u szczytu las. Na prawo, w stronie łąk, był wschód. Z tej strony oko gubiło się w perspektywie łąnów i odkrywało kilka wsi, gruppujących się w dolinie, każda oddzielnie niby bukiety, do których zamiast kwiatów, wzięto: bielejące chałupy, połyskującą srebrzyście cerkiew i zielone drzewa sadów. Na zachodniej stronie rozrzucały się niedbale Chomenki—wieś Albina—i całe jego gospodarstwo. Wieś ciążyła ku stawowi, a nad nią dominowały: toki, stodoły, szpichlerze, szopy, obory—duże, porządne, czyste i nawet aż eleganckie. Perspektywę wsi zamykały budowle, których kształt zewnętrzny i rozkład zdradzały fabryki. Były to: gorzelnia, cukrownia i cegielnia, założone przez nieboszczyka prezesa, które za jego jeszcze życia zwróciły wyłożony na nie kapitał z procentami i przynosiły Albinowi czysty dochód, potrajający bez mała kabalistyczną liczbę *siedmiu* tysięcy rubli srebrnych. Nieboszczyk dążył do zaokrąglenia kapitału, to jest: do osiągnięcia pewnego i

niezmiennego rezultatu, z *siedmiu*, pomnożonych przez *trzy*, i byłby swego dopiął, gdyby go śmierć nie zaskoczyła. Umarł, jak mówią, ze zmartwienia—ponieważ przez te trzy lata, w których czysty już z roli i fabryk pobierał dochód, w pierwszym roku doliczył się tylko szesnastu tysięcy, w drugim—dwudziestu trzech, w trzecim—dwudziestu, cyfr, które ani każda z osobna, ani wszystkie w summie ogólniej, nie dawały się ani przez *trzy*, ani przez *siedm* podzielić. Zamierzył był zaprowadzić jeszcze i garbarnię, i w tym celu wznosił na dolinie mur wysoki, kwadratowy, wewnątrz którego stanąć miały budynki. Lecz zamiaru tego nie doprowadził do skutku. Niedokończony mur popsuł się i wyglądał z daleka jak starożytna ruina, służąc do upiększenia zachodniej perspektywy. Najpiękniejszym jednakże był widok południowy, z wychodzącego na ogród balkonu. Sam ogród stanowił skończony w sobie pejzaż. Ciągnął się po dwóch stronach głębokiego jaru i obejmował w sobie parów, prostopadle prawie do kierunku jego rzucony. W parowie biło obfite źródło, tryskające z pod kamieni, któremi malowniczo nasterczoną była jedna pochyłość parowu. Pochyłości wyrastały w garby. Pomiędzy garbami płatało się kilka niewielkich płaszczyn. Na pochyłościach, garbach i płaszczynach rosły laski, rozściełały się trawniki, wyskakiwały mogiły, odkrywały się głuche ustronia, wesole altany, aleje, wiły się drożyny i ścieżki. Brzegi jam obrastały gęste krzewy, utajemniczające jego głębie, po nad którą, w trzech miejscach, wisiało trzy mostki. W parowie mruczał strumień, spływał na dolinę, skacząc z kamienia na kamień, i opływał półkolem suchy dąb, na którym bociany uwiły gniazdo. Z pomiędzy drzew, w dwóch najpiękniejszych punktach ogrodu, przeglądały dwa marmurowe posągi. Z tych jeden przedstawiał Kościuszkę, drugi Księcia Józę-

fa. Po za ogrodem wymykało się oko na ocean łąnów, ocean bezgraniczny i grający falami zboż—zielonych lub żółtych, stosownie do pory roku— albo zczerniały skibami świeżej orki. A na widnokręgu siniało coś, niby góry, niby lasy, albo niby obłoki, udające kształty gór i lasów.

Wnętrze domu doskonale harmonijowało z całością zewnątrz. Czyniło ono zadość warunkom wygody i gustu: wygody zupełnej, gustu zaś tego rodzaju, który człowiek wtajemniczony w przepisy salonów, nazwałby może bezgustem. Nie znając się na epokach i stylach umeblowania, nie mając najmniejszego wyobrażenia o tém, co to jest: *Louis quinze, renaissance, rococo*, Albin pomieszkanie swoje umeblował tak, jak mu się wydawało najlepiej i najpiękniej. Tu trzeba mu oddać sprawiedliwość i pomyśleć: coby to było z niego, gdyby posiadał majątek i ukształcenie Lucullusa... Piękności nie poszukiwał on w mahoniach, palisandrach, hebanach, złoceniach i drogich inkrustacyach, ale raczej w zgrabnym i gustownym obrobieniu jesionów, dębów i orzechów, nie według ceny, ale według własnego sądził o niej upodobania. A upodobanie rzadko mu jakoś co najdroższe wybierać kazało, i bynajmniej nie kazało mebli napychać w pokojach, jak w sklepach. W domu jego było przestronnie, a nie pusto. Oko spocząć mogło na niejednym majstersztyku stolarskiej i tapicerskiej roboty, albo raczej na co nie padło, wszędzie spotykało majstersztyki, pod postacią fotelów, krzeseł, kanap, kanapek, stołów, stolików, szaf, komód, obić, kobierców, firanek, etc., etc. Na komin-kach gzymsach nie ujrzałeś ani jednej statuetki Wenery lub Apollona, bez których nie obeszło by się w elegancko umeblowanym domu. Albin miał jakiś—trochę śmieszny, wyznac należyć—wstręt do nagich postaci. Natomiast poustawiał tam urny, gdzie niegdzie etruskie garnki, a w niektórych

oknach wazony z kwiatami. Ściany zaś ozdobił rzadko w zwierciadła, ale za to gęsto w obrazy.

Powiadają, że po doborze obrazów, najłatwiej daje się poznać sposób myślenia właściciela. Zobaczmyż, do jakiego one doprowadzą nas wniosku.

Jadalny salon Albina obwieszonym był portretami przodków. Było ich siedm. Jeden przedstawiał infulata z pastorałem w rękę, trzy—mężów w kontuszach z podgolonemi czuprynami i zawieszystemi wąsami, jeden—rycerza w pełnej zbroi z hetmańskim buzdyganem, jeden—również rycerza, ale bez buzdygana, jeden—kobietę w robronach. Były one duże i równej wielkości: nie odznaczały się penzlem; a przypatrując się im pilnie, wydawało się, że pomimo przytarcia i śladów starości wszystkie jednoczesnej były roboty. Ostatnie to postrzeżenie miało swoją rację. Rzeczywiście: portrety te robionemi były w jednym czasie, i to nie bardzo dawno, nie dawniej, jak na dziesięć lat przed śmiercią Albinowego ojca. Historia ich była dość ciekawa.

Nieboszczyk prezes nie mógł doszukać się nazwiska swego, ani w Paprockim, ani w Niesieckim, pomimo, że święcie był przekonany, iż ród jego tak jest przynajmniej starożytnym, jak Polska. Chcąc jednakże nie tylko siebie, ale świat cały o tem przekonać, czynił usilne poszukiwania, w celu odkrycia nazwisk, dyplomatów i portretów. Zgłaszał się w rozmaite miejsca, płacił sownie za przetrząsanie aktów i archiwów. Nigdzie śladu o Skrzybickich nie było. Nie chodziło mu o legitymacyę: wolegitymował się bowiem z papierów ojca; ale o honor, o splendor, a nie dla siebie—jak twierdził—ale dla syna. Aż po długich bezowocnych poszukiwaniach, straciwszy już prawie nadzieję, odbiera niespodziewanie list ze Lwowa, z podpisem—jeżeli się nie

myślę—«Pieliński», w którym ten mu donosi: iż odgrzebując źródła pochodzenia różnych rodzin szlacheckich, natrafił na nazwisko Skrzybickich, równie zacne, jak hrabiów Kosielrodzkich, Rurockich, rycerzy Nahajewskich, baronów Golejewskich, Doliniańskich, hrabiów Przypytalskich, Koczkodzańskich, Spermaceutowiczów, etc. etc., i zapytuje: czyliby owi Skrzybiecy nie byli przodkami JW. Prezesa? — na co ma zresztą ślady i dowody w rękę. Przytem, za pomiarkowane wynagrodzenie ofiaruje usługi swoje, na świadectwo skuteczności onych przywołując rozmaitych galicyjskich hrabiów, baronów, frajherrów, rycerzy i prostych szlacheiców, którzy za jego sprawą świetnieją zasługami przodków.— Prezesowi list ten spadł jak z nieba. Uradował się nim niesłychanie. Natychmiast przeprowadził z autorem onego korespondencyę, skutkiem której posłał najprzód pieniądze; w zamian za nie otrzymał kilka dyplomów, ogromnie starych, mało-czytelnych i cuchnących dymem; a potem dostał wiadomienie, iż udało się panu Pielińskiemu odkryć kilka portretów familii Skrzybickich. Ostrożny prezes, niedowierzając, pomimo, że nie zawiódł się na dyplomatach, zapytał o szczegóły tyżące się portretów. Pan Pieliński odpowiedź swoją rozpoczął od tego, że portretów jest *siedm*, czém od razu skonwinkował prezesa, tak, że mniej zważał już na historię opiewającą: jako Skrzybicki w XI wieku fundował klasztor jakiś i kościół; jako w kościele wisiało kilkadziesiąt portretów; jako w XIV wieku, podczas wojny, zgorzał klasztor i kościół i uratowano tylko siedm portretów, które do innego przeniesiono i ulokowano pod strychem; jako ztamąd przeszły w posiadanie prywatne, i nakoniec szczególnym trafem, zwróciły na siebie uwagę pana Pielińskiego. List kończył się propozycją odkupienia téj szacownej pamiątki, tak ze wszech miar chlubnej, której zaniedbanie, skutkiem

którego przejść może w posiadanie żydów, byłoby dla Prezesa wstydem. Na takie *dictum acerbum*, nie miał prezes nic pilniejszego, jak posłać żadaną kwotę pieniędzy.

Tymczasem w sąsiedztwie gruchnęła wieść o dyplomach i portretach. Rozpowiadało nawet, że we Lwowie odgrzebano dokumenta, przyznające Skrzybickim tytuł hrabiowski ze strony Stolicy Apostolskiej, i dziedziczne prawo kawalerstwa maltańskiego. Wieści te doszły do prezesa. On przeto, żeby fałszom i plotkom zapobiedz, sprosił do siebie co najpoważniejszych obywateli, pokazał im dyplom i opowiedział o portretach. Tym sposobem sprostowało się, co było przesadności we wieści. Okolica cała dowiedziała się o starożytności rodu Skrzybickich.

Wkrótce potem nadeszły portrety. Ostrożnie i uroczyście roztwierano paki, wydobywano malowidła, jedno po drugim. Widok pak ucieszył prezesa; lecz sposepniał, gdy ujrzał przodków swoich konterfekty, zdradzające bardzo świeże malowanie. Drzewo wprawdzie na ramach i płótno było stare, ale malowidło zupełnie nowe. Zgryzł się prezes, i długo niewiedział, co począć. Objawie fałszywość portretów, było to podać w wątpliwość i dyplomy; było to jeszcze obudzić złośliwość ludzką, i okryć się śmiesznością. Sam, w własnem swoim sumieniu, nie wątpił o autentyczności dokumentów, jako o rzeczy będącej czarno na białem; ale jak ludziom zabronić według portretów sądzić i o dokumentach!.. Ludzie tacy złośliwi!.. Rzecz najautentyczniejszą radzi podają w wątpliwość, a nie dopiero taką, której autentyczność jest zachwianą... A portrety nowe—wyraźnie na zakaz sfabrykowane... Co tu począć?.. Po długim namyśle i wszechstronnem rzeczy rozważeniu, zdecydował się prezes—zawiesić na czas jakiś malowidła w kominie, dla nadania im tego cuchnienia dymem wieków minionych, jakim

trąciły dokumenta. A uwędziwszy je dostatecznie, rozwiesił na ścianach. Znamcy, których kilku okolica posiadała, uznali je niepodejrzanemi antykami, odgrązali się iż będą robić na nich studia do historii sztuki malarskiej w Polsce. Niewiadomo co prezes myślał o znawstwie owych znawców. To tylko pewna, że z widoczną niechęcią, i w krótkości opowiadał legendy, przywiązane do każdego z osobna portretu, który mu usłużny pan Pieliuski wraz z malowidłami przysłał a według których: iufułał był biskupem *in partibus infidelis*, hetman hetmanił bufcem Bolesława Brodatego, rycerz zginął pod Grünwalden, jeden z kontuszowych był senatorem u Konrada Mazowieckiego i tym podobne.

Albinowi tedy portrety te dostały się zupełnie już stare, i on je, z całym uszanowaniem, przynależnym pamiętce rodzinnej, przeniósł ze starego domu do nowego, i rozwiesił w jadalnym salonie. Historia ich była dla niego tajemnicą, pomimo że nie była nią dla sąsiedztwa. Przez dwudziestoletnie jednakże figurowanie na ścianach salonu, w domu człowieka mającego dwa miliony z górą majątku, nabyły one—rzec można—prawa obywatelstwa i zyskały najpowszechniejsze uznanie. Rzadko już, bardzo rzadko ktoś ze starych przypomniął sobie i opowiadał o wędzeniu w dymie przodków rodziny Skrzybickich. Opowiadania takie, w przekonaniu ogólnym, uchodziły już za obmowę, bez której—jak wiadomo—ludzie żyć nie mogą. Portrety zdobiły salon jadalny Albina. Z rozczuleniem spoglądał on na nie i powiadał:

— Inny świat, inne były czasy, kiedy żyli ci mężowie... Coby oni powiedzieli, gdyby ożyć mogli na płótnie!.. Tamto były olbrzymy... a my, karły... Haj-ha!..

Przyznawał sobie także, że czuje jakiś rodzaj upokorzenia, gdy patrzy w martwe praojców-oczy.

— Ale — dodawał — cóż robić!.. głową muru nie przebić...

Tyle o portretach. Z nich żaden, albo bardzo słabo umotywowany, o sposobie myślenia Albina, dawał się robić wniosek. Nie można było posądzać go o próżność: nie on to bowiem wędził je w kominie. Można było raczej zakonkludować na jego korzyść, pochwalić szacunek dla pamiątek, i wcale nie dziwić się, że wyosobnił je, że oddzielił pierwszeństwem od innych, któremi przyozdobione były ściany innych pokojów i salonów. Inne te pamiątki — wszystkie, co do jednej — zależały, bądź na obrazach olejnych i litografiach, przedstawiających, to w pojedynczych postaciach, to w rodzaju historycznym, wspomnienia z życia narodowego. Wszyscy nasi Chrobrzy, Sprawiedliwi Wiele, Śmiali — Królowie, półkondzcy, mężowie stanu, uczeni, pisarze, pałaci, ilu ich tylko sztuka malarska na płótnie lub papierze przedstawiła, znaleźli dla siebie miejsce na ścianach Albinowego mieszkania. Widziałeś tam zobrazowane całe prawie dzieje narodu, całą ich piękniejszą, wznioślejszą stronę — nie zawsze wprawdzie szczęśliwie, ale — jak Albin krytykującym odpowiadał znawcom:

— Może to nie bardzo piękne, ale swoje...

A kiedy mu zachwalano utwór jaki włoskiego, flamandzkiego lub francuzkiego penzla:

— Włosi, Flamandy i Francuzi — mówił — swoje rzeczy dla swoich malowali... Niech-że je Włosi, Flamandy i Francuzi do swoich domów i pałaców kupują; bo pewno nie kupią oni tego, co Polak wymaluje, ani tego, co z naszego wziętém jest życia... Co jakimuś tam Niemcowi albo Francuzowi ot po tém na przykład?...

I pokazywał Księcia Józefa, przewodniczącego ostatniej pod Lipskiem szarży. I uśmiechał się, tak mu się podobała

ta postać wodza, zwrócona półtwarzą ku swoim, jakby wołająca: «Za mną mości panowie!..» i ukazująca szablą naprzód, na gęste zastępy przeciwników.

Z tego biorąc miarę, artystyczne poczucia Albina, aczkolwiek nieuprawione, nieopoliturowane encyklopedyzmem nachwytanego po zagranicznych galeryach znawstwa, były jednakże poczciwemi i według mnie, rozumniejszemi od wielu, wielu mających się i mianych za oświecone i wykształcone.

Przyznam się wszakże, że sąd mój o Albinie, z powodu stosunków koleżeństwa, przyjaźni i sąsiedztwa, jakie mnie z nim wiązały, jest może trochę za parcjalny. Trudnoż-bo względem kolegi, przyjaciela i sąsiada, zsurowieć w sądzie do tego stopnia, aby niektórych z pomniejszych jego wad nie pominąć, albo w dobrém nie przedstawić światłu. Sąd taki tym trudniejszym jest dla mnie, że jestem literatem (jakim-takim, ale zawsze jestem), a Albin był z góry zapewnionym i zaręczonym nakładcą wszystkich moich dzieł, na które nie mógłbym znaleźć nakładu. Cokolwiekbym przeto napisał, bardzo rozumnego albo bardzo głupiego, to jest w jednym z dwóch rodzajów u nas niepokupnych, byłem pewny, iż będzie wydrukowanem. Takie plecy nieoszacowanemi są dla pisarza. Dla takiego poplecznika godzi się mieć nieco słabości, a przynajmniej, godzi się spodziewać, że słabość ku niemu wybaczoną będzie przez obojętnych a uznaną przez miłośników literatury ojczystej, szczególnie jeżeli ci ostatni dowiedzą się, że dom Albina zawierał w sobie jeden z najkompletniejszych zbiorów książek polskich—polskich, żadnych innych. Albin bowiem żadnym innym nie czytał, ani nie mówił językiem. I dopiero po ożenieniu, na tle polskość biblioteki jego pojawiło się cokolwiek francuzczyzny i niemieczechy, ale w takiej drobnej, w sto-

sunku do całości, proporcji, i w tak dobranym składzie, że się je witało jak pożądanego z zagranicy gościa.

Na bibliotekę przeznaczonym był osobny, ogromny na poddaszu pokój, ciągnący się przez całą długość dworu, i oświetlony z dwóch stron—od wschodu i zachodu—oknami i z wierzchu sztucznym dachem szklanym. Okna i dach opatrzone były żaluzjami, odmykającymi się za pomocą szczególnego mechanizmu. Przez okna, będące zarazem drzwiami, wychodziło się na galeryę, obiegającą dwór do koła, z której, z każdego punktu, coraz inny a coraz na pozór pysniejszy odkrywał się widok. W bibliotece, po pod ścianami, stały szafy, a pośrodku kilka stołów, obstawionych najwygodniejszymi, o jakich tylko zamarzyć można, fotelami. Na szafach widziałeś popiersia sławnych Polaków. Pomiędzy szafami, na ścianach, wisiały stare, pordzewiałe broje, kolczugi, hełmy, tarcze, misiurki, berdysze, koncerze, kopie, samopały etc. etc. Dwa stoły, przykryte szkłem, wypełnione były: ułamkami ostróg, wędzideł, podków, czerpkami, kamykami, łańcuszkami, paciorkami, kółkami i innymi tym podobnymi starożytnościami, znalezionymi w większej części w pobliżu Chomenek. Powiedzieć należy, że za wzór do urządzenia biblioteki posłużyły Albinowi biblioteka i gabinety Kijowskiego Uniwersytetu, które podczas kontraktów kilkakrotnie zwiedził, a za kierownika miał żonę, o której na swoim miejscu pogadamy. Urządził więc sobie prawdziwy raj na wsi.

Nie nie mogło być rozkoszniejszego, jak o zachodzie słońca wytoczyć na galeryę fotel i usiąść z książką w rękę. Widoki okolicy i gwar wiejskiego życia odrywały uwagę od książki, chociaż by jak najinteresowniej i przenosiły ją całkowicie na siebie. Powoli, powoli umysł tonął w marze-

niu. Okolica poczyniała drgać jakimś poetycznym ożywieniem. Dal znikwała. Wyobraźnia zwijała się jakoś najprzód sama na siebie, i jak lawina śniegiem, obwijała się tém wszystkim, co bądź pod postacią myśli, skryzalizowanej w książkach, bądź pod postacią sławy, schwyconej na papier i płótno, bądź pod postacią zwyczajów i pamiątek, zawierało się w Chomenkowskim dworze; a potem, napasłszy się myślą, sławą i pamiątkami, rozwijała skrzydła i bujała po przestworzu. A było jej szeroko!.. Jednym oka rzutem ogromną ochwytywała przestrzeń. Pod nią bielaly śniegiem wysokie góry, połyskiwały długie rzeki, siniały dwa morza; pod nią szumiały puszcze, lasy, stepy, a pola mieniały się wszystkimi barwami, i ruch powietrzny, podobny do tchnienia majowego poranku, nawiewał jej zewsząd—z gór, z puszczy, z lasów, z pól, z wybrzeży rzek i mórz—jakieś tony, jakieś nuty, które brzmiały, to jak krakowiaki i obertasy, to jak kozaki, szumki, kołomyjki—i zlewały się w końcu w cichy chór bardzo smutnej dumy. A sam ten smutek był rozkoszą, bo był pewnym rodzajem kołysanki ducha, spowijał go jak dziecinę, rozmarzał i usypiał, a tak go jakoś lekko i miękko łechtał, że aż chciało się usnąć i spać wiecznie...

Ileż to chwil przemarzyło się na tej galeryi Chomenkowskiego dworu!..

Pomiędzy łaskawemi czytelnikami znajdzie się może taki niedowiarek, który pomyśli sobie:

— Jak można, aby człowiek, z trzeciej wyszedłszy klasy, tak dobrze mógł pojąć i tak wykonać to, czego ani wykonywają, ani pojmują ludzie skończeni, po zagranicach, po uniwersytetach kształceni!..

Na to odpowiem tak.

Od tych, co za granicą, lub przez zagranicznych kształ-

ceni byli guwernerów, Albin wcale nie był niższym. Pod względem wiedzy, umiał tyle co oni (proszę dobrze zauważać, że mówię o ogóle, nie zaś o wyjątkach). Umiał bowiem zdefiniować każdą naukę i wiedział o co której chodzi. «Bardzo przywoici» — «bardzo porządni ludzie» — więcej nie umieją. Nauczył się on tego częścią w trzech klassach, częścią z wdawania się z nami, częścią z czytania książek. A że czytywał tylko po polsku, przeto ukształcenie jego tém jedynie od nabytego za granicą lub od guwernerów się różniło, że nie było zesrokaconem obczyzną. Była to wiedza powierzchowna o tém i o owém, nie usystematyzowana, ale aż nadto dostateczna dla nadania tego poloru cywilizacyjnego, skutkiem którego człek w potrzebie — «nie zapomina języka w gębie». Resztę dopełnił w nim smak wrodzony, pociąg serdeczny a naturalny, który kazał mu kochać, gromadzić i porządkować wszystko, co swoje. Swojskość przekładał on nad bezbarwność i nad zamięłowanie cudzoziemczyzny, a przekładał ją tak, że aż się w niej rozmiłował, i mając dostateczne po temu środki, dogadzał swemu rozmiłowaniu. Oto główna pobudka, która z domu jego uczyniła pewien rodzaj muzeum narodowego. Mogłaby być ona lepszą, ale dobrze że była i taką.

Od tych zaś, co pokonczyli uniwersyteta, Albin mniej umiał, ale nie był przeto mniej ukształconym, a w porównaniu z rówieśnikami swoimi, był nawet dojrzalszym. Że mniej umiał — tego dowodzić nie trzeba. Że nie był mniej ukształconym, to dla tego samego, dla czego nie ustępował kształconym po zagranicach. Że był dojrzalszym, to dla tego, że wcześniej rozporządzał sobą, wcześniej ćwiczył wolę, będącą sprawdzicielką moralnej dojrzałości człowieka. Iluż to młodych ludzi, skończywszy najświetniej uniwersytet, potrzebuje uczyć się żyć!.. A iluż to wychodzi

z uniwersytetu skończonymi (za pozwoleniem) trutniami, nie wiedzącymi bynajmniej jak strawić połknięe nauki!..

Ale niechżeż nie posądzi mnie kto, broń Boże! iż zalecam wychowanie Albina, i wyperswadować chcę dwóch - z górą-milionowym szlachcicom, aby synów swoich nie posyłali na uniwersyteta. Bynajmniej. Jestem, przeciwnie, tego zdania, że żadne, chociażby najstaranniejsze, domowe, zaszkolne wychowanie, nie zastąpi publicznego. W tem ostatniem młodzieńcowi: raz—mniej przeszkadzają dystrakcye światowe; powtóre—emulacya napędza go do starania się samemu o jak najdokładniejsze umeblowanie głowy: potrzebie — uagromadzenie środków uwszechstronna naukę; po czwarte—życie gromadne z rówieśnikami wyrabia w nim ten instykt hurtowości, taki ważny i potrzebny w obywatelstwie, który sprawia, że człek czuje się niby żołnierzem w szeregu, czuje obok siebie poboczników, za sobą zapleczników, i widzi przed sobą obowiązek, jako wytyczną, na którą cała kolumna maszeruje. Instykt ten wrodzonym jest w człowieku: bo człowiek jest zwierzęciem, stworzonym do gromadnego życia, i dla tego nigdzie nie może on tak dobrze wyrobić się i rozwinąć, jak w gronie rówieśnej młodzieży, jak pod wpływem tego «razem!» młodego, cuda w świecie stwarzającego. Nie!.. nie odradzam ja uniwersytetów... Zapoznając czytelnika z Albinem, podałem fakt, tak jak on się wyraził: zapoznałem ich z człowiekiem, który chociaż nie był w uniwersytecie, był przecież człowiekiem, który samą siłą zdrowego rozsądku, połączonego z uczciwem zamiłowaniem narodowych rzeczy, potrafił postawić siebie na stanowisku wzoru.

«Wzór!.. wzór!.. biały kruk w postaci milionowego szlachcica!..»—oto była powszechna o Albinie opinija. Milionowi mieli chętkę protestować, ale nie było do czego

pryczepić się. Krzywili więc tylko nosami i zarzucali mu: prostaczość. Imieli trochę racyę. Albin bowiem był sobie w całym znaczeniu «szlacheicem-rubachą.» Rubasność przeszkadzała mu aspirować do marszałkownstwa gubernskiego, a to dla tego, że w pewnych nadzwyczajnych razach nie zdołałby godnie reprezentować szlachty. Na marszałkostwo powiatowe wyniesiono go jednogłośnie. Pospieszam jednakże dodać, że nie osiągnąłby tego zaszczytu—że z całą swoją wzorowością zaliczonyby został do kategorii excentryków, dziwaków, i niejeden przypomniałby mu trzecią klasę, i ani jeden nie dałby afirmatywy na wyborach—gdyby opinii publicznej nie kaptowały dla Albina stanowczo: wielka jego gościnność i doskonała kuchnia.

Gościnność i kuchnia — bez biblioteki i zbioru obrazów, bez manii prenumerowania pism i dawania składek—same jedne wystarczały na pozyskanie zaufania spółobywateli. Nie lada to zaleta, i Albin w wysokim posiadał ją stopniu. Nie tylko gościa przyjął, nakarmił i напоił, w jego własnej, w jego służących, w jego koni i psów osobach,—ale ogłaskał go, ubawił i uweselił. Drzwi i serce Albina stały otworem; a przy stole zawsze było miejsce dla «zagórskich panów»; a na stole znalazłeś wszystko, co polskiemu podniebieniu smakuje, polskiemu żołądkowi dogadza, polskie gardło odwilża najlepiej. Nie występowały tam żadne zamorskie potrawy, ani cudzoziemskie przysmaki. Kuchnia Albina była czysto-polską i tém szczególnie celowała, że niezbitym służyła dowodem. iż narodowe nasze potrawy, przyrządzone jak należy, żadnym włoskim, francuzkim, ni niemieckim nie ustępują. Trzeba było w Chomenkach zjeść barszcz, kapuśniak, albo chołodziec, zrazy z kaszą, albo pieczeń huzarską, albo pierogi ze śmietaną, albo rybę w ten lub inny

przyprawioną sposób, albo zresztą cokolwiek, aby ocenić całą wartość narodowej naszej kuchni, całą jej wyższość nad cudzoziemskimi. Potrawy zalecały się samym widokiem, a pachły jak ambrozya, a w ustach kruszyły się lub rozpływały i takim smakiem napełniały gębę, że każdy kęs, zanim zdecydowałeś się przepuścić go przez gardło, zatrzymywałeś i obracałeś, aby nim jak najdłużej napięścić i nacieszyć język, podjęzycze, dziąsła i podniebienie. Jedna z najtrudniejszych sztuk kucharskich, szczupak po żydowsku, którego sekret religijnie w najgłębszej pomiędzy żydówkami przechowuje się tajemnicy, na stole Albina występował jakby go żydówka przyrządzała. Prosta lemieszka, zwyczajne kluski, stawały się tam arcylemieszką i arcykluskami, zostawiały po sobie posmak, z którym gębie żał było rozstawać się. Obiad zaś każdy zostawiał pamiątkę, razem tkliwą—bo patryotyczną, i miłą—bo serdeczną, która niby rylcem na stali, wyłobiała się w sercu szlacheica polskiego. Jakże było Albina nie okrzyknąć marszałkiem!

Kuchnia prawie go nie kosztowała. Bardzo mało co potrzebował dla niej sprowadzać. Majątek bowiem Albina, tak był przez nieboszczyka jeszcze prezesa zagospodarowanym i urządzonym, że gdyby, nadzwyczajnym jakim zdarzeniem, znalazł się raptem odosobnionym od reszty świata, to w obrębie swoim znalazłby wszystko: ryby, grzyby i zwierzynę.

Albin miał sobie za punkt honoru, jak najmniej na jadło wydawać, a jeść dobrze. I tak się we własnej kuchni rozsmakował, że jedzenie wielką sprawiło mu przyjemność. Do obiadu, którego godziną była druga po południu, zasiadał z uroczystem apetytem, jadł z gustem, a po obiedzie udawał się do różowym zwanego pokoju, gdzie w stanie półsennego ro-

zmarzenia, w wygodnym fotelu, przepędzał półtóry, do dwóch godzin. Dwie te godziny były uroczystymi. Albin palił powoli cygaro i od niechęcenia z gośćmi rozmawiał a paląc i rozmawiając, drzemał, ale nie spał. Spanie po obiedzie nazywał barbarzyństwem. Pół leżąc w fotelu, czuł—jak powiadał—lekki w ciele chłód, wstrząsający ledziuchno nerwami i przerozkoszone łaskotanie w żołądku, elektryzujące ciało. Utrzymywał, że zaśnięcie lub zajęcie się po obiedzie pozbawiają człowieka jednej z najsubtelniejszych rozkoszy—wsluchiwania się w proces trawienia, który w głębi organizmu i szmerze i głaszcze i łechce i kołysze ducha, przyspiewując mu piosenkę marzeń. Nie daremnie Rossyanie objedzenie się nazywają: spoczynkiem duszy w puchu.

Jan, całe «dobre życie» Aibina dwoma charakteryzował wyrazami. Nazywał to: «patryotycznym sybarytyzmem.» On podobno jeden, na całą okolicę, nie entuzjazmował się Albinem, i czuł do niego jakiś wstręt i pewny rodzaj żalu.

Co się zaś tyczy p. Porońskiego, to dla niego Albin był rodzajem wziętości. Przedstawiał mu ideał szlachcica-panna, ideał tak skończony, że na nim plamki najmniejszej, chmurki najłżejszej, zmarszczka żadnego nie było. Gdy mu napomknięto, że marszałek trochę za zbytecznie dogadza żołądkowi:

A!.. — odpowiadał — Używa darów bożych, które spożywa w czystości sumienia... Wszak na jego stole nie występują *des sauces piquantes*, zaprawione łzami kmiołków!.. Wszak on z dymem cygar nie puszcza krzywdy ludzkiej!.. Wszak kuchnia jego nie czyni uszczerbku bibliotece i zbiorom, ani zakładom i przedsiębiorstwom, mającym dobro powszechne na celu!.. Wszak on nie sprowadza nam z nią do kraju pieprzków i przypraw, rozpalających krew,

niszczących zdrowie i suszących kieszenie!.. Z przeświadczenia o dopełnieniu obowiązków wyradza się w nim spokój ducha, wewnętrzne zadowolenie, czystość sumienia, a z czystości sumienia... apetyt... Zdrowie ducha sprowadza zdrowie ciała... Dałby Bóg, abyśmy posiadali jak najwięcej takich marszałków Skrzybickich!..

III.

Tacy to niepospolici goście zawitali do mego domu.

Z Albinem nie żenowałem się, chociaż ani kuchnią ani przyjęciem nie mogłem mu dorównać.

Ale pan Józef Ambroży Poroński wprawił mnie w niepospolity ambaras. Nie chodziło mi o to czem ja go nakarmię, czem napoję, gdzie posadzę; lecz czułem się w obec niego tak, jakby albo ja, albo on, coś bardzo złego popełnił, jakby jeden z nas był winowajcą a drugi świadkiem naocznym. I jemu musiało być ze mną niedogodnie, bo rozmowa mu nie płynęła: wlokła się i urywała, a urywała się zawsze właśnie w chwili, kiedy zdawało się, że poczyna stawać się interesującą.

Albin był uśmiechnięty i milczący. Chciał on snadź być słuchaczem—niemym świadkiem harców dwóch literatów, dwóch książkotwórców. Wydało mu się może, iż będzie asystował jakiemuś rodzajowi koguciej walki, w której dwaj zapastnicy, oskubani z pierza, potykają się nago. Cokolwiek jednakże mu się wydawało, więcej milczał jak mówił i z uśmiechem to na mnie, to na znakomitego spoglądał literata.

W toku rozmowy wymówiłem nazwisko Jana.

Na to wspomnienie, zauważyłem, że coś, niby targnięcie, wstrząsnęło panem Porońskim. Albin westchnął. Ja zamilkłem.

— Jeżeli się nie mylę...— rzekł po chwili pan Poroński—pan Jan Jeź jest bratem pana dobrodzieja.

— Tak jest, panie... stryjecznym— odparłem.

Pan Poroński pokiwał głową i przybrał minę rozczulenia—złożył ręce na brzuchu i westchnął.

Ta kondolencyjno litująca się mimika dała mi poznać, że Jan nie musiał mu być obcym. Więc zapytałem:

— Pan dobrodziej znał Jana?..

— O, znałem, znałem dobrze... —powtórnie westchnawszy, odpowiedział pan Poroński.—I niegdyś—mówił powoli—szczyłem się jego przyjaźnią i nawet miałem, że posiadam jego zaufanie.. Ale potem... A!.. Pan Jan okazał się względem mnie niesprawiedliwym... tak... niesprawiedliwym...

— Jan nie nie pisał...—wtrąciłem bez myśli.

I dopiero po wymówieniu tych wyrazów spostrzegłem się, że stały się one uszczypliwą alluzją do wiadomej pana Józefa Ambrożego manii opiekowania się młodymi pisarzami. Mimowolna ta alluzja zrobiła efekt. Widocznie tknęła pana Porońskiego. Zamilkł na chwilę i znów się odezwał:

— Nie pisał... hm!.. ale miał talenta... wielkie talenta, które... przebac mi pan dobrodziej otwartość, z jaką o jego kuzynie się odezwę... które zmarnował!.. Zdolności jego nieoszacowanym były skarbem, czystym złotem, leżącym sztabami na kupie... Trzeba je było tylko obrać... Niestety!.. pan Jan nie chciał wziąć się do tego... Poszedł drogą doktryn, utopij... Nie oddał się pod prze-

wodnictwo czystej wiary... Zanadto uwierzył w biedny rozum; nie wierzył w wiarę...

— Ależ on kochał!..—przerwałem mu nieco zniecierpliwiony, widząc, że opinii swojej o Janie taki nadaje obrót, jakby go chciał o niedowiarstwo pomówić.

Wyraz «kochał» odmienne na gości moich wywarł wrażenie, a to dla tego, że nie jednakowo zrozumiałem był przez nich. Moja wina, że nie dodałem rzeczownika. Albin wstał, chrząknął, podszedł do okna i pogwizdując po eichu jakąś nutę pomiędzy zębami, patrzył na podwórze, którego prostotą tak przed chwilą zachwycił się pan Józef Ambroży. Ten zaś ostatni zrozumiał znaczenie mego «kochał», jeszcze raz westchnął głębiej i dłużej, jak poprzednio, oderwał ręce od brzucha i składając je nad nim, niby jak do modlitwy, rzekł:

— Mój Boże!.. któż o tym wątpi!.. Trzeba jednakże kochać i wierzyć, a nie—kochać i rozumować... Bo to, panie Tomaszu dobrodzieju, ogromna różnica... Pierwsze jest anielskim spokojem rezygnacyi; drugie burzą... Pierwsze wierzy w cuda i stwarza cuda...

Widząc, że się na wyraz «cuda» uśmiechnął, pan Poroński uśmiechnął się także, ale z politowania, i tak ciągnął dalej:

— Tak, cuda!.. takie naprzykład, jakie szanowny marszałek stworzył w Chomenkach... Obejrzyj się pan: gdzie znajdziesz coś podobnego?.. W naszym wieku i położeniu o innych cudach mowy być nie może... Wywoła je, kto kocha i wierzy; a temu co kocha i rozumuje, wydadzą się one za małe, za drobne, za podrzędne... Ten je ominie, jak strudzony wędrowiec, szukający pałacu na spoczynek, omija skromne chaty wieśniacze... Rozum powiada:—«spoczynek w pałacu wygodniejszy i pewniejszy»;—wara powiada:—

«spoczynek może być dobrym i pod ubogą strzechą...» — Nieposłuchanie drugiego tego głosu, naraża często strudzonego wędrowca na nieznanie żadnego zgoła schronienia, albo, co gorzej, na doświadczenie wzgardliwego z progów pałacu wypchnięcia...

Wpadłszy na trop, rozwijał pan Poroński *con amore* swoje zasady i mówił długo i ładnie. Nie będę powtarzał jego słów i zdań. Znają je czytelnicy. Odsyłam więc ciekawych do mnogich jego dzieł, w których znajdują się one wyluszczone jasno, jak na dłoni, wypowiedziane pod rozmaitemi postaciami i formami, zfigurowane, zobrazowane, streszczone i rozwinięte. Nic im nie brakuje, tylko rozumu; lecz i bez niego dobrze się wydają, gładko czytają i wielki sprawiają efekt. Czuć w nich, że autorowi chodzi o to, aby zasady swoje «rozgłosić wyrazami i zakończyć—życiem»; lecz zakończyć spokojnie, pod strzechą ojców, czekając aż śmierć sama domyśli się z łaski swojej i przyjdzie po to życie męczennika—retoryki...

Chciałem mu to powiedzieć. Wstrzymałem się jednakże dla dwóch powodów: raz, widziałem, że literaci są rodzajem ludzi drażliwych (*irritabilis genus*), powtórę, nie wypadało mi obrażać gościa we własnym moim domu. Chciałem zwrócić jego uwagę na to, że to co on dowodzi i rozwija, jest także rozumowaniem, doktryną, a niebezpieczną, bo wychodzącą z zaprzeczenia rozumu, usiłującą podać w pogardę jeden z najdroższych darów, jakimi Stwórca moralne jestestwo człowieka opatrzył, wywracającą Chrystusowe «bądźcie doskonałymi, jako ojciec wasz niebieski doskonałym jest»; a przytęm — narzucającą się, grzeszącą z góry pychą, bo streszczającą się w następujących kilku wyrazach:—«nie wierzysz temu co mówię,—więc rozumiesz,—więc jesteś zgubiony»...—czyli:—«nie wierzysz me-

mu rozumowaniu,—jesteś zgubiony!.. wybieraj: cęt czy lizka?.. albo uwierz, albo—gub się!..»—Chciałem jeszcze powiedzieć mu, że wiarę niewłaściwie ze sfery niebieskiej do ziemskiej przenosi, i podstawia ją zamiast pracy, i rozgrzesza nią z góry wszystkich ociężałych, opieszających, próżniaków, etc. etc. Lecz—co to, słabość natury ludzkiej!—obawiałem się, aby gość nie posądził mnie o rozum... W obec takiego, jak pan Poroński autoritetu, zabrakło mi odwagi cywilnej. Więc—zamilczałem. A myśląc nad jakąś odpowiedzią, z całym pozorem skruchy słuchałem jego pełnych, dźwięcznych frazesów.

Musiał pan Poroński pomyśleć, że mnie przekonał: stawał się bowiem coraz na twarzy niby jaśniejszy, coraz zyczliwiej patrzyło na mnie oko jego.

Albin, zrozumiałwszy nareszcie o co rzecz chodzi, przestał przez okno przypatrywać się widokom sielskim. Przeszedł się parę razy po izbie i usiadł bardzo blisko przy mnie. Oparł rękę na poręczu mego krzesła i nachylił się tak, że usta jego w niewielkiej znalazły się od mego ucha odległości. Gdy pan Poroński, przerwawszy sobie mówienie ucierał nos, w uchu mojem poszeptem zaszebrały następujące wyrazy:

— A co!.. a widzisz!.. mówi jakby z książki czytał... Gdyby był stenograf, to tylko spisać i natychmiast drukować... Zapomniałeś języka w gębie...

Poczułem się upokorzonym w obec mojej miłości własnej. Nie było jednakże sposobu naprawić złego. Minął czas wszczynania dyskusyi, która jednostronnie była już zakończoną. Nie śledząc pilnie rozwoju dowodzenia pana Porońskiego, nie mogłem odpowiadać, bo bałem się wyrwać z czemś niestosownem. Przyjąłem więc w pokorze ducha uwagę Albina, przełknąłem ją niby gorzką pigułkę,

i jałem sie rozmyśleć: jakby też to zawiązać taką rozmowę, któraby się nie rwała i w której wszyscy trzej moglibyśmy równy wzięść udział. Niestety! po kilkakrotnej próbie przekonałem się, że niepodobna nam wyjść z treści, krążącej w sferze obowiązków pojedynczego człowieka względem ogółu. A co nie potraciłem, od czego nie zacząłem, zawsze dyskurs nawracał ku tej treści, i dawał sposobność literatowi-moralistcie popisać się krasomóstwem *ex cathaetra*. Zdawało się, jakoby on zamierzał sobie spropagować mnie. Albin słuchał go z wyraźnym upodobaniem, połykał każde jego słowo, i z tryumfującą miną, niby nawet nieco przez ramię, spoglądał na mnie, jakby chciał mówić:

— A co!.. a widzisz!.. dobrze ci tak...

Nie wiedziałem, jak wyjść z tego przykrego, czyli jeżeli kto chce, drażliwego położenia, bez uchybienia gościom, albo raczej temu z gości, którego pierwszy raz widziałem, którego olbrzymia sława prawie mnie olśniewała, i który każdy najniewinniejszy wyraz, jego zdaniu sprzeczny, mógł wzięść nie tylko za obrazę osobistą, ale za pewien rodzaj zbrodni stanu. Sam on mnie jednakże wyprowadził z tego położenia, rzuconem od niechcienia zapytaniem:

— Cóż słyhać o panu J anie Jeżu?...

Wzniósłem ramionami i odpowiedziałem:

— Nic...

— J jako !..— zawołał z wyrazem uczucia — Może nie żyje?..

— Może i nie żyje... — odrzekłem. — Nie miałem od niego ani pół-słówka, bądź napisanego, bądź przekazanego... A wieści jakie mnie dochodziły, tak są sprzeczne i rozmaite, że żadnej nie można wierzyć...

Albin westchnął dwa razy: raz gdym rozpoczął powyższą odpowiedź, drugi raz, gdym ją skończył.

— Przecież — zauważał bardzo słusznie pan Poroński — w kombinacyi rozmaitych wieści można jakąś średnio-proporcjonalną znaleźć, która będzie prawdopodobną... Cóż pan dobrodziej słyszał o swoim kuzynie?..

— Słyszałem, że zginął na wojnie, i że utopił się na morzu...

— Z tego możnaby wnioskować, że nie żyje... — w gnście uwagi wtrącił pan Poroński — Cóż więcej?..

— Słyszałem, że udał się do Indyów, do Australii, do Kalifornii, Peru, Brazylii, do Stanów Zjednoczonych, do Jerozolimy, do Algieru...

— Z tego dałoby się wywnioskować że żyje, tylko Europę opuścił... — znów wtrącił mój słuchacz.

— Słyszałem — kończyłem — że przebywa w Paryżu, Londynie, Konstantynopolu, w Szwajcaryi, w Rzymie, Wiedniu, Berlinie, Madrycie...

— Może podróżuje... — rzekł pan Poroński. — Za podróżą najwięcej przemawia danych, bo i udanie się do Azyi, Australii, Ameryki i Afryki, może się pod kategorię podróżowania podciągnąć... To ostatnie mogłoby być dla pana Jana korzystnem, gdyby tylko zechciał postrzeżać, a postrzegając gdyby nie zasłaniał sobie wzroku okularami!..

— Chyba że mu wzrok później się popsuł... — zauważał Albin, z potrzeby odezwania się z czemś — bo o ile go zapamiętałem, a znaleźmy się od dzieciństwa, doskonałe miał oczy...

— Widział więcej, jak potrzeba... — rzekłem niby od niechcenia.

Albin lekko zapłonął rumieńcem, który tylko trochę

rozszerzył się na pełnej jego twarzy. Pan Poroński głośno się zaśmiał, takim śmiechem, w którym, dla wtajemniczonego w pewne stosunki i okoliczności, brzmiały wyrazy: «i ja coś wiem..» Albin zawtórował mu przez grzeczność. Ja odezwałem się w ślad za Albinem. I grzmiało przez chwilę pomiędzy nami chóralne:

— Cha, cha, cha, cha!..

Z czego my się śmieli?..—z okularów, czy jeden z drugiego?.. W wielkim znaleźlibyśmy się ambarasie, gdyby kto, złapawszy nas na gorącym uczynku, zapytał z nie-nacka:

— Z czego wy się śmiejecie?..

My-ludzie dojrzali, w pełni wieku i w pełnym rozwoju wszystkich fizycznych i moralnych sił, z których jeden był marszałkiem, ozdobionym przydomkiem «najzacniejszego», drugi był literatem półgębkiem, stanęlibyśmy przed pytającym jak żaki; nie umiejący żadnej lekcji.

Zapytanie powyższe przyszło mi na myśl i ukąsiłem się za język.

Musiało ono przyjść także na myśl i literatowi, bo i on skrzywił się, jakby od ugryzienia, i musnął ręką po twarzy, jakby dla zmuszenia ust do zamknięcia się.

Najdłużej *solo* grzmiał Albin. Ale i on ustał i odzywał się już tylko tym pośmiechem, krótkim i urywanym, który da się przyrównać do porzywania konia, gdy mu z daleka torbę z owsem ukażą.

— Było nam wesoło... Sprawdził się w tej chwili ten pewnik: że smutek z weselem graniczy...—zrobił pan Poroński filozoficzną uwagę.—Śmieliśmy się, mówiąc o przedmiocie smutnym, ba, bolesnym...

Tu skrzywił się i twarz jego wyraziła boleść, ale taką, którą mógłbyś nazwać i prawdziwą i udaną. Zda-

wało się, że na twarzy tej jest maska, ściągająca się i rozciągająca mechanicznie, i grająca tę samą rolę, co doskonała peruka, którą niejeden za prawdziwe bierze włosy.

Po chwili milczenia, obrachowanej na dostateczne wystanie się boleści i urozmaiconej parą westchnieniami, pan Poroński zapytał:

— Więc żadnej pewnej wieści?..

— Żadnej...—odparłem.

— Szkoda go!.. tyle zdolności!.. mój Boże!.. zmarnował się... spalił... Szkoda!.. I nie po sobie nie zostawił?.. żadnej pamiątki?..

— Zostawił...—odrzekłem.

— W sercach przyjaciół?..—przerwał literat i westchnął.— O!.. i ja do ich rzędu się zaliczam, panie Tomaszu dobrodzieju...

I w rozczuleniu wyciągnął ku mnie rękę, którą uściśnąłem i odpowiedziałem jakimś ogólnikowem podziękowaniem, takiem, jakiem odpowiada się na zapytanie: jakże zdrowie pana dobrodzieja?.. Po czem rzekłem:

— Zostawił i papiery.....pisma...

— Pisma!.. o!..—zawołał pan Poroński.—Czy nie pamiątki?..

I dodał kiwając litośnie głową:

— A może socyalne jakie rozprawy?..

— Nie wiem co...—odrzekłem. — Nie umiem nazwać rodzaju... Jeżeli pamiątki, to chyba z tamtego świata, zagrobowe...

— O!.. o!.. rozciekawiasz mnie pan...

Albin odchrząknął i przysunął się.

— To musi być coś bardzo ciekawego!.. a namiętności!.. Pisz!.. pisz!.. Otóż pisał i taił się... Ale dla

czegoż ty mi o tém nie nie powiedziałaś?..— zagabnął mnie tonem wymówki.

— Czy wolno choć okiem rzucić?.. — zapytał pan Poroński.

Nie nie mówiąc, podałem mu éwiartkę, tę samą, którą przytoczyłem na początku, dla oznajomienia czytelnika z rodzajem i stylem Janowych zapisek. Literat przebiegał ją w milczeniu oczyma i podał Albinowi, mówiąc:

— Niech marszałek dobrodziej raczy osądzić i ocenić...

Albin przeczytał uważnie, raz i drugi, i oddał mnie.

— No... i jakże?..—zapytał pan Poroński.

— Hm!..—odparł Albin, wzruszając ramionami i robiąc oczami giest oznaczający wątpliwość.

— Głupstwo.. —rzekłem.

— Nie...— podchwycił pan Poroński. — Dziwactwo... Pomieszenie, jak przy wieży Babelu, języków i myśli, połączone z nadzwyczajną oryginalnością stylu... Widać, że panu Janowi fermentowało w głowie... Szkoda!.. niewypowiedziana szkoda!.. że się nie ustało... że talent jego nie znalazł koryta, któremby spokojnie, nakształt wielkiej popłynął rzeki... Zreszta, to cośmy przeczytali, jest wyjątkiem z jakiejś całości... Z tego można się czegoś domyślać, ale sądzić nie można... Gdybyś pan był łaskaw jeszcze nam co pokazać.

— Chętnie...—rzekłem.—Odczytam panom, jeżeli pozwolicie..

I wziąłem do ręki arkusz, którego styl przerobiłem, i rozpocząłem czytanie.

Słuchacze moi wyteżyli uwagę.

Zaledwie kilka początkowych wygłosiłem peryodów, wprawne ucho pana Porońskiego dosłyszało różnicę.

— To nie to...—przerwał mi.

— To samo...—odparłem — tylko przetłómaczone...

I czytałem dalej.

Spoglądając w ciągu czytania z podelba na pana Porońskiego, uważałem, że mrużył powieki, jakby jakiś niemiły blask raził mu oczy. Słuchał jednakże: spuścił głowę na piersi, złożył ręce na brzuchu i nie przerywał mi.

Gdy skończyłem, rzuciłem arkusz na stół.

Pan Poroński westchnął i wraz z westchnieniem z ust jego wyjechały wyrazy:

— Biedny umysł!.. W ruinie przedtém zanim zdołał przybrać kształty skończonej budowli...

I zamyślił się smutnie.

— Ale...—dodał po chwili.—Pan tłumaczysz... więc masz zamiar zrobić z tego jakiś użytek?..

Może...—odparłem.—Rad jestem bardzo, że mam sposobność zasięgnąć w tej mierze rady panów...

Ja radzę drukować...—podechwycił Albin bez namysłu.—Gotów jestem podjąć się nakładu...

— Nieoceniony marszałek!..— zawołał wzruszony literat.—O!.. gdybyśmy takich obywateli mieli jak najwięcej!.. jednego przynajmniej w każdym powiecie... co mówię!.. w gubernii... Co to za pomoc byłaby dla naszego biednego piśmiennictwa!.. biednego, opuszczonego, pozostawionego własnym siłom, lawirującego bez sternika wśród skał i podwodnych kamieni!... O, gdybyśmy posiadali jak najwięcej takich jak czcigodny marszałek obywateli!.. Przebacz mi panie marszałku!.. Mimowolnie z piersi moich wydziera się wyznanie hołdu i uwielbienia dla twoich cnot obywatelskich!..

Albin wzruszył się tym wylewem pochwał. Spuścił wzrok, jak pensionarka, której w oczy powiadają, że ładniutka, i z serdecznością uściśnął podaną sobie przez pana Porońskiego prawicę. Z jego miny uważałem, że w tej chwili gotów był nie tylko zapiski Jana, ale wszystko coby mu nie nastęczono drukować.

— Rzeczywiście—ciągnął literat—tyle dzieł ważnych czeka na nakład!.. tyle znakomitych utworów butwieje w tekach!.. Od zamożnych tylko obywateli domagać się i spodziewać można z bogacenia niemi piśmiennictwa... Ale można także od nich domagać się i oględności, ostrożności, pewnej w wyborze wytrawności... Powinui oni baczyć przedewszystkiem, aby nie rozpowszechniać rzeczy niepotrzebnych... Spokoju!.. spokoju!.. wiary!.. rezygnacyi!.. to należy urabiać... tego nam potrzeba; nie zaś drażnienia fantazyi... Te waryacye do niczego dobrego nie prowadzą... To się podoba, ale szkodzi, jak muchom miodem zaprawiona trucizna... Zlatują się biedne muchy i trują... Na co nam to?.. do czego?..

Wyrazem oburzenia zadrzała twarzowa maska pana Porońskiego. Odetchnął, jakby dla nabrania w płuca powietrza, i tak ciągnął dalej:

— W tem co pan Tomasz dobrodziej raczył nam łaskawie odczytać, widzę tylko dzikość fantazyi i nie innego... A dzikość nawet, nie mówiąc o prawdzie i prawdopodobieństwie, głównych warunkach wszelkiej kompozycyi, nawet... nielogiczną...

Wymówiwszy ostatni ten wyraz, urwał raptem, chociaż zdawało się, że miał coś jeszcze na języku.

— Więc zdaniem pana, nie z tego nie da się zrobić?..—zapytałem obojętnie.

Nic... hm!.. całopalenie...— uśmiechnąwszy się, odpowiedział pan Poroński.

Odsunąłem na bok ten cały plik papierów, zawierający zapiski Jana, i wysłuchałem całej, dość długiej, professorskim tonem i sposobem wyłożonej rozprawy: o zasadniczych warunkach literackich kompozycji. Rozprawy tej nie powtarzam: byłaby on ona nie wiem już którym z setnych powtórzeniem tych dydaktyczno-retorycznych epizodów, jakimi powieścio-pisarze ratują się zwykle od zarzutu nieuctwa. Miałbym wielką ochotę przytoczyć niektóre z niej ustępy, np. o funkcyi, jaką literatura pełni w żywocie narodu, i o obowiązkach, jakie na niej ciąży; ale dam lepiej temu pokój, bo nie mógłbym powstrzymać się, abym obok opiuii pana Porońskiego nie wyraził i mojej, i nie naraził się przez to na podejrzenie że korzystam z ram powieści, w celu dawania światłej publiczności nauczek, sposobem przekradanym, albo — co gorzej— w celu nakiwania palcem pod nos braciom pisarzom. Powiem tedy, że po tej rozprawie nie długo bawili już goście moi. Pożegnali mnie tak serdecznie, jak przywitali, i odjechali. Albin nalegał, abym się honorem zobowiązał przyjechać do niego nazajutrz, na cały dzień, a przynajmniej na «obiadek». Nie zobowiązałem się, i nie odmówiłem; przypomniałem sobie o jakimś interesie, który powoływał mnie w inną stronę, i rad byłem w duchu, że przed Albinem i przed własnym sumieniem dobrą miałem wymówkę.

Po odjeździe gości, pozostałem sam — poetycznie się wyrażając — «z myślami swojemi.» Rozmyślałem nad tém com słyshał od pana Porońskiego. Długo dzwoniły mi w uszach jego frazesa, piękne, okrągłe, wykończone, wygłoszone niby przenikająco do głębin duszy. A przecie

zrobiło mi się tak, jakbym stanął nad bezdenną przepaścią i patrzył się w nią. Boki tej przepaści, o tyle o ile je okiem dojrzyć było można, oblepione były w taki sposób, w jaki po miastach oblepiają afiszami mury. Wpatrywałem się w afisze, wyczytywałem je. Były to tytuły książek rozmaitej treści, ilustrowane okładki rozmaitych rozmiarów, na których świeciły różne, prawdziwe i przybrane nazwiska. W głębi spletały się litery trzech wyrazów, zdobne w listki i gałązki lauru. Te trzy wyrazy były pełnem nazwiskiem jednego z gości, który mnie przed chwilą opuścił: Józef Ambroży Poroński. Migwały one, mrugały i prawie ciągnęły ku sobie, jakby z pośród wiązanki pręcików i listków takie wykwiwały słowa:

— Tam w głębi nie ma dna: tam—nic... Zrezygnuj się na to «nic» i bądź spokojny,.. Pokochaj «nic», uwierz w nic, zamknij oczy i puść się... Nie rozbijesz się bo dna nie ma, a boki, jak widzisz, są tytularne...

Pytałem się myślą:

— Cóż po tém?..

— Nic...— wiało z przepaści odpowiedzią.

A na laurze, zdobiącym nazwisko pana Porońskiego, wykwitało pocieszenie:

— Pozostanie nazwisko twoje na najśliczniejszych wydrukowane okładkach, przylepione, tu, z boku, na drodze do wielkiego «nic», na jego straży... będzie je bronić od zuchwałych, będzie przewodniczyć nieświadomym... Dla nazwiska, piękna to godna zazdrości rola!..

Czułem zawrót głowy. Szumiało mi w uszach. — A w głębi słuchu bębniło coś i grało, niby marsz, na nutę *Requiescat*.

Długo nie mogłem przyjść do siebie.

W nocy nie mogłem zasnąć. A gdy zasnąłem o świ-

taniu, przyśnił mi się Jan, borukający się z panem Józefem Ambrozym. Pan Józef Ambroży pochwycił go w pół ciała i niosł do przepaści. Jan opierał się, krzyżował, bronił się z rozpaczą, chwycił rękami za jakieś błyszczące ostrza, i krwawił się.., Obudziłem się i nie mogłem już zasnąć. Gdy rozświtało, pojechałem w pole z chartami. Powróciwszy, pojechałem załatwić interesa, którymi wczora wymówiłem się od wizyty, i nie prędzej, jak we czterdzieści ośm godzin po rozstaniu się z panem Porońskim, powrociłem do normalnego mego stanu.

Jeden z dobrych bardzo moich znajomych utrzymuje, że peryodyczne, raz na trzy lub cztery miesiące, ale porządne spicie się, nie tylko nie jest złem, lecz przeciwnie, bardzo ma być pożytecznem. Ma to być ogólna przeciwko wszelkim chorobom i niezawodną prezerwatywą. Nazywa on je: *sztucznym fizyologicznym rozstrojem*, uprzedzającym i wyręczającym sobą naturalny, który jest niczem innem, jeno chorobą.

Nie wiem, jak dalece przyjaciel mój ma rację pod względem fizycznym; ale to wiem, że rozstrój sprawiony na moralnym organizmie moim przez pana Porońskiego, podziałał na mnie jak przepicie się, uważane jako środek higieniczny. Poczulem się zdrowszym na umyśle; a jako symptomat zdrowia wziąłem to, że myśląc o Janie i jego zapiskach, rozjasniło się przedemną. Rozplątałem gmatwaninę, z której dotychczas wybrnąć nie mogłem. Pochwyciłem nareszcie za koniec nitki Ariadny, z którą byłem pewny wyjść z labiryntu ćwiartek, kartek i arkuszy. Stanęło przedemną życie Jana, wplecione, za pośrednictwem trzeciej osoby, w przeszłość, z której je oddzielić należało.

Ochoczo zasiadłem do pracy. Ten arkusz, który w tłumaczeniu przytoczyłem w pierwszym rozdziale i który odczytywałem panu Porońskiemu, odłożyłem na stronę. Tłumaczenie, albo raczej wytlumaczenie oryginału, źle było zrobionem. Pokazało się potrzebnem przejrzeć wszystko, jeszcze raz przenieumerować, skonfrontować i przerobić.

Przepatrywałem, numerowałem, konfrontowałem i przerabiałem—i im dalej postępowałem w pracy, tém bardziej wychylała się z tła Janowego życia trzecia osoba, która wpłynęła przeważnie na jego los.

Tą trzecią osobą był ojciec Jana, Ksawery Jeż, którego etykietalnie tytułowano «Panem Chorążym», a poufale «Jegomością».

Jegomość był postacią typową, z rodzaju typów, których przed laty było więcej, a dziś świecą jeszcze gdzieś, jak brylanty najczystszej wody pomiędzy prostymi kamykami. Żeby nie rozwódzić się, powiem krótko: że Ksawery Jeż był pozostałością epoki z końca XVIII wieku i jednym z najgodniejszych jej przedstawicieli. Mówiąc z «najgodniejszych», mówię wiele: bo wszystkim przecie wiadomo, co to za bogaty zasób cnoty wnieśli jej ludzie w łono społeczności naszej, jak rzadkiemi były pomiędzy nimi złe wyjątki. Dla pochwalenia człowieka, tak aby żadnej, najmniejszej, o jego charakterze i sposobie myślenia nie pozostawało wątpliwości, dość było powiedzieć: służył w tej epoce. Wszelka po powiedzeniu takim pochwała stawała się zbyteczną: bładła, jak płomyk jarzącej świecy przy słonecznym świetle. Człowiek tej epoki nie miał nawet wad powszednich, ani tych, które przywiązaniem są u nas do niektórych rzemiosł. Znałem np. kowala, żołnierza z owej epoki; nie tylko że był kowalem doskonałym, człowiekiem rzetelnym

i dla uboższych miłosiernym, ale—co na to powiedzieć! —nie był pijakiem. Znałem organistę: cóż to był za organista!.. Znałem kilku szlachciców, przed którymi, jak przed świętymi, pochylano głowy. Jakiś niewysłowny urok wiał od tych ludzi, bił im z ócz, z czół, z całych postaci, nawet z przeszarzanych kontuszków, którym oni do śmierci pozostali wiernymi. Jeden po drugim, w dziurawych kontuszkach kładli się do trumien i dziś już prawie wygaśli. Dla dorastającego obecnie (1860) pokolenia, są już oni postaciami podaniowemi, są to z ostatnich czasów niedalekiej przeszłości najpiękniejsze, najmoralniejsze wzory.

Pana Chorążego, zacnego obywatela, wszyscy powszechnie szanowali, nawet nieprzyjaciele. Zdawałoby się, że nie powinien on być mieć takowych. Tak jednakże nie było. Nieprzyjaciół nie miewają ludzie-zera, poczytani za dobrych dla tego tylko, że nie robią źle i z góry, dla miłej zgody, uznają wszelkie czyny spełnione. Takim nie był Jegomość. Miał on dużo wyrozumiałości dla ludzkich słabości, ale złego, chociażby ono najświetniejszego doznawało powodzenia, nie lubił, występkami się brzydził i otwarcie przeciwko nim występował. Miał jedną słabość, a mianowicie: wierzył w poprawę, czyli—jak wyrażał się —«w upamiętanie» złych. Z tego powodu wydawało się, jakoby tolerował występki i nie był surowym, tylko dla siebie i swoich najbliższych. Zli jednakże, rozkochani w występkach, instynktowie odgadywali nienawiść jego do przedmiotów miłości swojej i byli serdecznymi jego nieprzyjaciółmi. On im zawadzał, jak niegodny świadek, jak wcielenie własnego ich sumienia. Ich kłuła w oczy, gryzła za serce ta białowłosa postać starca, który był białym, bez żadnej plamki, czystym, bez żadnej skazy, i

jako taki, służył żywym dowodem, że można, ba, należy być czystym i białym. Najzawziętymi nieprzyjaciołmi jego byli dyplomaci, utrzymujący, że «gdzie przejść nie można, tam można przeléźć». Z tłumioną złością spoglądali oni na człowieka, który inną zupełnie, «niepraktyczną»—jak twierdzili—szedł drogą, a przecie szedł prosto, z czołem pogodnym, do góry podniesionem, w kontuszu, na którym świeciły dziury i który okrywał blizny, jakie w kilku miejscach znaczyły ciało starca. Wydawało się im, że on był dumnym i pogardzał nimi. A on ich tylko unikał i litował się nad nimi. Litował się, jako chrześcijanin. Unikał, bo miał dzieci, w które usiłował wpoić zamiłowanie cnoty. Więc dobierał takie towarzystwo, bratał się i poufalił z takimi, którzyby synom jego nie mogli służyć na usprawiedliwienie złych popędów i nagannych skłonności.

Jegomość nie był ubogi. I po ojcu, i w posagu po żonie dostał mu się majątek, nie pański, ale donośny szlachecki, wystarczający na sute zaspokojenie wszystkich potrzeb. Powiadano, że Chorąży dziwaczy z majątkiem, dla tego, że uważał go jako własność publiczną, a siebie jako administratora tej własności. Takim było jego przekonanie w tym względzie.

— Musi to być tak—mawiał—bo ja niezapracowałem sam na ten majątek.. Dostałem go daremniusienko od ś. p. ojca mego, a mój ojciec od dziada, a dziad od pradziada i t. d... A wielkie, mości dobrodzieju, zachodzi pytanie, jakim prawem majątek ten dostał się pierwszemu posiadaczowi?.. Może prawem kaduka?.. Może zabrał i kwita... źle nabył, i grzech w spadku zostawił potomkom? Ja o tém nic nie wiem, i dla tego samego, że nie wiem, wołę być ostrożnym.

Ostrożność Chorążego na tém zależała, że w Hrynkach, wiosce swojej dziedzicznej, uorganizował pewien rodzaj assocyacji gospodarskiej, albo raczej, sama ona, nie chcący, uorganizowała się przez to jedynie, że Jegomość wyraz «pracować» wziął w prawdziwém, nie zaś przenośnym jego znaczeniu. Nie rozumiał on go w tym sensie: że *ja* obowiązek pracowania przenoszę z siebie na drugich, sobie pozostawiając przywilej przypatrywania się pracy z daleka, i przywilej ten nazywam pracą. Na tego rodzaju kruczkach on się nie znał, chociaż niepodobna aby nie wiedział, że do takiej pracy zaliczają się: konno lub w powozie, dla konkokcyi żołądka, pomiędzy śniadaniem a obiadem odbyta przejażdżka—wieczorna po toku między młockami przechadzka—kilkakrotne na dzień zajrzenie do stajni, wołowni, gorzelni—połajanie ekonoma, gumiennego, parobków, i, dla spędzenia złego humoru, oćwiczenie jednego, drugiego chłopca, etc. etc. Wszystko to nazywa się, jak powiadam, *pracą*, a wypada, jako środek higieniczny, bez uciekania się do którego szlachcic na wieki wieków rozstałby się z apetytem. Nie raz zdarza się słyszeć skargę, czy przechwałkę: «trzydzieści już lat ciężko pracuję...» Czy doprawdy pracuje? Nie.— To tak należy rozumieć: «trzydzieści już lat ostrzę apetyt.» Z tego ostrzenia taki wynika skutek: biedny pracownik rozjada się straszliwie;— za główny, najważniejszy cel życia przyjmuje szczelne napełnienie żołądka;— i biada zuchwalcowi, który poważiłby się zaproponować mu jakiś czyn, lub przypomnieć tylko potrzebę spełnienia jakiegoś obowiązku, mogącego narazić go na niemożność zaspokojenia apetytu!.. Biada mu!.. Nazwą go waryatem, socyalistą, ludożercą... Czystej nitki na nim nie zostawią... Powiedzą, że targa się na—pracę!

Jegomość brał pracę w istotu, rzeczywistym jej znaczeniu. Od świtu do zmroku nie widziano go, aby jedną spróżnował chwilę. A tak umiał swoje i wszystkich zatrudnienia urządzić, że przypatrując się z boku, od razu dostrzedz można było, iż ogół pracy w Hrynenkach rozkładał się na wzajemne wyręczanie się i wzajemne pomaganie sobie wszystkich mieszkańców. Zdawało się, że nikt tam nie dla siebie wyłącznie nie robił. Dziedzie wyręczał gromadę. Gromada wyręczała dziedzica. Dziedzie pomagał gromadzie, Gromada pomagała dziedzicowi. Stosunek ten wyręczycielski i pomocniczy wszczepił się i pomiędzy chłopów. I oni także, jedni z drugimi, radzi pracą się dzielili, bacząc na porządek i kolej. W ruchu rolniczym wyrodził się i wyrobił jakiś taki ład jak w mrowisku. Wszyscy stali za jednego i jeden za wszystkich, a pomiędzy tymi wszystkimi najznacniejszym był: Jegomość. Wszędzie go było pełno. Wszystko — czy to dworskie, czy gromadzkie — interesowało go, jak swoje własne. Zachodził do chałup chłopskich i zasiadał na ławach dębowych, a gospodynie, jak oka w głowie, strzegły czystości i porządku, aby broń Boże! nie zawstydać się przed Jegomością. Zachodził do szkoły wiejskiej, którą wspólnem z gromadą staraniem i wspólnemi założył i utrzymywał siłami, a nauczyciel i uczniowie, jak ognia, strzegli się nagany Jegomości. Obchodził i objężdżał całe swoje i gromadzkie gospodarstwo, i wszędzie umiał powiedzieć, co po czem i co jak się robi. A nie tylko powiedzieć, ale i pokazać potrafił. Ileż-to razy zakasawszy poły od kontusza, pług w bruzdzie prowadził... albo ileż to razy, w hajdawerach i koszuli, szedł na czele kosarzy i białe włosy starca, zlewające się w jedno z białą koszulą, wiały niby sztandar przewodni i dziwnie jakoś harmoni-

zowały z ciachaniem kos!.. a ponieważ on sam wszystko najlepiej zrobić umiał, w Hrynenkach przeto wyrodziła się pomiędzy członkami gromady emulacja: kto też prześcignie Jegomościa?.. Brali się chłopcy — jak to mówią — na pazury, i każdy prawie posiadał jakąś specyjalność, którą zakasował dziedzica, i chlubił się, gdy ten uznawał się niższym, lub gdy pomiędzy ludźmi chodziła sława: «Jegomość dobrze kosi, ale Hryćko jeszcze lepiej,» albo: «Jegomość nie potrafiłby, tak jak Janek, od wschodu do zachodu słońca, użąć i związać półtory kopy,» albo: «jak Maksym pług robi, to takby i sam Jegomość nie potrafił,» i tym podobne.

Ale specyjalnością Chorążego, której nikt w Hryneńskiej gromadzie nie posiadał, było racjonalne rozumienie wiejskiego gospodarstwa, które wyrobił sobie nauką i własnem zastanowieniem, i którym ogromnie ważną przynosił gromadzie pomoc.

Od pierwszej niemal chwili powrotu z wojny i objęcia gospodarstwa, Chorąży ciągle uczył się, czytał i notował. Na noty miał dwa grube *in folio*, w skórę oprawne. Z tych jedno nosiło tytuł: *Silva Rerum*, drugie: *Spostrzeżenia gospodarskie*. Oprócz tego, każdyroczny kalendarz miał powklejane pomiędzy miesiące czyste kartki, na których zapisywał każdodziennie wszystko, co tylko zaszło w Hrynenkach, jako też *pro memoriam* niektóre rzeczy, które w rozwinięciu chciał wciągnąć, bądź do *Silva Rerum*, bądź do *Postrzeżeń* gospodarskich. Czegóżto w tych kalendarzach nie było!.. Spostrzeżenia meteorologiczne, stan dróg, stan urodzajów, polityczne, familijne, gromadzkie i gospodarskie wypadki, wieści z sąsiedztwa, otrzymanie listów i odpis na takowe, przyjazd i odjazd gości, etc. etc. etc., a wszystko jedno z drugim pomie-

szane i najdziwaczniej niekiedy połączone, — zwyczajnie, jak *pro memoriam*. Naprzykład: w kalendarzu z 1826 roku, w miesiącu marcu, pod dniem 25, czytałeś co następuje:

— «Pogoda, lekki w nocy przymrozek. — Droga rze-
mienna, miejscami przysycha.—Bałaja urodziła byczka.—
O godzinie czwartej i pół po północy, moja Jejmość po-
wiła syna, który oby rósł i chował się na chwałę Boską
i na pożytek ludzki, a nam rodzicom na pociechę. Co daj
Boże, *Amen!*».

Jeden tylko kalendarz był do połowy nie zapisany. Jegomość przez ten czas ciężko chorował. Była to jedyna choroba, której uległ, jedyne zaniedbanie, jakiego doświadczyło bryneńskie gospodarstwo. Bolesć po tej chorobie i żal zaniedbania można było wyczytać na pierwszych zapisanych kartkach kalendarza, a obszerniej i wymowniej w *Silva Rerum*.

Silva Rerum wiernym było objęciem duszy człowieka, dobrze zdrowo i rozumnie myślącego. W kształcie uwag, zapisek, wyciągów, a nawet riekiedy i przydłuższych rozpraw, znajdowały się tam rozmaite przedmioty: starożytna i nowsza historia, społeczne wypadki, ekonomija polityczna, filozofija, prawo etc. Przedmioty te nie nosły żadnych nagłówek. Treścią tylko dawały się odnieść do tej lub owej kategorii, do takiej lub owakiej nauki. Wczytawszy się w nie, można było poznać, że Chorąży czytał i myślał dużo, i w treści każdej książki poszukiwał idei postępowej, moralnej i chrześcijańskiej: zapisywał bowiem zdania swoje o przeczytanych książkach, a ze zdań tych widać było, jak żywo interesowało go wszystko, co się pisało i drukowało po polsku. Niejeden au-

tor, używający reputacyi, skrzywiłby się, gdyby spotkał o sobie taką np. notatę:

— «Dnia OO, miesiąca NN.—Odczytałem dzieło (historję, podróż, poezję, powieść, lub co innego), napisane przez N. — Dureń jakiś!.. błaznuje!.. poniewiera talent... Zapomniał chyba, że z talentu przed Bogiem zdawać trzeba rachunek..»

Po takim wstępie, następowało zwykle krótkie streszczenie dzieła i pobieżne wykazanie usterków, wyciągniętych z moralnej tendencyi, a odnoszących się zawsze do obowiązków, jakie w społeczeństwie ciążą na pojedynczych członkach. Piękność zaś stylu, układu i kompozycyi, szła u niego w drugim rzędzie.

— «Najpiękniejszą— zapisał na jednej stronie *Silva Rerum* — jest cnota, a najpiękniejszym cnoty objawem jest poświęcenie się dla dobra spółbraci. Poświęcić majątek, czas, życie, rozum, dla wszczepienia w ogół szlachetności przekonań — to mi ideał, który warto bohaterstwem zaszczycić! — ale nie idealizowanie jakichś tam bohaterów, burd, miłostek, sąsiedzkich zatargów, salonowych lub alkowianych intryg i artystycznych rojeń. To ostatnie, niechby sobie było podszewką do tamtego, to jeszcze... Ale pomijać pierwsze, a podnosić drugie, wydaje mi się, jakby kto chciał mnie rozśmieszyć — lechtaniem w pięty, rozoskomic — kwaśnym jabłkiem, lub rozeczulić — siekaną cebulą.»

Wielki szacunek miały u niego dzieła treści poważnej, i zdaje się, że ani jednego z tych, jakie piśmiennictwo nasze posiada, nie brakło w jego księgozbiornie, który zawierał się w trzech sporych szafach, postawionych w kancelaryi, dopelnianych nieustannie, bądź po każdym powrocie Jegomości z Berdyczowa lub Kijowa, bądź za każdym

przyjazdem wędrownego księgarza. Nie brakło tam również i celniejszych powieści, czasopismów i krajowych gazet. Te ostatnie, porządnie, stosami, rok po roku, złożone były na szafach.

Czytanie, zastanawianie się, nałóg porównywania przyczyn ze skutkami, wyrobiły w umyśle Chorążego pewność sądu, bystrość i sprężystość kombinacji, które, przeniesione do sfery gospodarskiej, gospodarstwu w ogólności, jako też rolnictwu w szczególności niepospolite oddawały usługi. Naprzykład, jak skoro rozeszła się wieść o nowem jakimś ulepszeniu lub wynalazku, natychmiast Jegomość, pomyślawszy przez chwilę, wiedział, co to jest i czy da się zastosować; a jeżeli było zastosowalnem, to za nim w sąsiedztwie wiedziano o tej innowacji, już w Hrynenkach funkcjonowała. Wiele ulepszeń było własnego jego, albo—co najdziwniejsze—jego poddanych pomysłu. Przeprowadzał on je zawsze wspólnie z gromadą, zawsze tak, że i on i chłopci odnosili korzyści, a jeżeli było jakie ryzyko przy najpierwszej próbie, to zachowywał je dla siebie. A miał szczególny dar usunięcia w chłopach wstrętu do innowacji. Tłómaczył im, co jak i co dla czego się robi, i pytał potem o radę. Tłómaczeniem przekonywał, a zapytaniem zmuszał ich samych do zastanawiania się. Gospodarze skrobali się w głowę, odpowiadali, radzili, i sami sobie dziwowali się, z kąd w nich brał się rozum, że nieraz coś poprawili lub dopełnili. A poradziwszy Jegomości, i widząc, że rada ich wychodziła na dobre, poprawiali także i ulepszali własne gospodarstwa, zasięgając w tym względzie, z prawa wzajemności, Jegomościńej porady.

Doшло na koniec w Hrynenkach do tego, że każde chłopskie gospodarstwo było miniaturą dworskiego. Każdy chłop orał poprawnym płużkiem, siał, żął i kosił we-

dle najlepszej metody, ulepszał rolę, układał sztucznie stogi, nawet młócił na gromadzkiej młockarni. Ślady, powody i skutki tych gospodarsko - rolniczych postępów miał Chorąży spisane i rozwinięte w *Spostrzeżeniach Gospodarskich*.

Łatwo sobie wyobrazić, jaką posiadał on miłość gromady. Każdy jej członek skoczyłby niezawodnie w ogień, w piekło, na jedno jego skinienie, dałby się porąbać w kawałki za tego starego szlachcica, którego przewagi, pierwszeństwa, państwa, ani znać było we wsi. Zlał się on z gromadą w jedno, stopił się z nią wzajemnością współpracy. Pracę zaś podzielił tak: na nim spoczywała cała część umysłowa i ciężła odpowiedzialność za nią, na gromadzie — część fizyczna. On dzielił się z gromadą owocami swojej pracy; gromada dzieliła się z nim owocami swojej. Korzystała gromada, korzystał Chorąży: pierwsza moralnie i materyalnie, drugi materyalnie i moralnie — a zobopólne korzyści wiązały się i splatały w jedną spólną całość. Wzajemne zaś stosunki wszystkich do każdego i każdego do wszystkich określały się wzajemną, zupełną ufnością, której tajemnica w tém się zawierała: że Chorąży uznał potrzebę *zastużenia* na zaufanie chłopów i wszelkich dołożył usiłowań dla pozyskania onego. On, człowiek oświecony, nie wstydził się wejść pomiędzy nieoświeconych, a tak, aby ich nie razić blaskiem swego światła. Wszedł pomiędzy nich po prostu, spokojnie, podał im rękę serdecznie i szczerze, i serca ich od razu odczuły jego szczerotę, a rozумы te zdrowe, chłopskie rozумы, uznały jego wyższość. Bez hipokryzyi, mianującej siebie «starszém braterstwem,» bez żadnych dziwactw i excentryczności — takich np. jak: zapraszanie chłopów na etykietalne obiady, sadzanie ich na fotelach w bawiał-

nym pokoju, pojenie czarną kawą i herbatą, sprawianie im, jak nieboszczyk Scibór Marchocki, świąt Cerery—naturalnie, bez wymuszenia, zbliżył się do nich, że ani oni na tém się spostrzegli, ani jemu to zaciężyło.

Zewnętrzna niejako oznaką zbliżenia tego, sakramentalnym węzłem, który je wzmocnił i urodzinnił, było to, że Chorąży był chrzestnym ojcem wszystkich narodzonych podczas jego pobytu w Hrynenkach dzieci. To też działywa szczególnie Ignęła do niego. Ile razy pokazał się na ulicy, gdy dzieci z prochu kopce sypały, pyzate chłopcy i dziewczynki zrywały się z ziemi, biegły, wołając «Jegomość!.. Jegomość!..» otaczały go kołem zabiegały po przed niego, skakały i czepiały się za poły kontusza. Istna napaść, której się trzeba było bronić. Jegomość miał na to sposób: sięgał ręką do głębokich kieszeń hajdawerów i, jak kurczęta ziarnem, posypywał dziatwę laskowemi orzechami, za któremi z krzykiem i śmiechem gonili napastnicy.

A jak chrzcil przychodzących na świat, tak schodzących z tego świata Hrynenczan odprowadzał na miejsce wiecznego spoczynku. Pierwszy rzucał im garść ziemi, odmawiał nad grobem *Anioł Pański*, i pośpieszał z pociechą, a w potrzebie i z pomocą pozostałej rodzinie.

Dla czego takim a nie innym był Chorąży?.. Czy z innej Pan Bóg stworzył go gliny na pokazanie tylko ludziom, jakim człowiek by być mógł — na fenomen społeczny?.. Mnie się zdaje, że był on tak samo, co do słowa, stworzony, jak każdy z nas, a tylko nie tak samo tłumaczył sobie niektóre pojęcia. Już mówiłem, jakiem było jego wyobrażenie o pracy. Muszę jeszcze powiedzieć, jak on pojmował szlachectwo. Oto, bardzo seryo utrzymywał, że szlachectwo i szlachetność są jednoznacznikami, i tylko

w takim razie mają sens prosty i prawdziwy, kiedy wydzielają się na zewnątrz, to jest: kiedy szlachcic uszlachetnia wszystko i wszystkich do koła siebie. W przeciwnym zaś razie to jest: kiedy bądź pewna osobistość pojedyncza, bądź pewna część ciała społecznego, zamyka szlachetność w samej sobie, wówczas sens jej staje się odwrótnym i fałszywym. Podejmował się on dowieść tego, jak powiadał, historycznie, i w *Silva Rerum* często ku temu nawracał, biorąc rzecz *ab ovo*, od Piasta, i odwołując się to do autorów, to do podań i zwyczajów, to do zdrowego rozumu. Miał on racją, czy nie?—Może kto powie, że nie; ja utrzymuję, że miał; ale dowodzić nie będę, bo jeszcze kto ze złośliwych gotówby następujące cisnąć mi w oczy zarzuty: że jak ślepy płotu trzymam się poły stryjaska — że mi «za panią matką idzie pacierz gładko,» — że nakoniec bez miary i granic, sypię pochwały temu jakiemuś tam Chorążemu.

Na wzór, na przykład, snadź go Pan Bóg nie stworzył, bo, niestety! nie miał, o ile mi wiadomo, naśladowców, pomimo że sam był naśladowcą (Staszic, Brzostowski, kanclerz Zamoyski i inni). Ci, co mu nie sprzyjali (o nich wspomniałem wyżej), psuli efekt, jaki postępowanie jego sprawićby mogło w okolicy, i—cóż na to powiecie! —dokazywali swego. Podżartowywali ze «starego dziwaka.» W śmieszném świetle wystawili jego zaćność. Dowodzili, że nie rozumie nie a nie «ducha czasu.» Półmędrki nazywali Hrynenki falansterem, albo Nową Ikarią, a Jegomością przezywali «Kabetem w kontuszu.» Inni pomawiali go o pychę, ukrytą pod szarą kapotą. A on—robił swoje—nie usprawiedliwiał się przed nikim—nie afiszował się i nikomu się nie narzucał. Była w tem może duma—jeżeli chcecie. Ale—któż bez *ale!*.

Na zarzucenie mu jednakże jakiegoś *ale*, żaden z hryneńskich chłopów za nicby nie pozwolił. A wyzwanie ich *veto* w żywe oczy nie bardzo było bezpiecznym. Nabrali bowiem dziwniej w siebie samych ufności i stali się zuchwali i butni. Na okolicznych jarmarkach od razu można ich było rozpoznać. Wyglądali istnie jak zamożna szlachta zagrodowa: każdy jak ówik, i na każdym siwa na bakier barania czapka, świta nowa i sutą, buty nowe, pasowe, z długimi odwiniętymi cholewami, bielizna biała i czysta—że nie mówię już nic o mołodycach, o ich namyślach, namitkach, szerokich polykach, cycowych spodnicach i czerwonych butach, ani o dziewczkach, ich byndach, kośnikach i kółczykach, ani o parobkach i ich zamasyści. Jak tylko ujrano na targowicy wjeżdżającą poważnie parowicę, i na niej dojrzano jarzmo rzeźbione, a za nią misterny wasąg, a obok chłopca jak tuz czerwieniny, i na wasągu panoszącą się babę, to natychmiast pokazywano ich sobie i poszeptem do koła mówiono:

Patrzcie no!.. a ot chłop z Hrynenek...

Hrynenczanie - krojem tylko odzieży odróżniali się od szlachty.

Chłopi okoliczni, mówiąc o nich pomiędzy sobą, zwykle dodawali:

— Bożeż mój, Boże!.. a czy to my nie moglibyśmy być takimi samymi!..

Ekonomowie sąsiednich majątków czuli do nich jakiś rodzaj zawistnego apetytu. Działo się to z tego powodu, że, jak fama chodziła, żaden chłop hryneński nie dostał w skórę. Z razu nie chciano temu wierzyć, tak to wydawało się niepodobnym. A gdy uwierzono, to długo Chorąży nie mógł dobrać sobie ekonomy, pomimo że pięć razy drożej jak inni płacił, i dawał ordynaryę nie pośla-

dami, ale najczystszém, celném ziarnem. Co się który trafił, to Jegomość pytał go z góry:

— Umiesz waść dziesięcioro Bożego przykazania?..

— Umiem, wielmożny panie... A jakże by człek tego nie umiał!..— odpowiadał ekonom, myśląc że o szóste chodzi.

— A wiesz, że w Hrynenkach jest jeszcze i jedenaste przykazanie?..

Ekonom skrobał się w głowę i połykał ślinę, jakby spodziewał się jakiegoś zmartwienia.

— Nie będziesz bił chłopą, ani kijem, ani batogiem, ani ręką, ani żadną inną rzeczą...—kończył Jegomość.

Jaki taki przyjmował nieogłędnie ten ciężki warunek. Ale wprędce przekonywał się, że nie mógł wytrzymać. Albo sam dziękował za służbę, albo tracił ją w skutek złamania jedenastego przykazania,— złamania—nie przez bicie nawet formalne, ale tylko przez potrącenie, przez ściągnięcie po grzbiecie, gdy go już tak ręka zaświerzbiała, że aż strach. Jeden, dla ulżenia sercu, zaproponował był chłopom dobrowolną pod względem skóry ugodę: z własnej ordynaryi ofiarował miarkę twardego ziarna temu, co pozwoli się oćwicyć. Coż powiecie! — ani jeden się nie znalazł a propozycya doniosła się do Chorążego i ekonom miejsce stracił. Odprawiani jednakże nie mogli uskarżać się na pokrzywdzenie, bo Chorąży wypłacił do końca roku i pensyę i ordynaryę i pozwalał mieszkać w Hrynenkach aż do znalezienia nowęj służby. Tylko że ze znalezieniem tēm bywało trochę przytrudno, ci bowiem, co służyli w Hrynenkach, tracili reputacyę *sprężystości*. Tego zaś, który utrzymał się tam nakoniec i trzydzieści kilka lat przesłużył, pomimo że poznał go-

spodarstwo gruntownie, pomimo że był wzorowie pilny, pracowity i uczciwy, żaden dziedzic ani possessor za żadne nie przyjąłby pieniądze.

— Filozof!..— mówili o nim— kłania się chłopom!..

Harapnik na sarniej łapce wisiał u niego na kołku, nad łóżkiem, jako wspomnienie dawnych czasów— jak szabla u starego żołnierza; sarnia łapka spróchniała, a pleciony rzemień zbutwiał. W pole, dla doglądania robocizny, wyjeżdżał jak na śmiech— z leszczynowym, cienkim pręcikiem, którego nie bała się nawet tłusta, kasztanowata klacz, gdy jej nad uszami świstał. Z chłopami był za pan-brat i powiązał się z nimi to swatostwem, to kumostwem. Czytywał książki— ba!.. o zgrozo!.. tam i chłopcy czytali... Gdy trafiła się potrzeba ściągnięcia podpisów chłopskich, to każdy gospodarz sam najprzód odczytał sobie dokument, na którym miał podpis położyć, pomyślał, i nie znakiem krzyża świętego, nie cudzą ręką, ale własnoręcznie, wyraźnie się podpisał. O tych chłopach mówiono z przekąsem:

— Literaty!..

I twierdzono powszechnie, że gdyby Chorąży miał Hrynenki na sprzedaż, to nie znalazłby kupca, chociażby za pół-darmo je oddawał— «tak rozpuścił poddanych»...

Jednakże, wyznać potrzeba, znaleźli się i tacy, którym podobało się postępowanie Chorążego; którzy głośnoby mu przyklasnęli, którzy nawetby go naśladowali— gdyby nie brakło im malutkiej jednej rzeczy...

— Jakiej?..— spytacie.

— Odwagi..... łaskawi czytelnicy!..

IV.

Jakie drzewo, taki klin,... jaki ojciec, taki syn,... jaka mać, taka nać..

Taką odpowiedź dali raz wyborcy któregoś z okręgów wyborczych W. Ks. Poznańskiego, gdy ich zapytywano: dla czego nie chcą wotować na kandydata, którego im mocno zachwalano i zalecano?.. Odpowiedź tę możnaby przyjąć jako *prawidło ogólne* (z wyjątkami—rozumie się—bo jakież *prawidło ogólne* wyjątków nie przypuszcza!..), gdyby nie modyfikowała jej ta okoliczność: że dzieci są nie tylko dziećmi swoich rodziców, ale także i dziećmi wieku, w którym się rodzą, i uczniami społeczeństwa, w którym żyją, i wychowancami towarzystwa, z jakim się wdają, i nadto, snują jeszcze coś z siebie samych, przynosząc z sobą na świat i własny charakter. Ileż to naliczyć się da przykładów najzacniejszych rodziców, których synowie i córki stały się zakałą rodzaju ludzkiego, a ileż to złych rodziców, enotą, pod postacią dzieci swoich, świat obdarzyli... Bezpieczniej jednakże trzymać się ogólnego prawidła: bo co dziecko w pierwszych chwilach życia swego wysie z mlekiem matki, czem się napoi z przykładów ojca, to jeżeli nie w całości, to w części

przynajmniej, trudno aby w późniejszych nie odezwało się latach.

Gdyby wszakże po Chorążym sądzić o jego dzieciach, doświadczyłoby się czegoś nakszałt odczarowania. Synowie jego nie byli do niego podobnymi. Miał on dwóch synów, pomiędzy którymi wielka zachodziła różnica wieku. Kiedy rodził się młodszy, Jan, to starszy, Stanisław, miał już lat ośmnaście. A jak wiekiem, tak też różnili się pomiędzy sobą i charakterem, i ani jeden, ani drugi nie wdał się w ojca tak, żeby można było powiedzieć: oto kostka w kostkę, istka w istkę Chorąży. Jeszczeż młodszy—ten mógł przynajmniej harmonijować z ojcem w ten sposób, jak np. do jednego tonu nastrojone skrzypka i flet. Ale pominąwszy to nastrojone, to ci trzej ludzie—stary Chorąży i dwóch jego młodych synów—każdy z nich był innym człowiekiem.

Ze Stanisławem Chorążemu się nie powiodło. Nie to, żeby on się puścił na złe. Wielu ojców chlubiłoby się takim synem. I powszechnie miano za złe Chorążemu, który, pomimo całej, znaniej łagodności swego charakteru, czuł do starszego syna jakąś niechęć dziwną.

Nie rozumiano powodów tej niechęci. Domysłano się, że głównym było nieposłuszeństwo, jakie Stanisław okazał ojcu w obraniu zawodu życia. Nie wiedziano wprawdzie, czém stary chciał aby syn został: księdzem, jurystą, lekarzem, uczonym czy rolnikiem? Ale wszystkim się zdało, że nie chciał aby został żołnierzem.

Równocześnie prawie z przyjściem Jana na świat, Stanisław zaciągnął się do wojska. Podobały mu się mundur, ostrogi, pałasz; więc rzucił szkoły i poszedł. Poszedł i dwa razy tylko odwiedził dom rodzicielski.

Za pierwszym razem nie zastał już matki. Stary przyjął go poważnie i szorstko, nie tak, jakby spodziewać się należało po ojcu, witającym syna, który powracał z pod ulewy kul i z uścisków dzumy. Nie słuchał jego opowiadań, ani sam nie opowiadał w obec niego o swoich dawnych wyprawach, co zwykle czynił *con amore*, ile razy zdarzyła się rozmowa treści wojennej. Bo też—co prawda to prawda—ci starzy ex-żołnierze bywają niekiedy zazdrośni. Swoje czasy, te wypadki w których sami uczestniczyli, wynoszą po nad wszystko i ani chcą pozwolić, aby z ich czasami czasy nowsze, a z nimi młodszy ludzie, równać się mogli. Może tedy Chorąży zazdrościł synowi?.. Nie wiem. To wiem tylko, że po kilku dniach pobytu, który, gdyby nie ciocia Ewa, stałby się dla Stanisława nieznośnym, Jegomość wezwał syna, zamknął się z nim sam na sam w kancelaryi i miał z nim długą rozmowę. Po rozmowie tej, gdy wyszedł, Stanisławowi łzy w oczach błyszczały. A gdy go panna Ewa zapytała:

— Co ci jest, Stasiu?.. tyś płakał?.. — odpowiedział:

— I!.. to nie, ciociu!.. Wzruszyłem się... Myślałem dotychczas, że ojciec dziwaczy... Ale gdy mi przemówił do serca... gdy postrzegłem łzy w jego oczach... to... to... nie mogłem wytrzymać... Ot... Podam się chyba do dymisy i wezmę się do gospodarki.

Pannie Ewie także łzy zakręciły się w oczach i popłynęły po policzkach, chociaż, zdawało się, nie miała czego płakać. Obtarła prędko oczy chustką, i garnąc Stanisława do siebie, powiedziała najczulszym, na jaki zdobyć się mogła, głosem:

— Weź, Stasiu dymisyę... weź, moje dziecko... Miej wzgląd na ojca i brata... Widzisz, Jegomość stary, a Jaś dziecko... Broń Boże nieszczęścia, to Jaś może zostać bez

opieki... bo ja kobieta, a przytém takżę stara... Twoja matka młodszą była odemnie, a przecież Pan Bóg powołał ją do chwały niebieskiej... Trzeba przytém żębyś i o gospodarce nie zapomniał... trzeba żębyś się przyuczył przy Jegomości, bo byś sobie po tём nie dał rady... bo to u nas trochę inaczej, jak wszędzie indziej... Kiedyś był na tój wojnie, to ja z twoją matką nieboszczką suszyłyśmy soboty na intencję twoją, i odmawiałyśmy koronki i nowenny... I Bóg cię zachował... Nie zostawajże, mój Stasiu, dłużej w wojsku, żębyś się znów broń Boże, nie naraził... Bierz dymisyę i przyjeżdżaj do nas na zawsze...

Staś przyrzekł ciotce i odjechał.

I powrócił we trzy lata później, ale bez dymisyi. Żal mu się snadź zrobiło karyery, która się przed nim na rozcież otworzyła. Nie dotrzymał przyrzeczenia ciotce, a może i ojcu (bo nie wiem, na czym pomiędzy nim i Chorążym podczas rozmowy w kancelaryi stanęło). Nawet nie odpowiadał na listy, które, jeden po drugim, słała do niego panna Ewa, w czasie śmiertelnej choroby, jaką, w kilka miesięcy po jego odjeździe, odbył Chorąży. Może też listy i niedochodziły go, gdyż pod on czas znowu zawrzała wojna, i Stanisław, wierny sztandarowi, pospieszył na pola zapasów bojowych. Panna Ewa znowu suszyła soboty, pościła poniedziałki, środy i piątki, dawała do kościołów na wotywy, odmawiała klęcząc i krzyżem leżąc, koronki, różańce, nowenny, litanije i wszystkie modlitwy, jakie tylko sądziła, że mogą być skuteczne na chorobę brata i niebezpieczeństwo synowca. I wymodliła: dla pierwszego zdrowie, dla drugiego życie.

Z chorobą Chorążego łączyło się dziwne jakieś ro-

zdrażnienie. Ciągłe gniewał się, to na swoją słabość, to na starość; gniewał się na Jasia, że dziecko.

— Dla czego on ma tylko pięć lat!.. — wołał prawie z płaczem.

Pewnego wieczora, po przejściu choroby, kiedy Jego- mość nie był jeszcze zdrow, ale miał już tyle sił, że powrócił do zwykłych zatrudnień gospodarskich, siedział w jadalnym pokoju i z uśmiechem na twarzy przypatrywał się pięcioletniemu Jasiowi, który puszczał bąki i popędzał je batożkiem. Panna Ewa robiła pańczochę. Bąki burczały, huczały i zwijały się po podłodze. Ilekroć zbliżały się ku sofie, z pod sofy wypadał na nie młody kot, wywracał je, dostawał od Jasia batożkiem i rejterował pod sofę, zmuszając chłopaka ciągle do rozpoczynania zabawy na nowo.

— *Da capo*, Jasiu!... — wołał Chorąży wesóło — Zbijaj chłopcze bąki, póki ci służą lata!..

Panna Ewa milczała smutnie, przebierała palcami, a druty w jej ręku migotały tak szybko, że nie można ich było dostrzedz.

Zajęcie to, albo raczej zabawę przerwał wysłany z rana jeszcze na pocztę kozak, który wszedł i położył na stole gazety i list.

Chorąży włożył na nos okulary i wziął list. Spojrzał na adres i ręka mu drżeć poczęła.

— To do ciebie Ewo... — rzekł, podając list siostrze.

— Do mnie?... — zapytała zdziwiona panna Ewa. — Któżby do mnie pisał?...

— Nie wiem... odparł Chorąży. — Może starościec przypomniał sobie dawniejsze affekta...

Panna Ewa uśmiechnęła się, pokiwała głową, położyła na stole pończochę i zażyła tabaki. Chorąży także się u-

śmiechnął, ale widocznie z przymusem, dla tego tylko, aby poprzeć żart, którym odpowiedź swoją chciał zamaskować.

— Od Stasia!... — krzyknęła mimowolnie panna Ewa, spojrzawszy na list przez okulary.

Choraży zbladł, wstał i wyszedł.

— Co tu począć!... — radziła się panna Ewa w kilka dni później jednego z bliższych Chorażego przyjaciół. — Staś awansował za waleczność i odznaczenie się, i ma wkrótce przyjechać... Pisał do mnie... Zdaje się być bardzo zadowolonym... Jegomość o liście wie, bo sam mi go oddał, ale ani czytał, ani pytał się mnie, co Staś pisze... Boję się Jegomości powiedzieć, bo zdaje się być bardzo na syna zagniewanym...

Przyjaciół podjął się wybadać i przygotować Chorażego. Najgorzej mu jednakże poszło. Jak tylko usta w tej sprawie otworzył, Choraży wpadł w taką passję, w jakiej go jeszcze nigdy nie widziano.

Nie nastawano więc, i Choraży uspokoił się powoli.

Stanisław przyjechał, ale znalazł przed sobą zamkniętymi drzwi domu ojcowskiego. Te drzwi, które gościnnie stały otworem dla wszystkich — dla przyjaciół i nieprzyjaciół — zamknęły się tylko przed jednym, a tym jednym był: rodzony syn. Z tego powodu posądzono starego o dziłki egoizm, nie mający względu nawet na własne dziecko.

— Wyrzekł się — powiadano — syna, dla tego, że ten nie siedział przy jego łóżku i nie doglądał go w chorobie... Chciałby dziecko swoje nagiąć względem siebie do roli sługi szpitalnego... Miło to wprawdzie umierać na rękę syna i zdawać mu niejako życie w ten sposób, jako sztyldwach luzuje na warcie sztyldwacha; ale miliej jeszcze po-

winno być ojcu umierać z tém przeświadczeniem, że syn rośnie w zaszczyty...

Opinia publiczna oświadczyła się stanowczo za Stanisławem, dla tego szczególnie, że mu się wiodło. Powodzenie ma zawsze rację. Powodzenie usprawiedliwiło najzupełniej i nieposłuszeństwo Stanisława i zapomnienie jego o ojcu.

— Cóżby był wskórał — tak się sformułowała opinia publiczna — gdyby był posłuchał starego!.. W najlepszym razie zostałby tylko hreczkosiejem...

Nie poprzestawano jednakże na tém. Posuwano się do obmowy. A badając powody zawziętości Chorążego, nie zaniechano zębem oszczerstwa zaczepić o popioły nieboszczki Chorążyny. Rówieśne jęj panie z dwójznanym uśmiechem szeptały pomiędzy sobą:

— Nie daremnie Chorąży nie uznaje Stanisława synem...

Panowie zaś powiadali sentencyonalnie:

— Chodzą po ludziach przypadki...

I brzydki ten domysł, szarpiący cześć zmarłej a jednej z najzacieńszych kobiety, był jedynym, który w części usprawiedliwiał Chorążego.

Chorąży wiedział o tém. Znaleźli się bowiem usłudni przyjaciele, którzy udzielili mu tych wiadomości. Ktoś nawet napisał list *anonyme*, zaczynający się od ubolewania nad nieposzanowaniem *honoru* uczciwego człowieka, i szeroko o wszystkich rozpiisał się plotkach.

Nie wiem, co działo się w duszy Chorążego. Zdawało się, że go to wszystko nic a nic nie obchodziło. A może obchodziło. Może dla zbicia z fałszywego toru opinii publicznej, raz jeszcze zetknął się pisemnie ze starszym synem. Odesłał mu w całości i gotówce przypadającą na niego schedę majątkową i zażądał, drogą urzędową, po-

kwitowania. Stanisław przysłał pokwitowanie, którem zrzekł się wszelkich do Hrynenek pretensyj.

I od tój chwili, już ani poznać po nim było, że miał drugiego, okrom Jana, syna. Ale też nie można było poznać, aby zraził się starszym, z takim spokojem i troskliwością zajął się wychowaniem młodszego.

Wychowanie Jana da się podzielić na cztery okresy: pierwszy—do siedmiu lat jego wieku, drugi—od siedmiu do dziesięciu, trzeci—od dziesięciu do siedemnastu, czwarty—od siedemnastu do dwudziestu dwóch.

W pierwszym okresie znajdował się Jan pod wyłącznym wpływem i wyłączną opieką ojca i ciotki, z wyraźną przewagą na stronie tój ostatniej. Niczego on się niby nie uczył, a przecie nieledwie codziennie o czémś nowém się dowiedział. Z ciotką rano i w wieczór odmawiał pacierz i przejmował od niej pierwsze zasady religii chrześcijańskiej. Zasady takie łatwe i proste, bo na miłości oparte. A miłości tłómaczyć nie trzeba. Miłość w sercu dziecka jest jak aksjomat nie potrzebujący dowodzenia.

Panna Ewa też nie wdawała się w tłómaczenie ani w nakazywanie miłości chrześcijańskiej, tylko rozbudzała ją w sercu synowca, obrazując mu ją opowiadaniem, które każdemu, szczególnie wieczornemu pacierzowi nieodmiennie towarzyszyły. Treść do opowiadań brała z Pisma Świętego i z historyi polskiej, i tak je umiała ułożyć i zastosować, że wydawało się, jakby wprost z pacierza wypływały. Z czego wynikało, że małemu Jasiowi pacierz lokował się w pamięci, nie jako szereg wyrazów, ale jako szereg obrazów, z których każdy miał swoje wysokie, bo moralne znaczenie. Nie uczył się on kochać z nakazu; ale utwierdzał się w miłości, rozwijał się w niej, jak kwiat w ciepłe słonecznym, i modlił się, nie

samem tylko odrzepaniem modlitwy, ale i marzeniem: o ojcostwie Boga, o poświęceniu Chrystusa, o cnotach Matki Zbawiciela, o bohaterstwie męczenników Chrześcijaństwa.

Z takim marzeniem usypiał chłopczyzna i z niem się budził. Lecz byłoby ono może bezowocnem, gdyby nie miał z kim podzielić się niem. Jaś dzielił się z rówieśnikami swoimi, chłopcami wiejskimi, z którymi używał dziecinnego życia w całym znaczeniu. Wprost od ciotki, jeżeli pogoda sprzyjała, biegł na wieś i hulał. Nie powiadano mu nigdy:

— Nie wdawaj się, Jasiu, z chłopiętami, bo to nieprzyzwoite dla ciebie towarzystwo...

Dla dziecka nie ma nieprzyzwoitego towarzystwa, skoro nad takowem starsi czuwają. Odstępcanie zaś paniątek od chłopiąt, takie powszechne w wychowaniu szlacheckich naszych dzieci, sprawia, że odstrychają się one od towarzystwa, nie dla tego, że nieprzyzwoite, lecz dla tego, że chłopskie; i z tém odstręceniem pozostają na zawsze obcemi uczuciem, rozumem, dążnościami, nawet zwyczajami, wśród własnego ludu, wśród którego żyjąc, nawet go nie znają.

Jaś, uganiając i wywracając z rówieśnikami kozły na łące, albo, niby wróbel, grzebiąc się z nimi w kurzawie ulicznej, czuł ciągle nad sobą oko ciotki i ojca, bo każdej chwili spodziewał się zjawienia jednego lub drugiego. A nadto, on i rówieśnicy jego wiedzieli, że patrzy na nich oko Boga, o którem im wszyscy starsi w Hrynenkach jednakowo mówili; i ile razy zabierali się do spleatania szkodliwego jakiegoś figla, to zawsze znalazł się ktoś, co temu dziecinnemu towarzystwu o nim przypominał.

W tłumie tego towarzystwa nie od razu dawał się rozpoznać panicz. Miał on na sobie koszulkę białą i spo-

deńki z płótna domowej roboty; ale i każdy chłopak miał białą koszulkę i także spodeńki, także z płótna domowej roboty. Miał on na głowie kapelusik słomiany, który mu rok rocznie, gdy żyto dojrzewało, uplatał i zszywał gumieny; i mało który chłopiec nie miał takiegoż samego nowego kapelusika. Chodził boso, jak wszystkie wiejskie dzieci, i jak wszystkie był opalony od słońca i uwędzony od wiatrów; odróżniał się tylko tём, że koszulkę nosił z kołnierzem i zawiązywał ją nie zaścieżką lecz tasiemką, a przy spodenkach, zamiast oczkura, miał zapinany na guziki pasek.

Zresztą, widząc go w gronie wiejskiej dziatwy, ani domyśleć się było można, że to dziedzic Hrynenek. Nie tylko bowiem swawolił, biegał, ujeżdżał kije, zaprzęgał się w sznurki i przewracał na równi z innemi dziećmi, ale także, na równi z innemi, okazywał uszanowanie dla każdego poważnego człowieka, bez najmniejszego względu na to, kim on był: szlachcicem czy chłopem, dworskim czy nie dworskim. Gospodarz był dla niego taką powagą, jak dla każdego z jego rówienników. Dziadów i baby w ręce całował i słuchał, jeżeli mu co zganili, pomimo że od najmłodszych lat okazywał w charakterze pewną zuchwałość. Sama ta jednakże zuchwałość uginała się przed siwym włosem *diad'ka* i *titki* (*). Zdarzało się, że któryś z *diad'ków* bywał porywczy, i pojmawszy np. na gorącym uczynku syna swego spólnie z paniczem, i syna i panicza prętem pociągnął. W takim fatalnym wypadku wypłakał się Jaś gdzieś na stronie, cichaczem, a nigdy ani ojcu, ani ciotce się nie skarżył, bo z góry wiedział,

(*) *Diad'ka*—wujaszek, *titka*—ciocia: tak tytułują na Rusi mężczyzn i kobiety w wieku.

że za całą satysfakcyę takieby od nich tylko usłyszał wyrazy:

— A widzisz!.. Dla czegoż zasłużyłeś?.. Jak kto sobie pościele, tak się wyśpi...

Do siedmiu lat nie umiał Jaś ani jednej litery. W głowie jego jednakże nie było zupełnie pusto. Kręciły się po niej swawole i figle a wśród nich tkwiły to bajki Krasickiego, Niemcewicza, Jachowicza i Goreckiego, to wierszyki jakies i piosenki, to daty i fakta z historyi narodowej. Umiał tchem jednym, chronologicznym porządkiem, wszystkich Królów i mężów sławnych wyrecytować, i o każdym coś wiedział. Wiedział np., że Jan Długosz był historykiem, Mikołaj Kopernik astronomem, Jan Kochanowski poetą, a Stefan Czarniecki wojownikiem. Wiedział, co to jest historyk, astronom, poeta i wojownik. Na zapytanie: gdzie zginął Żółkiewski?—bez namysłu odpowiadał: — «Stanisław Żółkiewski, Hetman wielki koronny, zginął pod Cecorą, w wojnie przeciwko Turkom.»— W kancelaryi Chorążego wisiało na ścianach dwie ogromne mappy, z których jedna kulę ziemską a druga Europę przedstawiała. Jaś, nie umiając jeszcze odróżnić litery od litery, umiał rozpoznać morza i lądy, rzeki i góry, państwa i miasta, a nawet przecikiem od razu trafiał na Polskę, a w Polsce—na Karpaty, na Dniepr, Wisłę, Niemen, Dźwinę, na Kraków, Warszawę, Kijów, Wilno, Lwów, Poznań, Gniezno, etc.

Przy tych wszystkich dzieciennych wiadomościach, do których przyszedł niechęcący, przez proste rozciekawienie się powiastkowém opowiadaniem ciotki i tatka, był to łotr i swawolnik, któremu równego Hrynenki nie posiadały. Nikt nad niego lepszego nie umiał wymyślić figla a tych figłów zliczyć ani spisać—nie podobna. Trzebaby chyba

przedsięwziąć rodzaj Iliady, wezwać ku pomocy muzę i rapsodycznym sposobem opowiadać: jak na jakie Jaś drzewa wlaził, jak łamały się pod nim gałęzie, jak po dachach i stertach chodził, jak na dziewczynki sidła zasta-
wiał, jak do góry nogami się przechadzał, jak pływał, jak kozły w rozmaite strony wywracał, jak kotom pęcherze z grochem przywiązywał, jak piłką wyrzucał, jak kamymi na stawie rykoszety puszczał, jak się zaprzęgał, jak się czubił, jak na kijach jeździł, jak wrony łapał, jak orły puszczał, jak z łuku strzelał, jak na szerszenie polował, jak etc. etc. etc. Że on się nie zabił, nie utopił, nie skaleczył, to dla tego jedynie, że wyrobił w sobie niepospolitą zręczność i prawdziwie gimnastyczną a naturalną gibkość. Gdzie jeno ręką sięgnął, tam i nogami dostał. A chociaż niekiedy noga mu się powinęła, to zawsze umiał upaść tak, żeby jak najmniej szwankować. A jeżeli i poszwankował, nabił guza lub oberwał sińca—to na zdrowem. Jędrnem ciele lotem się przygajało.

Czasem jednakże obrywał niepospolicie.

Razu pewnego udało mu się wysledzić na stodole gniazdo ós.

— A!.. one pszczołom miód wykradają, a swój chowają... — pomyślał sobie. — Trzeba im go zabrać...

I zaledwie pomyślał, natychmiast przystąpił do wykonania zaborezego zamiaru. Zwołał chłopców do narady i pomocy. Na naradzie zdania rozdzieliły się: jedni chcieli z wnętrza stodoły wyszturchnąć gniazdo długą tyczką, drudzy chcieli wydobyć je z zewnątrz grabiami.

Obydwa sposoby miały swoje dogodności i niedogodności. Pierwszy był bezpieczny, ale za to trudny i zmu-
dny. Wymagał bowiem: najprzód, dobrania tyczki dostatecznej długości; powtóre, wymiarkowania szturechnięcia

tak dokładnie, aby trafić jak raz pod gniazdo, i nakoniec, dostania się do wnętrza stodoły, na co potrzeba było uzyskać u zrządy-gumiennego pozwolenie, o którym z góry należało wątpić. Drugi zaś sposób był łatwy i doraźny, ale niebezpieczny: bo nieuniknionem następstwem onego była wściekła i gromadna zemsta ós — zemsta stworzeń lotnych nad biegającym — dla uchronienia się od której trzeba było zmykać po pochylej strzesze stodoły i dla ostatecznego uratowania się, skoczyć ze strzechy na ziemię.

Jaś przychylił się ku drugiemu zdaniu i podjął się wykonania onego. Zrekognoskował więc położenie. Pod stodołą rosły obficie wysokie pokrzywy, przytrzęsione w jednym miejscu kupą słomy, na którą można było wygodnie skoczyć. Najkrótsza odległość od gniazda do słomy szła po linii ukośnej, pochylającej się od wierzchołka stodoły, w pobliżu którego leżało gniazdo, ku ostrzeszu. Byłoby lepiej, gdyby ta słoma bliżej znajdowała się gniazda; ale odległość jej nie ustraszyła naszego bohatera. Chłopcy pozostali na dole, naglądając ciekawie z daleka a on uzbroił się w grabie, wdrapał się na stodołę i ruszył ku osom. Zbliżył się ostrożnie, wymiarkował odległość, zamachnął się, zarzucił silnie grabie, które zębami wpadły po za gniazdo, podważył, szarpnął—i drapnął. Chodziło mu już tylko o to, aby skoczyć na słomę.

Gniazdo wyskoczyło; lecz z gniazdem wysypał się rój ós.

Zabrzęczały w powietrzu rozwścieklone owady i puściły się za napastnikiem w pogoń.

Jakkolwiek Jaś szybko uciekał, osy go jednakże dognały. Zanim przebiegł połowę odległości do słomy, już je słyszał i widział. Zmiarkował więc od razu, że trzeba

skrócić odległość, a raptownem zniknięciem ze stodoły zbiec nieprzyjaciół z toru i zmylić ich pogoń. Ku temu nastęrczał się mu jedyny sposób: dostać się do najbliższego brzegu strzechy i nie zważać na słomę. Nie namyślał się więc ani pół chwili. Zwrócił raptem w prawo, zrobił parę desperackich susów i skoczył — w pokrzywę.

Skoczył dobrze: bo chociaż z wysoka i w parzące rośliny, ale nie wywichnął ani nogi, ani ręki, i od razu zakrył się przed owadową pogonią. Dał nurka w pokrzywy, jak pływak rzucający się w wodę z rusztowania, utonął w wysokiem zielsku i przez chwil kilka nie było go widać.

Chłopcy drapnęli za najbliższą stertę, z za węgła której wyglądali bohatera wyprawy. Wyglądali i niecierpliwili się, pytając jeden drugiego:

— Co się z Jasiem stało?..

Nareszcie wynurzył się Jaś z pokrzyw, ale — w jakim stanie!.. Kulał na jedną nogę, niósł ręce niby nie swoje, twarzyczka pokryła się mu czerwonymi plamami, a po obydwóch stronach głowy wznosiła się, jak u króla Midasa, para ogromnych uszów — jego własnych uszów, które mu raptem jak osłe wyrosły.

Przestrach ogarnął chłopców. Nie wiedzieli co począć. Więc rozpierzechli się w rozmaite strony, a Jaś, kulejąc i popłakując, powłókł się do cioci.

Panna Ewa przeraziła się zrazu, szczególnie uszami synowca. Opatrzyła je i uspokoiła się. Pokazało się bowiem, że zanim Jaś zdążył zanurzyć się w pokrzywach, dwie osy dognały go i każda z nich ucięła w wierzch jednego ucha. A gdy chłopak opowiedział jej całą rzecz:

— Posiadałeś Jasiu po cudzą własność...—powiedziała.—Osy broniły się i miały rację... I ty broniłbyś swojej własności, swojego gniazda, gdyby cię kto napastował... Nie prawdaż?..

Uwaga cioci trafiła do przekonania chłopca i to z tem większą łatwością, że od dawna szanował on gniazda ptaszków, które się bronić nie mogły; a jeżeli zaatakował osy, to dla tego jedynie, że miał je za nieprzyjaciółki pszczoł. Przy tej okazji dowiedział się o rządzeniu się i gospodarowaniu ós, i uznał całą sprawiedliwość ich obrony.

W drugim okresie wychowania, przewaga opieki nad Jasiem przechyliła się na stronę ojca.

W dzień urodzin jego, t. j. 25 marca, Jegomość obudził go bardzo rano, raniiej jak zwykle—a była to niedziela—i ofiarował mu pierwsze wiązanie, składające się z dwóch książek, z których jedna była elementarzem z obrazkami, druga historią polską z atlasem. Panna Ewa ze swojej strony obdarzyła go medalikiem Matki Boskiej i Pielgrzymem w Dobromilu. I po raz pierwszy mały solenizant dowiedział się, że ma się uczyć, i dla ułogoslławienia niejako tej wiadomości, pojechał z ojcem do kościoła.

Całą tę siódmą rocznicę przyjścia swego na świat, przepędził Jaś na rozpatrywaniu przedmiotów, które mógł już nazwać swoją własnością. Książki ślicznie były oprawne. Obrazki zachwycaly go. Na atlasie od razu poznał, że ta cząstka Europy, nakreślona na każdej stronnicy, jest tym samym przesmykiem pomiędzy Czarném a Bałtyckim morzami, na którym on, na wielkiej Chorążego mappie, zwykł szukać Dniepru i Wisły, Kijowa i Warszawy. Poznał i Dniepr i Wisłę, i z najżywszą ciekawością

dopytywał się u ojca i ciotki, o znaczenie czerwonych, błękitnych, zielonych, brunatnych i żółtych barw, wijących się skrętami na każdej stronnicy, a na każdej coraz inaczej.

— Dowiesz się o tem z książki — odpowiedział Choraży.—Trzeba żebyś się koniecznie nauczył czytać...

Jaś chciał uczyć się czytać natychmiast, i zaledwie potrafiła mu ciotka wyperswadować, że tego w jednej godzinie zrobić nie można.

Wkrótce po rocznicy urodzin Jasia nastąpiła Wielkanoc. Baby, paski, placki, mazurki, kołaczki, pisanki i kraszanki, sprawiły że zapomniał o książkach. Lecz przypomniał sobie o nich natychmiast, jak skoro przeminął i ucichł gwar świąteczny. A gdyby nie przypomniał sam, to już o tem pamiętał dobrze Jegomość.

We wtorek przewodni (w poniedziałek nie chciał robić początku) poprowadził on syna do szkoły wiejskiej, i temi słowy powierzył go nauczycielowi:

— Panie Jastrzębski (Jastrzębskim nazywał się nauczyciel), oddaję ci syna mego na naukę, i proszę, abyś traktował go bez najmniejszej różnicy, jak każdego innego ucznia... Karz go i nagradzaj, wedle zasług, i ucz... A ty, Jasiu szanuj pana Jastrzębskiego, słuchaj go i ucz się... o!.. ucz się chłopcze!..

Urozyste to, proste a surowe polecenie ojca — ojca, którego każdy wyraz przywykł Jan uważać jako świętą i niewątpliwą prawdę — wywarło silne na dziecinny umysł jego wrażenie, i utkwilo mu, uprzytomniło się na zawsze w pamięci.

Kurs nauk rozpoczął się od abecadła. Zabawiało Jasia niepospolicie, gdy wspólnie z innymi chłopcami powtarzał głośno: A, B, C, etc. gdy następnie wyśpiewywał

chórem sylaby: b, a—ba, c, a—ca, d, a—da, etc. Powiedzieć jednakże należy, że później nieraz nad książką brzydło mu życie. I nie mogło być inaczej... Jeszcze chciałyby się biegać, brykać, koziołki wywracać, a tu trzeba było siedzieć nad zadaną lekcją. A jeszcze jak na toż, cały świat, jakby spiknął się na niego. Wszyscy chórem powtarzali mu ojcowskie «ucz się», i za to «ucz się» sprzedawali mu wszystko, czego tylko zażądał a co mu przedtem darmo dawali. I tak np.

Czy zachciało mu się laski z wygiętą rączką, naśladowującą wybornie kształt karku końskiego. Przedtem właściciel laski dawał mu ją daremnie, bądź jako darowiznę, bądź w rodzaju pożyczki. Dziś powiadał:

— Dam ci ją, Jasiu, ale jak dowiem się, że się ładnie uczysz...

Czy zachciało mu się kilku marnych niteczek, na trzaskawkę do batozka. Dawniej pierwsza lepsza młodyca dawała mu je z ochotą. Dziś powiadała:

— Będziesz je miał, Jasiu, ale jak dowiem się, że się ładnie uczysz...

Czy zachciało mu się palnąć z bata przed stajnią. Dawniej furman lub którykolwiek z kozaków stajennych bez namysłu rozwijał bat, i słowami i własnym przykładem wykładał mu sztukę trzaskania. Dziś żaden nie pozwalał ani dotknąć się bata:

— Pozwolę ci trzaskać, Jasiu ale jak się dowiem że się ładnie uczysz...

Gumienny strugiwał dla niego derkacze, i dawał mu je darmo. Dziś duży śliczny derkacz wisiał na słupie w stodole, i stary Hryhor domagał się, aby Jaś napisał do niego własnoręcznie list, w którym wyraźnie stałoby

wymienionóm: «Hryhorze daj mi derkacza, a ja za to będę ładnie się uczył.»

— Cała wieś wyraźnie na chłopca zrobiła spisek. Każdy gospodarz kiwał mu palcem pod nos, i powtarzał:

— Ucz się...

«Siła — powiadają — złego, dwóch na jednego.» A na biednego, jednego Jasia powstałi wszyscy. Ojciec i ciotka, służba ekonomiczna i służba dworska, gospodarze i gospodynie, nawet parobcy, nawet dziewczki — wszyscy kiwali mu pod nos, i dowiadywali się troskliwie o postępy w nauce.

— Czyż był sposób nie uczyć się...

Ale, o ile jednogłównem było nastawanie na to aby Jaś się uczył, o tyle zdania różniły się pod względem wniosków, jakie o możliwych postępach jego w naukach czyniono. Jednym zdawało się, że będzie on mądrym jak Salomon, drugim, że «et! liźnie nauki, ale się nie douczy;» trzecim, że nic z niego nie będzie. Na czele pierwszych stał Hryhor, gumienny; na czele drugich — pan Jastrzębski, nauczyciel; na czele trzecich — pan Bublewicz, ekonom.

Hryhor był kolegą wojskowym Chorążego i z tego powodu używał wielkiej w gromadzie powagi. Jego więc zdanie przeważało, było pewnym rodzajem autoritetu, tém bardziej, że popierał je dowodami, z własnego czerpanemi doświadczenia, a doświadczenia nie lada jakiego, bo na własnej zrobionego osobie.

— I ja, hej!.. — powiadał, poprawiając siwą czapkę na siwej głowie—i ja był taki, jak ten swawolny Jasio... Nie było figla, żebym nie wymyślił, nie było zbytku, żebym nie zrobił... Bito mnie, ile wlezie... Ile gwiazd na niebie, tyle różeg na mnie zepsuto... Nic nie pomagało!.

Oddano mnie do szkoły... Ja z infimy uciekł... Taj cóż?.. Ot człowiek ustatkował się, i dziś jestem człowiekiem... Powiadam wam: z tego Jasia będzie Salomon...

Skromnie więc siebie stary Hryhor, bodaj, czy do Salomona nie przyrównywał.

Pan Jastrzębski był pedagogiem, dobranym i wybranym przez Chorążego. Był więc on wolnym od wielu właściwych pedagogom przywar; od wielu — powiadam — ale nie od wszystkich. Według jego np. mniemania, Jaś za szybko się uczył i za mało okazywał pilności.

— Proszę kogo...—powiadał, zażywając tabaki i strzepując palce.—Ja mówię, tłumaczę, wykładam, a on strzela oczami po suficie... Ja ledwo lekcję zadam... oho!.. on już ją umie... A przytém ciągle mu figle w głowie... W tém coś jest... On się uczy aby zbyć... On się należy nie przykłada... Poduczy się trochę i ustanie...

Pan Jastrzębski uważał za powinność swoją udzielić tych postrzeżeń Chorążemu i zaproponować mu dwie rzeczy: *primo*, aby pozwolił uczyć Jasia *extra*, zadając mu większe i trudniejsze lekcye; *secundo*, aby pozwolił zmusić go do uczenia się co do słowa.

Chorąży nie pozwolił ani na jedno, ani na drugie.

— Nic z niego nie będzie!.. — twierdził stanowczo Bublewicz. — Przecież mam własne dzieci i wiem, jak to chłopcy się uczą (pan Bublewicz miał synów, którzy się dobrze pokierowali w świecie)... A przytém nie jestem ślepy... Widziałem, jak pańskie dzieci wychowują się i uczą... Innych paniczów za karę chyba ubierają w chłopską odzież... Innych jak od ognia strzegą od wdawania się z chłopiętami... I tym tylko sposobem panicze na ludzi wychodzą... Jaś nauczy się czytać dobrze chyba tylko to, co zając skokami po śniegu popiszę... Bo czyż

mu się zechce uczyć!.. Teraz, żeby go do nauki nakłonić, trzeba chyba...

I z westchnieniem spoglądał na zbutwiały kańczug, od kilkudziesięciu lat bezużytecznie na ścianie wiszący.

Westchnienie pana Bublewicza ulatywało bez najmniejszego skutku i rozchodziło się w powietrzu nie odczute ani zrozumiane. Bo Chorąży zabronił chłostę wprowadzać nawet wyjątkowo, na wyraźną prośbę Bublewicza, który życzył sobie, aby synowie jego choć kiedy-niekiedy — ot tak, dla zdrowia — dostali ćwiczenie. Chorąży utrzymywał, że bity nie poprawia się.

Więc pan Jastrzębski radził sobie jak mógł: klęczaniem, kozą, postem, oślemi uszami, ale ani tknął żadnego ze swoich uczniów.

Postępy Jasia w czytaniu, pisaniu, rachunkach, katechizmie, geografii, historii świętej, powszechnej i polskiej, były szybkie i zadawalniające. Po każdym egzaminie, który w obecności ojca i gromady, wraz ze spółuczniami swemi zdawał, mógł z całą słusnością upomnieć się: u tego o łaskę zakręconą, u tej o nitki na trzaskawkę, u owego o pozwolenie palnięcia z bata, a u gumienego o derkacza. Chorąży cieszył się, ale nie okazywał tego po sobie. Panna Ewa topniała z radości, i w apteczce zawsze coś miała — jakiś pierniczek, sucharek, obwarzanek, rozenki lub smażone gruszki — czem wynagradzała synowca. Dodać jednakże należy, że dla nieokazania parcjalności, wynagradzała niemi także i spółuczniów Jasia, odznaczających się pilnością i postępami. Już to co się cioci tyczy, była ona ciocią spólną, opatrnością, czuwającą nad dziatwą całej hryneńskiej gromady; a smażone jej gruszki i rozenki posiadały czarodziejską

własność poprawiania złych i utrzymywania dobrych w dobrem.

W drugim tym okresie edukacyjnym, swawolność Jasia wzięła kierunek wojowniczy. A to z powodu historii. Ciągłe roły się mu po głowinie: Psie pole, Połowce, Grünwald, Kirchholm, Kluzyn, Chocim, Wiedeń. Ciągłe w oczach mu stali: Chrobry, Łokietek, Jagiełło, Chodkiewicz, Żółkiewski, Tarnowski, Czarniecki, Sobieski. Ciągłe w uszach mu dzwoniły brzęki i szczyki husarzy, pancernych i kozaków. Najulubieńszą jego rozmową stało się rozpytywanie ojca: o szyk bojowy, o szczegóły bitew i o szczegóły czynów znakomitych wodzów.

Chorąży opowiadał.

Prawdziwie malowniczym był widok starca w wytartym kontuszu, wykładającego zasłuchanemu chłopięciu minione dzieje sławy i wielkości ojczystej.

Pyzaty, osmalony, bosy Jaś, wparłszy się łokciami na stole iub na kolanach ojca, i przekładający nogę na nogę, z wpeł-otwartymi ustami, z rozplómienną twarzą, z wlepionym w oblicze starca wzrokiem, łowił uchem każdy wyraz wychodzący z ust tego ostatniego, i wzdychał i serce dziecinne coraz mocniej i szybciej tętniło. Starzec był spokojny i pogodny. Mówił wyrazami prostemi, obrazując myśli stosownie do pojęcia słuchacza. Panna Ewa, która zwykle obecną była tym rozmowom, robiła pończochę, zażywała tabaczkę, milczała, i za każdym mocniejszym westchnieniem Jasia spoglądała na niego z uśmiechem, w którym przebijał się wyraz rzewnej miłości, i niekiedy po uśmiechu następowało ciche westchnienie.

Ten ojciec, ta ciotka i ten chłopczyk — każde ze swoim wyrazem twarzy, każde po swojemu usadowione—

stanowili grupę, godną pendzla najpierwszego malarza. Bo nie tylko osoby, ale i tło przydatnem było do obrazu. Ojca i ciotkę rozdzielał stół jesionowy, pomiędzy dwoma oknami postawiony. Trzy postacie te żyjące były pełną, harmonijną całością, do której nic już nie trzeba było dodawać, chyba jeszcze, dla dopełnienia warunków sztuki, wymagającej zamalowania płótna: gładkie, białe ściany, sufit na belkach, sofy przykryte kwiecistym perkalikiem, krzesła drewniane skórą wybite i staroświecki zegar ścienny z kurantami.

Ojciec więc zajął względem Jasia to stanowisko, jakie przedtem zajmowała ciotka. Ona rozwinęła w sercu jego miłość, jak kanwę na krosienkach. On na tej kanwie wyszywał obrazy, haftował ją, zapełniał, przez każde oczko przewlekał starannie nitkę, barwą i rodzajem zgodną z całością.

A Jaś wojował. Potykał się z wrogami, których pełno do koła widział na gruncie Hrynenek. Strącał Bisurmanom turbany wraz z łbami. Rzuczał się na tych, którym kity pływały na szyszakach. Prowadził do boju hufce, i sam najpierwszy wpadał w najgęstszy szyk nieprzyjaciół. Czerwono kwitnące bodiaki, dzikie bzy, pokrzywy i wszystkie nieużyteczne zielska i chwasty, reprezentowały mu tych wszystkich, których gromili Chrobrzy, Łokietki, Chodkiewicze, Żółkiewscy, Czarnieccy. Hufce jego składały się z rówiennych chłopców. Gdzie ci bohaterowie wpadli, tam śmierć zdmuchała wrogów i zniszczenie szerzyło się do koła. W pień wycinali Turków, Tatarów, Szwedów, to jest: wszystkie bzy, bodiaki, pokrzywy, dendery i wszelakie chwasty rosnące pod płotami, w rowach i na wygonach. Rośliny użyteczne były szanowane i grały rolę sprzymierzeńców.

Niekiedy jednakże zdarzało się wojownikom pomylić. Razu pewnego, w zaślepieniu męstwa napadł Jaś na czele szyków, na rosnące tuż za tokiem konopie, które — wydało się bohaterowi naszemu — za jedno trzymały z pokrzywą, oddzieloną od nich tylko szerokością płotu. Przez pokrzywę, przez płot, wdarły się rycerskie chłopaki w gęstwinę konopi i poczęły wojować. I byłyby straszliwe sprawy zniszczenie, gdyby nie Hryhor, który, zajrzawszy co się dzieje, pospieszył w czas z pomocą, długim prętem przypuścił na wojowników atak z tytułu i uratował konopie.

Wypadek ten doniósł się do wiadomości Chorążego i posłużył mu do zwrócenia baczności syna na rodzaje nieprzyjaciół.

— Co to znaczy, Jasiu?...—zapytał—Hryhor mi mówił, że z konopiami wojujesz...

— Bo mi się wydało, tatku—odparł chłopak, patrząc ojcu prosto i bystro w oczy — że to Tatarzy, co Turkom pomagali, a Tatarzy byli już na naszym toku... Wycięliśmy Turków w pień, i wzięliśmy się do Tatarów, tak jak Konaszewicz, kiedy szedł z pomocą Chodkiewiczowi, pod Chocim...

— Co też ty pleciesz!.. — rzekł Chorąży, uśmiechając się. — Radzę ci, ażebyś lepiej odróżniał przyjaciół od nieprzyjaciół... Konopie żadną miarą nie mogą być nieprzyjaciółmi: bo z konopi wiele dla ciebie samego użytecznych robi się rzeczy... Uważaj je więc za sprzymierzeńców i oszczędzaj, bo jak je wyniszczysz, to nie będzie ani nici, ani postronków, ani płótna...

Jasiowi trafiła przestroga ojcowska do przekonania. Od tej chwili stał się uważniejszym, i już tylko same

szkodliwe zielska były mu wrogami. Zapamiętałe oczyszczał z nich śmieciska Hryneńskie.

A nie zawsze Jaś prowadził hufce do rozprawy. Zachodziły niekiedy pomiędzy wojownikami nieporozumienia i niezgody, skutkiem których dostawało się mu stanowisko podrzędne. Z hetmana spadał na prostego szeregowca. Czasami przychodziło aż do bitki. Wojownicy czubili się pomiędzy sobą. Domowa wojna napędzała im guze i sińce.

Przypatrując się z boku, w tém dziecinném towarzystwie dostrzegać się w ziarnie dawały wszystkie zalety i przywary, jakie społeczność nasza w swoim dziejowém, dojrzałym, publiczném i politycznym życiu objawiła.

Tak upłynęły Jasiowi trzy lata. W przeciągu tego czasu ukończył on kompletny kurs nauki potrzebnej dla wieśniaka. Gdyby był chłopem i życie jego gdyby upłynąć miało za pługiem, to mógł już wystarczyć sam sobie. Bo miał możność, przyszedłszy do wieku dojrzałego, zostać rzeczywiście pełnoletnim. Umiał bowiem czytać, pisać i rachować, więc nikt już niewiadomości jego w tym względzie nie mógł wyzyskiwać. Poznał zasady religii — więc miał obronę przeciwko przesądności. Umiał geografję i historję, w skróceniu wprawdzie, ale w takim, z którego był już w stanie uznać siebie jako istotę rozumną, żyjącą i działającą w warunkach przestrzeni i czasu. Słowem, posiadał wiadomości tyle i takie, że usposobionym już był do wzniesienia się samoistnie na ten szczebel, na którym człowiek czuje się moralnie człowiekiem, wznosi się nad bydle, zbliża do Stwórcy, i przyjmuje i pojmuje pracę rozumnie, bardziej jako sztukę, nie zaś jako jarzmo.

Z takim usposobieniem każdy chłop hryneński wychodził ze szkoły, założonej i dozorowanej przez Chorążego. Nie każdy wprawdzie usposobienie to rozwinął i udoskonalił, ale to policzyć już trzeba na karb matki przyrody, z rąk której jeden człowiek z mniejszemi, drugi z większemi wychodzi uzdolnieniami. Chorąży zrobił wszystko co mógł aby zrobić jak najlepiej. Nie jego wina, że nie mógł zrobić jeszcze lepiej. Ze szkółki hryneńskiej można było co roku wybrać jednego, dwóch uczniów do wyższych szkół, i otworzyć przed nimi zawód, któryby ich człowieczeńskość do wysokiej podniósł potęgę, przyniósł chlubę, i oddał może niepospolite społeczności usługi. To przechodziło jego możność, dla tego zapewne, że on sam jeden, jak Filip z konopi, wyrwał się z edukacją ludu. Czemuż inni tego nie robili?.. Czyż i on naśladować miał innych— i być człowiekiem-małą, oglądającym się na sąsiadów?.. Jegomość inaczej na tę rzecz się zapatrywał: nie mógł on jakoś nakazać sumieniowi swemu milczenia, dla tego tylko, że milczało sumienie jego sąsiadów. Pojął on obowiązki zamężniejszego względem uboższych, oświeconego względem nieoświeconych brata w rodzinie starszego, i wedle pojęcia tego postępował. I nawet nie zdołał zatrzymać się w obec tego względu, uważanego przez niektórych za bardzo ważny: że lepiej nie rozpoczynać nauk, jeżeli nie można ich skończyć.

Jegomość miał ten wzgląd na uwadze, i taki, wespół z p. Jastrzębskim, ułożył program, że zakres nauk w Hrynenkach był całością w sobie— skróconą, sprowadzoną do prawd zasadniczych, do tych głównych podstaw, na których opiera się cały gmach wiedzy— ale całością skończoną, wyokrągloną, której stosunek do

najwyższej całości naukowej był taki, jak zamożnej wieśniaczej chaty do pysznego książęcego pałacu, jak skromnego wiejskiego kościołka do kościoła Św. Piotra w Rzymie, jak nakoniec Hrynenek do Warszawy. Dla wychodzącego z hryneńskiej szkolki dwie nastęrczały się drogi, i obie były dobre: albo stawać za pługiem, albo iść do gimnazyum, a następnie do uniwersytetu; od pierwszej bowiem nie był zrażonym, a do drugiej posiadał wszelkie przysposobienie. Że żaden z poddanych Chorążego nie poszedł tą drugą, to szkoda, ale nie jego w tém była wina. Jakem wyżej powiedział; on co mógł, robił. Synowie pana Bublewicza, jego kosztem gimnazyja i uniwersyteta pokonczyli i pięknie się pokierowali. Syn pana Jastrzębskiego dla tego tylko nie skończył nauk, że nie chciał się uczyć. Syn własny Chorążego, także z powodu wstrętu do nauk, nie poszedł wedle jego myśli. Teraz następowała kolój na Jasia.

— No Jasiu, rozstaniemy się...— rzekł Jegomość podczas wakacyj.— W Hrynenkach skończyłeś już edukacyę... Potrzeba uczyć się dalej... Cóż ty na to?..

Chłopak wypatrzył się na ojca ciekawie i czekał, bo odgadywał, że ma mu coś jeszcze powiedzieć.

— Pójdziesz w świat, między ludzi...— ciągnął Chorąży— między ludzi iunych jak Hrynenczanie...

— Kiedy?...— zawołał Jaś, a błękitne oczy zaświeciły mu niecierpliwością.

W tém »kiedy« zabrzmiało już rwanie się w świat; zadzwoniła prośba duszy, pożądliwój przestworu, chcącój lecieć het! daleko! wierchem na myśli, jak Jowisz na orle.

Zmiarkował to snadź Chorąży, bo po czole jego i oczach przewinęła się chmurka troski. Lecz natychmiast znikła, jak ten cień mknący przez pola od przebiegającego przed słońcem obłoczka.

— Za dwa tygodnie...— odpowiedział spokojnie synowi.

Od tój chwili rozpoczęły się zachody około Jasiowej wyprawy. Najenergiczniej zajęła się nią panna Ewa. Wzięła na siebie odpowiedzialność za bieliznę i pościel. Wybrała sztukę płótna najcieńszego, na jakie jeno tkacze hryneńscy zdobyć się zdołali, i najbielszego, na jakie słońce polskie wysilić się mogło, pokrajała i wzięła się do szycia koszulek, prześcieradełek, poszewek, chusteczek etc. Jegomość ze swojej strony sprowadził Szmulę, krawca z pobliskiego miasteczka, który przybył w towarzystwie dwóch żydków, czeladników. Ci, ze starego jegomościwego kontusza wynicowali nowy dla Jasia surducik, ze starych hajdawerów nowe spodnie, dodając do pierwszego nowy pąsowy kołnierz i mosiężne mundurowe guziki, a do drugich tylko nowe kościane guziki. Żeby zaś nie wszystko było przerabianiem, kupił Jegomość granatowego i szaraczkowego sukna, i z pierwszego kazał uszyć mundurek, z drugiego płaszczyk. Szmul jadł placki, jaja, fasolę, cebulę, śpiewał majufes i szył, i z rąk jego, kolejno a powoli, wychodziły jedna po drugiej rozmaite części umundurowania, przepisane dla uczniów gimnazyj.

Wyjąwszy umundurowania, nie zrobiono dla Jasia nic cywilnego, żadnego szlafrocza, żadnej kurteczki, w które troskliwi o wygodę dzieci rodzice zwykli synków zaopatrywać. Panna Ewa jednakże ofiarowała jakąś materjalną, czarną, mocną pelerynkę, która niegdyś, za mło-

dych jęj lat, służyła do stroju, i Szmul sporządził z nięj kamizelkę. Posiadała ona jeszcze i suknie dawnego kroju, o króciutkich, bufiastych rękawkach, o króciutkich, wysokich stanikach, o krótkich a wązkich spodniczkach, z takięj materyi, co to postawiwszy ją, stoi sama bez pomocy ludzkięj; ale te zachowała na późnięj, zamyślając obdarzyć niemi synowca nie pięrwęj, aż potrzeba mu będzie kamizelek na zachwycanie osobą swojną panien, o których serduszka i rączki zechce się dobijać. Mysląc o tēm, i o swoich sukniach, i o swojēm zwiędłēm dziewictwie, wzdychała panna Ewa i mówiła sama do siebie:

— Gdyby tęż przynajmnięj Jasiowi Bóg pobłogosławił...

A Jaś, przymierzając co dnia, (bo Szmul bez przymierzania nie umiał trafić na pamięć), to tylko-co sfastrygowane, to sfastrygowane powtórnie i po raz trzeci, to poczynające się szyć, to będące na dokończeniu, to nareszcie dokończone fraczek, surducik i spodeńki mundurowe, oglądał się po sobie ze zdziwieniem i nie umiał się w tēm przebraniu rozpoznać. Gdy spoglądał na rękę, to mu się tak zdawało, jakby to była nie jego ręka; gdy patrzył na nogę, to go bawiło, że jest czarną i jak dudka wygląda; a nie mógł zdecydować się śmiało od razu chodzić i ruszać się, bo go coś przytrzymywało, lub groziło, że wszystko na nim podrze się i popęka. Czuł się jakby w pętach. Kołnierz stojący, na haftki spięty, gniółł go pod brodą. Rozstawiał ręce i sztywnie wyciągał nogi, jak rekrut. Wszystko to jednakże wielce go bawiło a szczególnie podobały się mu baciki z kozłowej skóry, przez wiejskiego szewca uszyte, do których od dawna wzdychał.

Od Jegomości dostał się Jasiowi kuferek zielony, okuty i na zamek zamykany, opatrzony wewnątrz przybitą

z boku, podłużną i osobno zamykaną kryjówką, w której mieściły się: miotełka do sukien, szczotki do butów, szuwaks, dwie kopy piór gęsich, kawałek kredy w bibule zawinięty, seczoryk, nożyczki, zajęcza łapka, deszczuleczka do czyszczenia guzików i zwitek złożony z kawałków sukna, pozostałych po rozmaitych częściach mundurowej odzieży i przeznaczonych na reperowanie niszczeń, jakie na fraczku, surduciku i spodeńkach czas i używanie poczynią. Wewnątrz zwitku tego było dwa moteczki nici— jeden czarny, drugi biały— moteczek jedwabiu, napaństek i tuzin igieł, wszpilonych w sukno. Jegomość tłumaczył synowi użytek każdego z tych przedmiotów i uczył go składać, czyścić i utrzymywać w porządku odzież, pościel i bieliznę— dodając do nauki powody, dla których potrzeba być czystym i porządnym.

— Jeżeli— powiadał— nie naprawisz małej dziurki, to zrobi się większa i trudniej z nią będzie... Jeżeli nie wyczyszczysz małej plamki, to nabije się w nią prochu i potem nie odczyszczysz się jej... A trzeba, żebyś wyglądał zawsze cało i czysto: bo jak cię widzą, tak cię piszą... Gdy obaczą cię ludzie obtartym i oplamionym, powiedzą żeś niechluj i niedbalec, i będą cię unikać...

A przytém przygotowywał go do przyjęcia, jakie go po za Hrynenkami czeka:

— Nie wszyscy ludzie są takimi jak Hryneńczanie... Są lepsi od nich, są i gorsi... Rozpoznasz ich, gdy będziesz starszym... Zrobisz porównanie, gdy będziesz miał rozum... A póki to nie nastąpi, potrzeba abyś się pilnie uczył wszystkich nauk, jakie wykladać ci będą w szkole, i abyś nie zapominał tego, czego nauczyłeś się w domu... Bo pamiętaj i miej to sobie dobrze na uwadze: że szkoły publiczne...

Tu zatrzymał się Chorąży, pomyślał i ciągnął dalej:

— Ze szkoły publiczne i dom ojcowski, to dwie różne i niepodobne do siebie rzeczy... W szkołach nie znajdziesz ani tatka, ani cioci... W szkołach obce oczy inaczéj na ciebie będą patrzyły... W szkołach inaczéj do ciebie przemówią... W szkołach zabronią ci nie jednego: do czego przyuczyłeś się w domu...

Tu wyliczył szczegółowo wszystkie zabronione rzeczy: figle, kozły i inne.

— Bądź więc ostrożny ..— kończył Chorąży.— Bo pamiętaj, że przedewszystkiém musisz mieć rozum i że ten rozum nie na twój tylko osobisty jest ci potrzebnym użytek, ale na wyręczanie tych, którzy go nie mają i mieć możliwości nie posiadają... Niech cię tedy nie zraża: strzeż serca, a głowę napełniaj wiadomościami i ucz się wszystkiego, bo nie wiesz, co ci się przyda w przyszłości...

Z pomiędzy nauk i przestroóg, jakie Chorąży dawał synowi, nie mogę wytrzymać, abym nie przytoczył jeszcze jednej:

— Powiedzą ci, żeś szlachcic... Wiédz że tymczasem, że szlachcicem ten jest tylko, kto szlachetnie postępuje... Później powiém ci o tém coś więcej...

Przestrogi i nauki wrażały się w umysł Jasia i wrastały weń, dla tego, że były proste i redukowały się do niewielkiej liczby głównych, ku którym Chorąży ciągle nakłaniał uwagę syna, objaśniając mu przyczyny i wykazując skutki. Tym sposobem uzbroił on go niby w puklerz, zdolny na razie odeprzeć rdzenne i podstępne pociski. I nadto ukazał w rezerwie siebie, gotowego na każde jego zawołanie śpieszyć z radą, z pomocą, z obroną.

Cała gromada wtórowała zgodnie Jegomości. Jak niegdyś, niby zmównie, zagrzmiała Jasiowi w słuch wyrazem «ucz się!», tak teraz każdy gospodarz przemawiał do niego, z tematu przestróg i rad Jegomości, objaśniając rzecz to przysłowiami, to porównaniami. Przemowy wszystkie streszczały się w tem przysłowiu:

— *Luděj słuchaj, a swij rozum maj* (słuchaj ludzi, ale miej swój rozum).

Gumienny taką z faworytem swoim miał rozmowę:

— Którą ty, Jasiu, jész ręką?..

— Prawą...

— Którą piszesz?..

— Prawą...

— Którą z bata palisz?..

— Prawą...

— A gdyby ciebie kto bardzo poprosił, namawiał, albo nakazywał tobie, ażebyś jadł, pisał i z bata palił lewą ręką, czybyś się na to zgodził?..

— E!.: komuż-by to do głowy przyszło!..— odparł Jas.

— No!.. ale, gdyby komu przyszło?..

— Tobym mu powiedział, żeby sobie poszedł het... żeby mnie nie nudził...

— Nibyżto nie wszystko jedno... prawa i lewa ręka..— rzekł Hryhor głosem takim, jakby go chciał w wątpliwość wprowadzić.

— Ta-że... ta...— odrzekł chłopak, nie wiedząc, co myśleć o uwadze Hryhora.— Zdaje się, że to wszystko jedno...

— Jedno i niejedno...— odparł gumienny.— Gdybyś jadł albo pisał lewą ręką, to by cię ludzie nazwali mańkudem...

— Prawda!.. zawołał Jaś, tonem takim, jakim obwołuje się niespodziane rozwiązanie zagadki.

— Aha.. zawołał Hryhor.— Otóż widzisz!.. Otóż trzeba żebyś pamiętał, że jest wiele takich rzeczy, co zdaje się że to jedno, a tymczasem nie jedno... Ot jest naprzykład ta ręka... I to ręka, i to ręka... Ale jedna prawa, druga lewa... A to wielka różnica!.. Tak samo i z drogami... Pójdź w prawo, zajdziesz gdzie indziej... w lewo, gdzie indziej... Tak samo ze wszystkiemi... Oho!.. wiem ja, bo ja nie z jednego pieca jadł chleb...

Poprawił czapkę, chrząknął i prawił dalej:

— Trafi się człowiek niby to dobry, taki dobry, że go choć zaraz do rany przyłoż, niby twój przyjaciel; ale mańkut i dla tego że sam mańkut, będzie cię prosił, zaklinał, będzie się tobie u nóg słał, ażebyś i ty dla jego przyjaźni został mańkutom... Strzeż się Jasiu takich przyjaciół!.. Drugi znów, rozumny, wyszczekany, jak Pałamarzowa suka 1); ale także mańkut; będzie cię przekonywał i jasno jak na dłoni dowodził, że trzeba być ostatnim durniem, żeby jeść prawą ręką... że nie ma jak być mańkutom... Strzeż się Jasiu takich *mudrahełów*... 2). Inny znów będzie napuszczał na ciebie strachy, jak djabeł na tego, co na kwiat paproci czatuje... a wszystko dla tego tylko, że on sam mańkut i żebyś ty także został mańkutom... O, strzeż się, Jasiu!.. trzymaj ucho ostro!.. sypiaj na jedno oko!.. żeby broń Boże! nie uprosili ciebie, nie namówili, albo nie zastraszyli...

1) Pałamarz w Hrynenkach miał bardzo hałaśliwą sukę.

2) *Mudraheł* prowincjonalizm. znaczy: mędrala.

Baby, ile razy która zajrzała Jasia, natychmiast krzyżowała ręce ua piersiach, kiwała z rozczuleniem głową, i mówiła:

— Bidneż ono (rozumie się: dziecko)!.. Jakżeż ouo tam pomiędzy cudzymi wytrzyma!.. Czy nie zapomni o swoich, tak jak jego brat starszy!.. O, na miejscu Jegomości, za nic nie puszczałabym Jasia w świat...

O pannie Ewie nie mówię. Ona prawie nie brała udziału w tej moralnej wyprawie synowca, tak zajęta była materyalną. Krajała i szyła, szyła i krajała, i popłakiwała chwilami. Warto było przypatrzeć się szyciu: co tam były za ścięgi!.. co za stębnowanie!.. Koszulki nie miały zakładek na piersiach, ani mankietków z guziczkami, bo i sam Jegomość zakładek i mankietów nie nosił; ale za to, przy końcu każdej pazuchy wyszyła panna Ewa serduszko, podwójnie ostębnowane, które i jako ozdoba i jako prezerwatywa przeciwko rozdarciu służyło. Wstawki, podkładki i zakładki były jak najstaranniej obszyte. Każdą sztukę bielizny naznaczyła numerem i cyfrą *J. J.* i przemyślała jakimby też sposobem chusteczki od nosa zabezpieczyć od gubienia?.. Na rozmaite wpadała sposoby. Między innymi, zdecydowała się już była poprzyszywać je na długich tasiemkach do dna kieszonek, ale— zaniechała tego. A po uszyciu wszystkiego, kazała przy sobie uprać, ze wszystkimi sekretami pralnianej sztuki: sama dopilnowała ługu, sama rozpuszczała lazurek, sama dodała krochmalu, dojrzała suszenia, maglowania i prasowania, i ułożyła w końcu zawiniątko, w którym numerami sztuka obok sztuki leżały. A skończywszy jedno zajęcie, wzięła się natychmiast do drugiego: do uprowadzenia małego podróżnika w zapasy na drogę, pomimo że droga ta nie była zbyt dłu-

gą. Z Hrynenek do Niemirowa nie liczono więcej jak mił siedm— ukraińskich wprawdzie, ale tylko siedm.

Na trzy dni przed odjazdem, kuferek Jasia zapelniał się dwoma zawiniątkami, z których jedno zawierało odzież, drugie bieliznę. Buciki leżały z boku, złożone podszwami na wierzch i związane dratwą. Na samym wierzchu spoczywała miotelka. Z po za zawiniątek wyglądała długa, drewniana linija. Niczego w tym kufunku nie brakowało, chyba tylko książek, papieru i ołówków. Te miały być kupionemi w Niemirowie. Chciał wprawdzie zabrać Jaś swoje, lecz Chorąży nie pozwolił, mówiąc:

— Książki domowe na nic ci się nie przydadzą w szkołach... A z papieru i ołówków nie ogałacaj Hrynenek...

W miarę postępu wyprawy, Jaś zdawał z niej sprawę przed towarzyszami swoimi, którzy nadzwyczajnie się nią interesowali. Przez cały czas jój trwania, gromadki chłopców wiejskich wałęsały się w okolicach dworu, oczekując i wyglądając jakby jakiejś niezmiernie ważnej wiadomości. Pomiedzy chłopcami postrzegać się dawały i dziewczynki, w koszulkach, zapaskach, krajką podpasane, a takie zafrasowane, jakby Bóg wie na jakie nieszczęście. A nie powinnyby one się smucić: pozbywały się bowiem ze wsi łotra, który im tysiączne płał figle. Te jednakże serduszka dziewczęce takie są przebaczące!.. Żal im było za tym Jasiem, na którego nieraz z gorzkim płaczem *na bezhotowla tobi!* wołały. Z bijącym sercem, z wyciągniętą główką, ze stroskaną minką, przysłuchiwały się, jakie on chłopcom dawał odpowiedzi na zapytania:

— Cóż tam słyhać?.. cóż tobie mówili?..

Opowiadał o postępach wyprawy; powtarzał co kto jemu powiedział; udzielał im własnych swoich domysłów i spostrzeżeń; a tak jakos spoważniał, jakby to nie był ten sam Jaś, i przez całe dwa tygodnie nie tylko żadnego figla nie spletał, ale nawet żadnej dziewczynce języka z daleka nie pokazał.

Wybiła nareszcie godzina odjazdu.

Jegomość wstał przed wschodem słońca, ażeby równo ze wschodem wyjechać, chciał bowiem jednym dniem stanąć w Niemirowie i nie spóźnić się na noc.

Wytoczono z wozowni bryczkę. Daniło, kozak pełniący funkcję furmana, czterem koniom, mającym iść w drogę, wsypał podwójną porcyę obroku, przymocował do bryczki sztelwę, posmarował osie, uwiązał z tyłu maźnicę, poubierał konie i oczekiwał na rozkaz:— zaprzęgaj...

Jaś czujnie jakos spał téj nocy. Obudził się wraz z najpierwszym szmerem jaki zrobił się w domu i natychmiast po pacierzu pędem ruszył do stajni. Obchodziło go niesłychanie, które konie pójdą w drogę.

Trzeba bowiem wiedzieć, że bohater nasz posiadał to, co nazywają: »żyłka do koni«. Musiało to być dziecinnem, bo i Chorąży miał do koni wrodzoną passę, którą rozwinął jeszcze tém, że w młodym wieku służył w kawaleryi. Na stajni u niego stało trzy czwórki, a wszystkie dzielne i wszystkie zarówno zdać się mogły i do bryczki i pod siodło. Nie rujnował się on jednakże dla nich, gdyż na Rusi, utrzymanie dwunastu koni swoim owsem i swoim sianem, nie może zrujnować wioskowego szlachcica. Można było wprawdzie owies i siano sprzedać i paręset rubli co roku schować do szkatuły, ale— cóż z passą poradzić!.. Innym nierównie więcej

pożerają karty, kobiety, wina, kuchnia, stroje, powozy, meble, *quasi*-handle i *pseudo*-spekulacje. Możnać Cho-
rążemu wybaczyć jego tuzin wierzchowców...

Nie należy się dziwić, że szkapomanija budziła się silnie w dziesięcio-letnim Jasiu. Dla niego furman był wielce poważną osobą, a koń bardzo drogą istotą. Po-
całować furmana, dla uzyskania pozwolenia pogłaskania konia, było u niego jak orzech zgryść. W dzień pierw-
szego z domu ojcowskiego odjazdu, najpierwszą i jedy-
ną wizytą pożegnalną, jaką zrobił, była do stajni. Obej-
rzał konie, obszedł je, ogłaskał i uniósł z sobą wspo-
mnienia min, jakie stroiły do niego na pożegnanie:
orzeł, wicher, wisznia, deresz, bułaniec, zapolski, mu-
cha, turek, czerkies, sosnowski, gundia i maryna.

Ciocia zawołała go.

— Ubierz się, Jasiu...— rzekła gdy przyszedł— po-
studenku, moje dziecko... Oto koszulka, numer pierw-
szy... Pamiętajże sobie, abys biorąc czystą, brał na-
stępnie numer drugi, a potem trzeci...

Do śniadania wystąpił Jaś w pełnym uniformie, ale
nie w paradnym, bo nie we fraku. Zasiadł, lecz nie
mógł podolać śniadaniu. Odbiegł go jakoś tym razem
apetyt. Nie mógł wypić szklanki mleka, pomimo że do
niej, nie jak zwykle kromkę żytniego chleba, ale pszen-
ną, białą, śliczną miał bułeczkę. Coś go wewnątrz świ-
drowało. Śpieszył się. Coś ciągnęło go na podwórze.

Cóż tam było na podwórzu?

Pakowano brykę i zaprzęgano konie. Ale ta bryka
i te konie ledwo widnemi były w tłumie ludzi, jaki na-
pełnił dziedziniec.

Pomimo bardzo rannej pory, cała prawie zeszła się
gromada. Nikt jej nie prosił, ani spędzał: zeszła się

sama, z dobrej woli. W ganku stanęli poważniejsi gospodarze. W pobliżu bryczki zgromadzili się rówieśnicy Jasia. Ci ostatni z wielką ciekawością przeprowadzali oczyma każdy przedmiot, który ze dworu przenośli się do bryczki, i szczególnie przypatrywali się zielonemu kuferkowi, o którym cuda słyszeli, a niemniej uderzyła ich tajemnicza jakaś kobiałka, zawierająca w sobie— nie wiadomo co.

Skończywszy śniadanie, wysunął Jaś na ganek, poskoczył ku bryczce i raptem zatrzymał się wśród rówieśników. Mina jego była nie do opisania. Stanął i oglądał się dokoła powoli i poważnie. Chłopcy oglądali go od stóp do głowy, ciekawie i uważnie. A dziewczynki aż na palce się spinały, aby przynajmniej choć czerwony kołnierz, choć jaki guzik dojrzieć. Ci co byli bliżej, poczęli się go palcami dotykać i dopytywać:

— Możesz ty się rozpiąć?..

— Czemu nie!.. i z wielką forsą rozpiął surducik.

— A zapiąć?..

Jaś zapinał, aż go palce bolały.

Jeden z chłopców chciał mu dopomódz i urwał guzik.

Dziewczynki krzyknęły, strwożone tym wypadkiem.

— To nic.. odezwał się Jaś, i dodał z dumą:

— W moim zielonym kuferku są igły i nici, to go przyszyję...

— A masz ty kieszenie?..— zapytano go po chwili.

— Owa!... aż cztery... odparł Jaś, i jakby dla przekonania, wkładał ręce kolejno we wszystkie kieszonki.

— A głębokie?..

— Głębokie...

— Po kolana?..— zagabnął jeden.

I jakby dla sprawdzenia, poczęli chłopcy zanurzać w kieszenie Jasia ręce swoje, niekiedy po jednej tylko, a niekiedy po dwie i po trzy razem.

Trudno zgadnąć, jak długo kieszonki wytrzymałyby takie próby, gdyby nie zagrzmiał z ganku głos Chorążego:

— Jasiu!..

Jaś wydarł się towarzyszom i pośpieszył na ganek. Tam stał Chorąży zupełnie gotów do podróży. Obok niego była panna Ewa. Z drugiej strony— pan Jastrzębski, Hryhor, pan Bublewicz i wójt, Iwan Kociuba, siwowłasy i siwobrody, ale czerstwy jeszcze i silny starzec, na czele kilku co najpoważniejszych gospodarzy. W głębi, z za drzwi prowadzących na ganek, wyglądała służba kobieca— pokojowe i piekarniane dziewczki, praczki, do-jarki i kawiarki. A u stóp ganku gęstą ciżbą ścisnęła się gromada.

— No, Jasiu— rzekł Chorąży— pożegnaj się...

Chłopak stanął zakłopotany, czując chwilę uroczystą, a nie wiedząc, jak się znaleźć.

Z kłopotu wyprowadził go Kociuba.

— Oto tobie, paniezu, w świat, na drogę...— rzekł, podając mu bochenek chleba i grudkę soli— Oto tobie chleb i sól od gromady...

— Wypiastowaliśmy cię na rękach, wyhołubili przy sercach... Idź w świat i pamiętaj, że masz dla dzieci naszych być tem czém Jegomość jest dla nas... Masz mieć za nich rozum... Masz wiedzieć o tém, o czém one biedne wiedzieć nie mogą, i o czém powinieneś powiedzieć im tak szczerze, jak one szczerze ciebie kochają... A

jeżeli przed niemi nie pod sercem nie utaisz, jeżeli nie będziesz patrzył na nie, jak na te czarne woły, to one z tobą będą jak jedna dusza w posetnym ciele, to i tobie z niemi i im z tobą będzie dobrze, i Pan Bóg będzie was błogosławił...

Jaś wziął chleb i sól, i stał spokojnie i skruszony.

— A nie zapomnij tego, czegoś się w Hrynenkach nauczyłeś...— odezwał się pan Jastrzębski.

— A nie daj się przerobić na mańkuta...— dodał Hryhor.

— A szanuj i słuchaj starszych...— wtrącił pan Tublewicz.

— A ucz się...— odezwało się chórem kilkanaście głosów.

Gromada cisnęła się do ganku, parła się, jakby parciem fizycznym chciała dowieść moralnej solidarności w tym, co w jej imieniu stary Kociuba do młodego mówił dziedzica.

Jegomości zwilgotniały powieki. Na sędziwą twarz jego wybiło się mocne wzruszenie. Chciał coś mówić— nie mógł. Był bowiem w tym stanie, że wymówienie jednego wyrazu sprawiłoby na jego oczach to, co uderzenie Mojżeszowej laski na kamienie. Milczeniem więc hamował łzy i poskramiał wzruszenie.

Nie to było z panną Ewą. Jej milczenie nie pomogło. Widok gromady, ze starcami na czele i z dziatwą w głębi, otaczającej brata jej i synowca paręstręcznym ramieniem miłości, przeppełnił pierś jej rozrzewnieniem i wytoczył na policzki strumienie łez. Ścisnęła Jasia, coś do niego mówiła, błogosławiła go, Bogu polecała— i nieprędzej wypuściła go z objęć swoich, aż Jegomość zawołał na Daniła:

— Zajeżdżaj!..

Tłum rozstał się. Przed ganek podjechała bryczka, zaprzężona czterema końmi w poręcz. Gospodarze podszadzili Jegomościa na stopnie. Z całego podwórza, gwarnym pomrukiem, odzywały się głosy pożegnania i błogosławieństwa wtórujące jakoby wyrazowi »ucz się!«, który im prym trzymał.

Jegomość powiedział głośno:

— Ruszaj!...— i przeżegnał drogę.

Panna Ewa wyciągnęła ręce i krzyknęła:

— Bądźcie zdrowi!.. W kobiałce pieczyście i pierożki!..

Daniło zawołał:

— Wio!.. ha-ho!..

I bryczka potoczyła się powoli, noga za nogą, ku bramie, wśród rozstępujących się, kłaniających, coś mówiących i coś rękami pokazujących tłumów. Naprężone lejce świadczyły, że Daniło całą siłą hamował ręczność koni, zrywających się do biegu,

Za bramą powtórnie, ale silniej, ozwało się »wio! ha-ho!.. Lejce zwolniały. Konie raźnie poskoczyły. I bryczka raptem sunęła naprzód, posuwistym porwana kłusem.



V.

Przetoczenie się bryczki przez próg bramy domowego podwórza było dla Jasia wstąpieniem w inne życie, postawieniem pierwszego kroku w innym świecie. Rzeczywistość, w której żył dotychczas, miała za chwilę zamienić się we wspomnienie. Więc już inną przedstawiała się mu dziś, niż była wczora. Widoki Hrynenek, rozwijające się w łagodnym oświeceniu porannego słońca, wyglądały jakoś niepowседневne. Wyglądały one, jak zwykle w piękny letni poranek, tylko Jaś nie zwykłym, bo pożegnalnym patrzył na nie okiem. I dziwił się, że chałupy były czegoś insze— żywiej białały ścianami, mocniej przyzby się uwydatniały i jaśniej połyskiwały okienka; że sady wydawały się zieleńsze i jakoś takie, jakby ukrywały jakoweś tajemnice w gąszczach rozkonarzonych gałęzi; że staw błyszczał jak zwierciadłana szyba, a tak cicho, gładko i spokojnie, jak nigdy; że młyn huczał donośniej. Chałupa starego Kociuby, która z kilka

innemi, stanowiącemi oddalony nieco przysiółek, leżała za stawem, ocieniona rosochatemi jabłoniemi i gruszkami, miała pozór ślicznego wiejskiego pejzażyka. Nigdy jej Jaś taką nie widział. Dziwił się, i w dziecięcej jego piersi coś rośło, rośło, jakby serce rozdymało się, coś mu w gardle na poprzek stawało, jak oś nieprzełkniona.

Koło bryczki galopowali rówieśnicy Jasia. Nie chcieli oni rozstać się z nim od razu, nie mogli poprzestać na oficjalnym pożegnaniu. Z wlepionemi w niego oczami szli w przegony z kłusującemi końmi, i posyłając Jasiowi uśmiechy i skinienia rąk, przeprowadzali bryczkę. Jedni ustawiali i zostawali z tyłu, drudzy padali na drodze, inni jeszcze biegli. Pomiedzy tymi ostatnimi była siedmio-letnia dziewczynka. Podkasała ona wyżej kolan podtoczkę i zecerwieniona, zadyszana, pomykała przodem, szczerząc do Jasia szeregi perłowych ząbków, ile razy wzrok jej spotkał się z jego wzrokiem. Jasiowi przyszło na myśl:

— Gdybym też jej nogę podstawił... otóżtoby się wyróciła!..

Lecz widok chat, sadów, stawu stłumił w nim pustą myśl zbytku i znów pierś jego napełniła się rozrzwieniem.

Przez groblę jechał Daniło stępem. Za groblą znów ruszył. W kołowrocie ściągnął konie, lecz nie zatrzymał się, bo zastał go już otwartym. Otworzyła go dziewczynka, która biegła obok bryczki. Korzystając ze stępa na grobli, prześcignęła ona konie i sama jedna dobiegła do kołowrotu,— otworzyła wrota, wlaźła na nie i trzymając się poprzeczniicy, wychyliła się naprzód, a spoglądając ku Jasiowi, z rozlanym na czarnych oczkach

i na całej czerwonej twarzyzce uśmiechem, zdawało się, jakby mówiła:

— A widzisz!.. ja jedna z całej wsi pożegnałem cię ostatnia...

Jaś za uśmiech odplacił jej uśmiechem i zaraz potem z oczu jego trysnęły łzy. Aż do tej chwili nie zapłakał on, ani podczas przemowy Kociuby, ani w objęciach ciotki, ani w przejeździe przez całe Hrynenki. Za hryneńskim dopiero kołowrotem, jakby zerwała się jakaś struna w jego sercu i zadźwiękła żalem.

Jegomość nic w tej chwili do syna nie mówił, a i przez całą drogę mało się do niego odzywał. Szeptał tylko niekiedy coś sam do siebie— może pacierz— i powoli a uważnie wodził okiem po łąkach, wśród których prowadziła droga, i kiedy niekiedy głośno się odezwał:

— Jaka tu gęsta pszenica!..— albo:

— Co za mizerny owies!.. ani nasienie się nie wróci...— albo:

— Otóż to żyto!.. kłoski jak komarowe noski...— albo:

— Jakże tu kiepsko żęli!.. Podzielili zboże: połowę zabrali a połowę zostawili na ścierni.. Ej-ha!.. z takim gospodarstwem!.. Boga się nie boją i ludzi nie wstydzą...

Odzywał się on— ot tak— na wiatr— ni do kogo— głośno myślał, bo nie do Jasia, który był za małym na zrozumienie rolniczych spostrzeżeń, ani do Semenka, obok Daniły na kozle siedzącego, którego, jak natychmiast za hryneńskim kołowrotem napadła drzemota, tak nie opuszczała go przez całą podróż. Jeden tylko Daniło był w stanie usłyszeć i zrozumieć co Jegomość mówił. On też i odpowiadał czasami:

— Ehe... *sprawi* (doprawdy)!..

— Taki-bo ono tak...

I zaraz potem wołał zwykle— albo silnie:

— Wio-hi!..

albo powoli i poważnie:

— Ha-ho!.. ha-ho!..

albo też siepnął którego konia lejcem, lub trącił koniuzkiem batoga.

A gdy przyszło się wjeżdżać pod górę— kiedy konie idąc stępem, postronki jak struny u skrzypców naciągnęły, że pociągnąwszy po nich smyczkiem możnaby, zdaje się, zagrać— wówczas Daniło robił przypomnienia podróżne, jak naprzykład:

— A uważał Jegomość na Ostankowieckiem polu to proso... jak się ono udało!..

— Ot w Nyszkowcach... grobli taki nie naprawią po ludzku... Gnojem ją latają i wierzbami obsadzają, a ani gnoj się trzyma, ani wierzby rosną... Tfu!.. z taką robotą!.. Jakoś zdaje się, że tym panom tamtejszym *ne-tałań*... 1). Trzebaby ich do Hrynenek zabrać, taj nauczyć, jak grobla się sypie...

Jegomość odpowiadał na to monosylabami.

I tak jechali, przez wieś i miasteczka, mimo karczem i karczemek, pomiędzy pola i łąny, przez lasy, mostki i groble, z gór na doły, z dołów na góry, przeprawili się promem przez Bob, dwa razy stawali dla wytehnienia koniom, raz zatrzymali się na popas, i nad wieczorem— ukazał się im z góry Niemirów, oblany promieniami zachodzącego słońca.

— Otóż i Niemirów!..— rzekł Chorąży do syna.

1) *Ne tałań*— można przetłómaczyć: nie wiedzie się.

Jaś wlepił oczy w widok, jaki roztoczył się przed nim. Serce zabiło mu przyspieszonym tętnem.

Przez całą drogę wyglądał on Niemirowa i widział go w każdej nieledwie wsi, i często pytał ojca:

— Czy to już Niemirów?..

Choraży ciągle mu odpowiadał:

— Jeszcze nie...

Aż się sprzykrzyło chłopakowi, który po raz pierwszy w życiu musiał siedzieć na jednem miejscu przez kilka z rzędu godzin. On wolałby był biedz przy bryczce. I byłby się strasznie znudził, gdyby nie bawiła go nowość widoków i gdyby nie przychodziły mu rozmaite postrzeżenia do głowiny. W Hrynenkach np. przekonany był, że znajduje się w środkowym punkcie horyzontu, i zdawało się mu, że wyjechawszy z Hrynenek, zbliży się do jednej skrajnej strony obwodu onego, a od drugiej oddali. Oglądał się, i żadnej nie widząc różnicy, pytał ojca. Ojciec przypomniał mu globus, horyzont prawdziwy i horyzont widomy. Chłopak zamyślił się.

Uderzyło mu więc serce żywo, gdy bryczka, wybiegłszy z pręciastego lasku i skierowawszy się ku bractawskiemu pocztowemu traktowi, potoczyła się po drodze, z której już doprawdy widać było przez cały dzień wyglądany Niemirów. Widok ten, pomimo, że nie ma w nim nic nadzwyczajnego, uderzył go i wydał się mu niezwykłym i majestatycznym. Miasteczko, zaledwie na bardzo dokładnych naznaczone mappach, stanęło w jego oczach jak miasto, wielkie miasto. Dwie wieże jedyne katolickiego kościoła, zewnątrzni zarysami swemi przypominającego *Notre-Dame* paryską, wydały się mu dziwnie pięknymi, kolosalnymi i poważnie nad całym miastem panującymi. Kopuła cerkwi ruskiej połyskiwała ni-

by srebrna a wypolerowana. Domy tu dachami układały się w łuskę, ówdzie rzadły, wyciągnięte szeregami, tam rozrzucaly się bezładnie, tonąc w otoczeniu zlełoności. Jedne szarzały gontami, inne czerwieniały czerepianą dachówką, inne zieleniały pomalowaną blachą. Z pod gontów, dachówki i blachy wyglądały, jedne białe jak śnieg, drugie żółte jak pomarańcza lub cytryna, ściany, na których połyskiwały okna i okienka, i rysowały się rozmaite ich kształty, symetryzujące do drzwi, balkonów, ganków, ganeczków, wystaw i wystawek, jakimi małomiejscy mieszkańcy ozdabiać zwykli fronty domów swoich. Jeszcze podówczas nie było ani nowego gimnazjum, ani zabudowań Kwater ogólnych 1), ani porządných pomieszkań nauczycielskich, ani pałacu Pana Bolesława Potockiego, właściciela Niemirowszczyzny, ani domów na placu, na którym pałac stoi. Połowy prawie Niemirowa, a połowy porządniejszej i wystawniejszej, brakowało jeszcze. To jednakże bynajmniej nie przeszkodziło Jasiowi zachwycić się wielkiem, wedle widzenia jego, miastem. Zapatrzył się i milczał, pogrążony w kontemplacyjnym zachwycie. Miasteczko świeciło mu nakształt czarowanego zamku, nakształt obrazka z bajki wyjętego i w postaci domów ogrodów i kościelnych wież i kopuł, w taki mniej więcej sposób postawionego, w jaki na obracającym się w koło postumencie stawiają się ludzie do żywych obrazów. To co na obrazku było wymalowanem to samo tu stało i krążyło, pokazując się ze wszystkich stron.

1) „*Obszczyje kwartiry*” zaprowadzone w 1840 r. W nich uczniowie mieszkali wspólnie.

A gdyby go się było zapytać:

— Jakie, zdaje się tobie, jabłka rosną w niemirowskich ogrodach?..

kto wie czyby nie odpowiedział:

— Złote...

Gdy bryczka wbiegła na trakt pocztowy, to trakt ten wydał się mu ogrodzoną aleją, prowadzącą do pełnego tajemnie miejsca. Nieme jednakże zachwycenie wprędce przeminęło, a miejsce onego zajęła ciekawość. Począł zadawać Chorążemu pytania, zaczynające się od:— a co to?.. a na co to?.. a takie częstokroć ambarasowne, że Chorąży nie raz zmuszonym był odpowiadać:

— Nie wiem...

I na taką odpowiedź otrzymywał zapytanie:

— A dla czego tатko nie wie?..

Wszystko interesowało Jasia— każdy, tak największy, jak najmniejszy przedmiot, drzewa, któremi wysadzone są chodniki pocztowego traktu, wiorstowe słupy, drogoskazy, figura na wzgórzu, żółty domek obok drogi pocztowej, staw, grobla, młyn, rogatka. Pytał się kto malował słupy?.. kto sadził drzewa?.. Pytał się dla czego domek nie jest biały ale żółty?.. Pytał się czy w stawie są ryby i czy takie same jak w Hrynenkach?.. Pytał się czy młyn tak samo miele jak w Hrynenkach?.. Pytał się dla czego w Hrynenkach nie ma rogatki?.. A z odpowiedzi na zapytania wywiązywały się inne, a z tych innych jeszcze inne, i tak bez końca. Pytał się kto mieszka w tym domu, kto w tym, a kto w owym?..

Na grobli wszystkie cztery konie, czując instynktowo złób i obrok, poczęły mocno prychać.

— Będą nam w Niemirowie radzi...— rzekł Danił— konie prychają... Dobry to dla naszego Jasia znak...

Jaś na to natychmiast wyjechał z pytaniem:

— Kto nam będzie rad?..

— Żyd...— odparł Chorąży.

— Żyd!..— zawołał zdziwiony Jaś, jakby nie spodziewając się, aby w takim czarownym miejscu, jakim wydał się mu Niemirów, mogli znajdować się Żyzi.

— Jaki Żyd?..— zapytał.

— Właściciel domostwa, w którym się zatrzymamy na noc...

Rogatka wytronciła mu z uwagi żydów; roгатkę— pierwszy dom miejski, dom— kościół. Domy i kościół tém silniej działały na jego imaginacyę, że rysowały się już na szarżawem tle pomroku wieczornego. Za kościołem, we dwa frontem do siebie zwrócone szeregi pociągnęły się austerye zajezdne. Na nie skoczyła ostatecznie uwaga Jasia, i już wisiało mu na ustach jakieś pytanie, gdy w tém bryczka skręciła raptem w prawo, i zatrzymała się. Daniło zapytał głośno:

— Jest miejsce?..

Odpowiedziano mu:

— Jest...

A wraz z tą odpowiedzią bryczka została obskoczona, i powstały krzyki:

— Do mnie!... do mnie!... jaśnie wielmożny panie!.. podjedźcie trochę dalej... trzeci dom!.. piąty dom!.. drugi dom!.. ot tu zaraz, niedaleczko!.. świeże siano!.. tani obrok!.. wygodna stancya!.. jaśnie wielmożny!..

Stawali żydki na stopniach od bryczki, jedni drugich ściągali, i zapraszali a namawiali, wychwalając każdy swoje domostwo. Kilkanaście głosów na raz krzyczało.

Nie zważając na te zaprosiny, Semenek zeskoczył z kozła i zreknoskował domostwo, ku któremu nawrócił Daniło. Rekonesans ten wypaść snadź musiał dobrze, bo w krótcie ukazał się w bramie wjazdowej i zawołał:

— Zajeżdżaj!..

Konie ruszyły, sparły się i bryczka z hurkotem wjechała na podsień. W tłumach, które ją otaczały, dały się słyszeć wołania:

— *Richende a tate!*.. Bodajes kark złamał!.. Nad wami się to domostwo zawali!.. To starzyzna!.., tam nikt nie zajeżdża!..

Mamże opisywać dom zajezdny żydowski? — Ciekawym jest opis tego, co było, ale nie tego co jest, z czem, jak długa i szeroka ziemia polska, spotkać się jeszcze można w każdym miasteczku, w każdej prawie wsi, po wszystkich niemal traktach i drogach. Jak długo domy te — zwane po wsiach i drogach karczmami lub austeryami, po miasteczkach domostwami — wytrzymają pod parciem cywilizacyi, niosącej podróżnym komfort a zatem zagrażającą im ruiną?.. to inne pytanie, wymagające w odpowiedzi szczegółowego opisu domostwa.

— Dla czego?.. — gotowicie mnie zapytać łaskawi czytelnicy.

— Przez wzgląd na potomków naszych.

Potomne pokolenia, gdy im wymagalność komfortu zaprowadzi *hotele* z numerami, meblami, zwierciadłami, pościelą, stoliczkami, dzwonkami i garsonami, najmniejszego nie będą miały wyobrażenia, w jakich hotelach pra-ojce ich nocowywali i stawali na popas. Może mi kto powie, że obejdą się one bez tych wiadomości. To prawda. Ale prawdą będzie to może kiedyś, w przyszłości, nie dziś, kiedy nas tak mocno, mocniej od naj-

ważniejszych i najważniejszych obchodzi rzeczy: jakim np. wędzidłem przodkowie nasi kielznali konie, jakimi serwetami obcierali sobie przy obiedzie usta, kiedy jesteśmy w stanie do najwyższego roztkliwić się stopnia nad... rękawiczkami Królowej Jadwigi. Staliśmy się tkliwymi, bardzo tkliwymi, na pamiątki i wspomnienia. Bardzo to chwalebnie. To dowodzi, żeśmy grzeczni, jak dzieci, które po lekyi zamiast swawolić zabawiają się opowiadaniem sobie bajeczek, od mamek i nianiek słyszanych, lub zadawaniem i rozwiązywaniem szarad i zagadek, których je stare, stołowe panny nauczyły. A nuż — bo któż to przewidzieć i odgadnąć może — a nuż praprawnicy nasi będą jeszcze tkliwsi niż my!.. W takim razie opis domostwa stanie się dla nich dobrodziejstwem. W takim razie, z góry wyobrażam sobie całą przyjemność, całą rozkosz, jaką im sprawię... opisem żydowskiego domostwa. Wyobrażam sobie np., jak jeden z nich, zatopiony we wspomnieniach zamierzchłej przeszłości, bierze od niechcenia starą książkę, która mu się pod rękę nawinęła, z pogardą na tytułowej kartce czyta: «powieść», podpisaną jak anachronizm pod wyrazem: «bistorya», otwiera ją przez szacunek dla sędziwości, natrafia — przypadkowym oczewiście sposobem — na tę oto stronicę, czyta myślą, twarz jego rozjaśnia się, oko wilgotnieje, czyta... i zrywa się... i woła:

— Znalazłem!.. Odkrycie!..

Książka drży mu w ręku. Nie zamyka jej. Zrywa się. Wielkimi krokami chodzi wzdłuż i w szerz po najnowszym, najtańszym i najlepszym sposobem froterowanej posadzee. Staje. Wznosi oczy i ręce do góry, do najnowszym, najtańszym i najlepszym sposobem malowanego sufitu — i znów woła:

— O, święta starożytności!..

I nie chcąc samolubnie, dla siebie samego zachować ważnego tego odkrycia, spieszy do miasta (jeżeli nb. w mieście nie mieszka), sprasza i zgromadza uczonych i budowniczych. Odbywają posiedzenia i narady. Rozprawiają. Medytują. Sprzeczą się i godzą. Kreślą wedle opisu plany i lepią modele. I po pewnym przeciągu czasu, na poczystym miejscu występuje nowy model starożydowskiego domostwa, z podpisami: wynalazcy, który je odgrzebał, uczonych i architektów, którzy do ujęcia rękę przyłożyli. A dzienniki i pisma publiczne na wyścigi cześć oddają zasłużonym mężom, poświęcającym szlachetnie czas swój, mienie i talenta... *pro bono publico*. W rozprawach podnoszących odkrycie przodkuje imie wynalazcy a obok niego, albo raczej przez niego, występuje i moje, otrzepane z kurzu zapomnienia...

Proszę! do czego to biedna powieść czasem posłużyć może...

Ale — zabiera mi się na złośliwość... Zrobię prawnikom naszym figla. Zabiję im, a szczególnie prawnuczym architektom, klina w łeb. Nie dam dokładnych wymiarów długości, szerokości i wysokości żydowskiego domostwa, i sprawię tę satysfakcyę duchowi memu, który będzie zapewne oglądał owoce swego ojcostwa, że uśmieje się serdecznie, gdy ujrzy model zrobiony na wywrót. A nie znajdą oni tych wymiarów nigdzie, bo chociażby kto i dopełnił mnie w tym względzie, to—wiadomo przecie—nie łatwem jest odszukanie tego, czego się umyślnie szuka. — Egzystuje już wprawdzie o karczmach jedno bardzo znakomite źródło. Pisał o nich Mickiewicz. Pisał—ale wymiarów nie dał, a tylko dał wyobrażenie przez porównania, o których trzeba mieć *wyobrażenie*, żeby *wyobrazic* sobie

wymiary karczmy. Przyrównywał ją: z przodu do korabiu, na którym uratował się Noe, z tyłu—do świątyni, do dziwnej świątyni, przypominającej z pozoru gmach Salomona, naśladowany dotąd przez Żydów w budowaniu szkół, i widny w karczmach i stodołach. To nie jest bardzo jasnym. Dla potomków naszych—przypuszczając, co jest zresztą przypuszczalnym, że Żydzi szkół swoich nie spalą na ołtarzu cywilizacji—jedne chyba tylko szkoły żydowskie pozostaną na miarę porównania, a zatem, będą oni mogli powziąć niejaki wyobrażenie o samym tylko tyle karczem. Prząd korab' pozostanie zagadką, jasną jedynie pod jednym względem: pod względem użytku, zależącego na zabezpieczeniu od potopu po parę zwierząt wszelkiego rodzaju. Dokładniej wieszcz nasz opisał dach i krużganek, kolumny i ozdoby zewnętrzne, przyrównywując karczmę widną z daleka

—«..... do żyda gdy się modląc kiwa;

Dach, jak czapka, jak broda strzechą roztrzęsiona,

Ściany dymne i brudne, jak czarna opona,

A z przodu rzeźba sterczy, jak cyces na czole.» Mniej dokładnie wspomniał o wewnętrznym podziale. Ale za to najwyraźniej, nie wiem wedle jakiego podania czy źródła historycznego, wymienił pochodzenie wzoru:

— «Który — jak twierdzi — był wymyślony od Ty-
(ryjskich cieśli,

A potem go Żydowie po świecie roznieśli;

Rodzaj architektury, obcym budowniczym

Wcale nie znany; my go od Żydów dziedziczym.»

Dopełniając powyższy opis, zrobiony wedle Mickiewicza, dam przepis nakreślenia planu domostwa poziomym rzutem na papierze, a z papieru i na gruncie. Weźmy podłużny czworobok, którego jedną z krótszych ścian uważamy jako

front, drugą jako tył. Dłuższe ściany podzielmy na dwie równe połowy, i punkta podziału złączmy linią prostą (małe skrzywienie nie jej nie szkodzi), równoległą (nie bardzo) do krótszych ścian. Tę linię podzielmy na trzy mniej więcej równe części, i z punktów podziału wyprowadźmy prostopadłe do frontowej ściany.

Gdy uskuteczymy wszystkie te podziały, czworobok nasz rozpadnie się na cztery czworoboki, z których trzy przypadną na frontową, a jeden na tylną połowę. Ten ostatni jest stajnią, z trzech pierwszych, średni — podsienią, a dwa poboczne — gościnnymi pokojami i pomieszkaniem gospodarstwa.

Nad stajnią nie ma zwykle sufitu; nad podsienią bywa niekiedy, a to w takim tylko razie, jeżeli na poddaszu znajduje się izba, z wystawą od frontu, z oknami bez szyb a często i bez ram, przykryta dachem na zawiasach, stanowiącym część ogólnęj dachu całości, ale mogącym się dowolnie odmykać i zamykać, przez podważenie go drągami do góry. Izba ta służy na odprawianie świąt *kuczki*. Przypominać ona powinna szałas, pod któremi plemię Izraelskie, po wyjściu z niewoli egipskiej, przemieszkiwało przez lat czterdzieści. I dla tego, podczas kuczek, dla dokładniejszego przypomnienia szałasu, przez który deszcze przenikać powinny, wyjmują się nad nią z dachu po kilka gont lub po parę dranic. Ale jeżeli się trafi w czasie świąt posucha, to w takim razie bierze się harbuz, wyjada się ośrodek, pusta skorupa nakala się grubą igłą lub cienkim ćwiekiem, napełnia się ją wodą i stawia na dachu. Żarliwość w pełnieniu obrządków religijnych oblicza się ilością harbuzowych skorup. Woda, sącząc się przez pokłócia, kapie na Żydów i reprezentuje deszcze arabskiej pustyni.

Z powodu tych to deszczów, izba na kuczki buduje się nad podziemią. Robi się to w celu nie narażenia na zmoknięcie podróżnych w gościnnych pokojach. Niezrządkiem jednakże zdarza się, że ostrożność ta, albo raczej troskliwość, bywa zbyt dużą: często bowiem całe domostwo przydać by się mogło na kuczki — tak dachy bywają dziurawe — i chrześcijańscy podróżni zmuszeni są, podczas każdej słoty, moknąć jak Żydzi w arabskiej pustyni. O koniach nie mówię: te wtenczas tylko kuczek nie odprawiają, kiedy deszcz nie pada.

Do izb gościnnych, do każdej z osobna, wchodzi się z podsieni, jak z korytarza do cel klasztornych. Nie kończy się jednakże na tém jednem wejściu. Każda izba ma po troje drzwi, a to dla tego, że wszystkie połączone są ze sobą wewnętrzną komunikacją, urządzoną na przypadek zajechania wielkiego państwa, dla którego potrzeba i dwóch i trzech, niekiedy i więcej pokojów. Właściwościami drzwi tych wewnętrznych są te: że się zwykle źle zamykają, i że z powodu dziurek od kluczków i szpar w deskach, służą jako doskonałe przewodniki wzroków i słuchów podróżujących pańienek.

Co się tyczy izb, powiedzieć jeszcze należy, że najparadniejszemi ze wszystkich i największemi są dwie frontowe, posiadające oprócz wychodu na podsień i do sąsiedniej izby, jeszcze i bezpośrednią komunikację z ulicą. Te ostatnie najwykwintniej są umeblowane w politurowane kanapy, krzesła, komody i podwójne łóżka. Zdobie je, na pierwszym planie, podłużne, podobne nieco kształtem do gotyckiego okna zwierciadło, odbijające postać człowieka w kurczowych połamaniach i pokrzywieniach. Proste i ukośne przedłużenia i rozszerzenia twarzy, inaczej na każdym punkcie zwierciadła każdemu

dwójga ócz przedstawiają się, i nadto, powtarzają się jeszcze i na ramach, ułożonych misternie z zwierciadlanych trójkątów, symetrycznie. Jedne z drugimi pod pewnymi nachyleniami spojonych. Zwierciadłu towarzyszą obrazy, wyobrażające lwa złoczonego w rozmaitych postawach — niekiedy z mieczem w łapie, a zawsze prawie z ogonem do góry i z kulą na końcu ogona. Na odzwierkach, przybite ukośnie, w kształcie podługowatych kwadracików, dziesięcioro Bożego przykazania, przypominają, Żydom, że plemię ich wydało najpierwszego, największego prawodawcę. Pośrodku wisi pajak brązowy. Na oknach nie stawiają się wazony z kwiatami, dla zapachów. Za to zapachy dostają do nich z za okien, z pod ścian, lub z rowków, oddzielających jedno domostwo od drugiego. Sprawiają one gościom dziwne w nosach kręcenie.

O podsieni i stajni nie wiele da się napisać. Do podsieni prowadzi duża brama, w samym środku frontowej ściany umieszczona, a tak wysoka i szeroka, żeby przez nią cztery konie w poręcz i pojazd z budą przejść mogły. W niej znajduje się furka, dla przejścia ludziom pieszym, wchodzącym lub wychodzącym po zamknięciu domostwa. Wjazdowej bramie odpowiada druga, wyjazdowa, umieszczona po samym środku tylnej ściany, i symetryzująca z pierwszą w ten sposób, że co jedna wpuści, to druga wypuści. Tyczy się to pojazdów i koni, z których, dla pierwszych miejscem jest przedłużenie podsieni, aż do tylnej bramy, dla drugich — przedłużenie gościnnych pokojów.

Goście tedy i konie w jednym mieszczą się szeregu, powozy po środku, a nad tem wszystkiem — t. j. nad stajnią, wozownią i izbami gościnnymi, czyli nad końmi, ludź-

mi i wozami—wznosi się jeden, duży, spólny dach. Pod tym dachem mieści się jeszcze: skład na siano, magazynu na obrok i drewnutnia—pierwszy zwykle nad końmi, drugi nad gośćmi, a trzecia w kącie, obok bramy wyjazdowej.

W zastosowaniu to do stajni, Mickiewicz karczmę do korabla przyrównywa, powiadając:

— «Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły, Kozy brodate; w górze zaś ptactwa gromady, I płazów choć po parze, są też i owady.»

Nazywa on to przodem. Pozwolę sobie sprostować wielkiego wieszca, pod tym względem, że to co on nazywa przodem, jest tyłem i na odwrót; i pod tym jeszcze, że mówiąc o karabiu, powinien był odróżnić rodzaj wiejski od miejskiego. Opis jego stosuje się do wiejskiego, a bardziej do traktowego, będącego podrodzajem, a z powodu odosobnienia swego, bardziej od innych zbliżającego się przeznaczeniem (proszę dobrze uważać: nie formą ale przeznaczeniem) do arki Noego. Po miastach Żydzi mniej «różnych zwierząt» trzymają w korabiah swoich. Nie trzymają kur ani kaczek, pomimo że dla tych ostatnich, niekiedy w samej stajni, a zawsze przed bramą wyjazdową, mają przygotowane kałuże. Nie trzymają gołębi, których nawet po wsiach i traktach nie lubią; nie trzymają koni, które im w mieście na nieby się nie przydały, wyjąwszy w razie, jeżeli gospodarz domostwa lub kto z jego rodziny trudni się bałagulstwem. Trzymaliby może woły, pod warunkiem, gdyby odgadnąć mogli, że są koszerne;— a że jest to niepodobieństwem, przeto wołu nie ujrzysz pod karczemnym dachem.

Cóż tam tedy ujrzyć da się?—A oto:

— Najprzód: wróble, używające gościnności na dachu i pobudzające uczonych Żydów do filozoficznych rozmyślań, jak owego np. sławnego husyta, który przez całe życie myślał i myślał nad rozwiązaniem zagadnienia: co by się stało z wróblami, w razie gdyby karczemny dach się spalił?..

— Następnie: gęsi, więzione w kojcach, które, gdy nikogo nie ma z przyjezdnych, wystawiają się we dnie na podsiń, a na noc wnoszą się zawsze do sypialnej izby gospodarstwa.

— Dalej: kozy i krowy, tak przyuczone, że pierwsze obrok i siano, a drugie tylko siano z przed koni podróżnych wykradają. Nadaremne jest wiązanie ich do słupów, umieją one rozwiązać się i — co najdziwniejsza — po zżarciu owsa i siana, napowrót się przywiązać.

— Dalej: świnię, krzywem okiem przez właścicieli domostwa widzianą, ale bynajmniej o to nie dbającą, jakim kto na nie patrzy okiem — krzywem czy prostem. Nie rzadko się zdarza, że w żłobie przed końmi, zamiast kozy żydowskiej zobaczysz świnię. Koza stoi z daleka, spogląda z ukosa i żałośnie pomekuje. Żydzi się mocno za to gniewają i posądzają goimów o wielką do złodziejstwa skłonność. (Taką to jest logika opinii: właściciel odpowiada za własność).

— Dalej: żaby, z gatunku tych, które się w gnojach kochają, i rudawe jaszczurki a niekiedy węże.

— Dalej: myszy, szczury i chuda kotka. Ta ostatnia często kocięta rodzi, a nigdy nie może doczekać się z nich pociechy. Zawsze one albo w kałużach się potopiają, albo je konie kopytami rezgniotą, albo żydzięta z zabawy poduszają. Ze strony psów kociętom żadne nie zagraża niebezpieczeństwo. Gdy zaś trafi się kiedy w do-

mostwie gość z psem, to musi go dobrze pilnować, jeżeli nie chce za żydowskie płacić łapserdaki, lub łożyć na kurację łydek.

— Dalej: pająki, po wszystkich kątach, buntach i przesmykach, szeroko z sieciami rozłożone.

— Nakoniec: komary, tuczne muchy, pluskwy, pchły i egipskie baranki, z których ostatnie szczególnym sposobem są rozkochane w czystości dzieci izraela.

Nie wyliczyłem jeszcze wszystkich «różnych zwierząt», mieszających lub nie mieszkających z Żydami. Nie wymieniłem np. jaskółek, ani owiec i osłów, ani bocianów i indyków. Dość jednakże i tych o których wspomniałem, na dowód prawdziwości Mickiewiczowskiego podania: iż karczmy dają przytułek czworonożnym, ptactwu, robactwu, płazom, owadom i amfibiom, nie zaś samym tylko ludziom.

Jeszcze parę słów o architekturze. Dodać należy, że domostwa dzielą się na dwa rodzaje, które można rozróżnić nazwą: pełnych i niepełnych. Pierwszemi są takie, jakie opisałem powyżej. Drugim brakuje całej jednej strony izb gościnnych i całego onych przedłużenia, i z tego powodu wjazdowa i wyjazdowa bramy znajdują się już nie pośrodku odpowiednich sobie ścian, ale z boku.

Tyle dla prawników o domostwach. Spółcześni mnie czytelnicy mogą nie czytać powyższego ustępu, i pominąć go całkowicie, aż do następującego wiersza.

Domostwo, do którego zajechał Chorąży, było typem w swoim rodzaju, a typem niepospolitym, bo w 1836 roku już starożytnym. Było ono niegdyś bardzo porządnem, o czem świadczyły grube mury i wielkie rozmiary. Ale mury jakoś—czy głębiej pod fundamentami gruntu szukając, czyli też zsiadając się pod ciśnieniem własnego cięż-

żaru—wgniotły się w ziemię, i wgnieceniem swoim naraziły się na pokrzywienie; zewnątrz dach, wewnątrz, podłoga. Dach powyginał się w różne strony i pozałamywał w taki sposób, że im bieglejszy budowniczy, tem mocniej byłby zakłopotanym, gdyby mu zadano do rozwiązania takie np. pytanie: dla czego dach ten nie wali się?.. Wyglądał on z daleka jak stara czapka na pijaku, co to spada zarazem i na tył, i na przód, i na bakier. Podłoga w izbach popękała, pokoszlawiła się, że chodząc po niej, trzeba było z wielką chodzić ostrożnością, aby nie zaczepić się i nie wywrócić.—A co o dachu i podłodze, to samo powiedziec należy tak o wszystkich częściach domu, jak o umeblowaniu. Na wszystkiem znać było dawniejszą wykwintosc, ale tak dawną, że ją zaledwie odgadnąć było można. Na meblach pozostały ślady politory, wyglądające jak nowsze (zawsze jednakże bardzo stare) łaty na znoszonem i zszarzanem odzieniu. Szyby w oknach przepuszczały wprawdzie światło słoneczne z zewnątrz, ale tak ich zamatował czas, że długo trzeba było szukać na nich jakiejś przezroczystej nieco skazy, przez którą można by przejrzeć na zewnątrz. Klamki i zawiasy u okien zżarła rdza. Trzymały się one w miejscach swoich samą siłą przyzwyczajenia, a tak mocno, że chcąc je otworzyć, należało użyć gwałtu; za pogwałcenie to jednakże tem się mściły, że albo rozpadły się na części—ramy osobno, szyby osobno—albo nie dawały się więcej zamknąć. To samo prawie powiedziec można o popaczonych drzwiach, o pokrzywionych progach i odzwierkach, o powyginanych sufitach, popękanych ścianach i piecach. Słowem, całe to domostwo, ze wszystkiemi meblami i sprzętami, zasługiwało, aby je postawić w jakim muzeum archeologicznem. A gdyby można było jakim cudownym

sposobem zakonserwować i gospodarzów — żyda i żydówkę — to i to by nie wadziło. Pomiedzy nimi bowiem a domostwem zachodziła doskonała harmonija starości.

Dla czego Chorąży nie zajechał do którego z nowszych pokażniejszych i porządniejszych domostw, jakich kilka pokazywało się w mieście? — Dla tego zapewne, że dawno nie był w Niemirowie, a w czasach kiedy tam bywał, dom zajezdny Szłomy Bera był najporządniejszym. A może też zajechał — po starej znajomości.

Wysiadłszy z bryczki udał się do izby, poprzedzony przez miszurysa, i od pierwszego słowa zapytał go:

— A Szłoma Ber?..

— Jest, wielmożny panie... — odparł miszurys nie dbale.

— A Ruchla?..

— I Ruchla... jest...

— Żyją?.. zdrowi?..

Miszurys chlipnął, jakby się zachłysnął, obejrzał uważnie Chorążego od stóp do głowy, spojrział od niechcenia i na Jasia i spytał:

— Ny, a świeczki... czy zaświecić?..

Ciemność w izbie prawie już zupełna wymogła na Chorążym odpowiedź:

— A jużci...

Wyraz ten wymówionym był tonem lekkiego zdziwienia, spowodowanego zapewne brakiem pospiechu, nienaturalnym u miszurysów, którzy zwykle przewyższają wszelkie wyobrażenie o nadskakiwaniu, gdy chodzi o okazanie takowego świeżo przybyłym gościom.

Po chwili miszurys przyniósł świecę cieniutką i kru-ciutką, z gatunku tych, które *smarkatkami* nazywają, osadzoną krzywo w dużym, ciężkim, mosiężnym licha-

rze, i poprawiając ją, postawił na stole. Chorąży, rozglądawszy się po izbie, pokiwał głową i rzekł sam do siebie:

— Wszystko, jak było...

i dodał:

— Tylko się ku starości strasznie pochyliło...

I zapytał:

— A Szloma Ber?..

— Ny... jest... albo co!..—odrzekł miszurys.

— Chciałbym się z nim widzieć...

— Czemu nie!.. to wielmożny pan będzie jegie widział...

— Powiedz mu, że przyjechał Jeż... Ksawery Jeż... Chorąży Jeż...

— Jeż... Jeż...—powiedział sobie pod nosem miszurys i wyszedł powoli.

Jaś rozglądał się w nowém dla siebie miejscu Chorąży był jakby zadumany—chciał przejść się po izbie, lecz utknąwszy na wypaczoną do góry deskę, stanął na przeciwko drzwi, niby oczekując na czyjeś przyjście. Semelek zaś tymczasem znosić począł tłómoki i sprzęty podróżne.

Po upłynięciu najmniej kwadransa, we drzwiach, ku którym zawróconym był Chorąży, ukazała się nie wielka zgarbiona postać Żyda, któremu biała i nieco aż zżółkła broda szeroko na piersi spływała. Włókł nogi powoli, i chociaż to w izbie, podpierał się laską. Przystąpił przez próg ostrożnie, postąpił kilka kroków, zatrzymał się przed Chorążym i zapytał mocno pokaleczonym polskim językiem:

— Wielmożny pan mnie potrzebuje?..

Czego wielmożny pan potrzebuje?..

— Szloma Ber?...—zawołał Chorąży, tonem w którym i zapytanie i zadziwienie zabrzmiało.

Żyd drgnął na brzmienie tego głosu, jakby elektryczna iskra nim z lekka wstrząsnęła. Lecz natychmiast uspokoił się i odrzekł:

Ny.. to taki ja sam...

— Ty, Szloma Ber?.. — powtórzył Chorąży zapytanie.

Żyd podniósł na niego oczy, spojrział mu w twarz i odparł:

— Ja... ny!.. ja sam... i cóż?..

— Nie poznajesz mnie?..

Żyd znów spojrział mu w twarz, pokiwał głową z giestem przeczącym i zakaszłał się.

— Chorąży Jeż!..

Na ten wyraz żyd raptem wyprostował się. Podniósł głowę do góry, postąpił ku Chorążemu i wpatrzył się w niego. Był to z jego strony wyraźny wysiłek, po którym natychmiast zgarbił się, jak poprzednio, ale twarz jego jaśniała radością, ale usta wymawiały raz po raz:

— Ach waj!.. a!.. ach waj!.. a!..

A ręka wyciągnęła się ku Chorążemu.

Chorąży podał mu prawicę i pociągnął go ku sobie.

Żydowi wypadła z rąk laska. Rozwarł ramiona, otoczył niemi Chorążego wpół ciała, ukrył głowę na jego piersiach i począł trząść się, nie przestając powtarzać:

— Ach waj!..

I dodając co chwila:

— A!..

I pomockując z lekka, jakby mu coś bardzo smacznego zjeść się udało, a trzymając się prawicy Chorążego, podszedł z nim do starej kanapy, na której obydwa usie-

dli. I patrzył się mu w oczy. A oczy jego, równie jak i Chorążego, były wilgotne.

— Czyż mogłem się spodziewać!..—rzekł po chwili.

— Postarzelismy się...—powiedział Chorąży.

— A!.. — podchwycił Żyd. — Tyle lat ubiegło!.. tyle wody upłynęło!..

— I tyle zmian zaszło!..—dodał Chorąży.

— Ach-waj-zmir!..—

I kiwał Szłoma głową i ujął się ręką za brodę.

— A *wun?*.. gdzie *wun?*.. cóż się z *nim* stało?..

— Umarł...—odparł Chorąży.

Aj!.. aj!.. aj!.. tacy ludzie umierają!.. Ny... proszę!.. —odezwał się Żyd. — A *wun* mi taki ciągle w oczach stoi, *bucim* (niby) żywy... A taki rychtyg, jak był wtedy... Aj-waj!.. A jak jemu nasze Żydki wierzyli, jak temu rabinowi!.. A jak jegie nasze bachurki kochali!.. Aj-waj!.. Jak to *wun* sobie wieczorem chodził po ulicy, i zachodził to tu, to tam, i rozpytywał, i rozmawiał, i z dziećmi się bawił... To my jegie mieli za Żyda... To nam się zdawało, że *wun* wid naszych... To, jak my się dowiedzieli, że jegie pokłuli i postrzelali, że *wun* pół-nieżywy, toż my pościli i modlili się za niego, i tak głośno w szkole i w domu majufes śpiewali, że aż Bóg, adynoj, usłyszał i nas wysłuchał, i jemu zdrowie powrócił!..

Tu Żyd się zatrzymał, odetchnął, pogładził brodę, oczy wzniosł do góry, westchnął i tak dalej mówił:

— A teraz wierzę, że *wun* umarł... bo słyszę o tém od pana...

— Pan jegie pamięta?..—zapytał po chwili milczenia, w której coś mruczał pod nosem, jakby cichą modlitwą.

— Pan pamięta, jakieście w kilku zachodzili czasem do

naszegie domostwa i zasiadali tu, ot, na tej samej kawa-
piech?.. jak nasi stawiali przed wami miód i wino, ot,
na tym samym stolech, na którym stoi świeczka?.. jak
wun nie pił, a gdy jegie bardzo prosili, to kraj ust
umaczał?..

Choraży milezał, znalazł się bowiem w takim samym
położeniu, jak z rana, tegoż samego dnia, podczas prze-
mowy wójta. Więc błdził oczami po izbie, którą nie
objaśniona smarkatka coraz słabiej oświecała, i słu-
chał Szlomy, który snadź od dawna już tak dużo nie mówił,
bo odpoczywał, ciężko, niby ze zmęczenia, oddychał, i
znowu prawił przeciągle pół śpiewanym głosem:

— O, ja jegie pamiętam!.. Ja jegie niekiedy widuję!..
Wun się mnie pokazuje!.. Jak nałożę cyces na czoło i o-
kryję się śmiertelną koszulą, jak się rozkiwam, i rozkrzy-
czę, i zamknę powieki, to wun staje przed powiekami
mojemi... I im ja mocniej krzyczę, tem on wyraźniej sta-
je... Ja krzyczę, a wun stoi... Wstrzymuje konia i uśmie-
cha się do mnie..... O!.. adynoi!..

Szloma kiwał się, zamknawszy oczy, i ostatni wyraz
nie wymówił, ale wyspiewał, jak w majufes.

Choraży wzruszony, ujął starca za rękę, wstrząsnął
nią silnie i zawołał:

— Szloma!..

Żyd drgnął, jakby się obudził, otworzył oczy, emok-
nął parę razy językiem, i uśmiechając się, rzekł do Cho-
rążego:

— Ny... Ja taki szczęśliwy, że pana widzę... Pański
przyjazd, to dla mnie święto, takie, jak pejsach... Na
dowód tegie, zaraz jutro ubiorę się w racimorowy kaf-
tan i w szabasową czapkę... A jak pan odjedzie, odpra-

wię bosyny... Byłbym już dawno odprawił, ale ja nie wierzył, aby wun umarł...

Rozglądnął się stary po izbie i dopiero wpadła mu w oko ciemno paląca się smarkatka. Więc zawołał namiszurysa po żydowsku:

— Mojszell.. ten puryc jest drogim dla mnie gościem... Niech mu w moim domu nie braknie na niczém... Przynies jasną świecę... Daj koniom świeżego siana i czystego obroku... Krowę przywiąż na prawdę za rogi do słupa... Kozy zamknij w pokoju... A jeżeli co będziesz rachował to rachuj tak, jakby ten puryc był żydem... *Horst-di?*...

A zwracając mowę do Chorążego, dodał po polsku:

— Do mnie mało kto zajężdza... Szłoma się postarzał i jego domostwo się postarzało... Już i usługi nie trzymam, jak należy... Ej! nie to-to, co było... Dawniej było lepiej...

— Byliśmy młodzi, Szłomo...—rzekł Chorąży.

— Nie panie... nie tylko to... Ale... a!... co tam już wspominać!... Naspominałem się dosyć, kiedyś mi pan nazwisko swoje powiedział... Wszystko, co było, a co minęło, stanęło mi w oczach, jak żywe...

I począł Żyd głową kiwać, i już mu się oczy zamykały, gdy, jakby zadając gwałt sobie odchrząknął, odkaszlnął, pogładził powoli brodę i rzekł:

— Gadajmy o tém, co jest... Cóż to za bachurka przywieźliście z sobą?... Wnuka?...

— Syna...—odparł Chorąży.

— Syna... a!.. syna... Niwroku jemu... Niech zdrów rośnie... Ja mam już takich prawnuków... Nu!.. Ależ pan młodszy odemnie... Pamiętam... E!.. Ale co tam wspominać.

Jaś, przez cały czas rozmowy Żyda z Chorążym, ze zdziwieniem spoglądał to na ojca to na Szłomę. Rozmowa ich była dla niego nie zrozumiałą, ale utwierdziła go w powziętym jeszcze na grobli przekonaniu o odmienniej jakości niemirowskich Żydów. Ubodło go nieco nazwanie «bachurek» lecz ponieważ nie obraziło ojca, to i on się nie obraził.

— If!.. jakże ucieszy się moja Ruchla!.. — zawołał raptem Szłoma, i począł, jak mógł najgłośniej, wołać:

— Ruchla!.. kim-hir!.. kim-że-no!.. a Ruchla!..

Na wołanie jego wtoczyła się powoli do izby stara i bardzo otyła Żydówka, ustrojona w *brystiech myt szpaniech* na piersiach, w *muszki*, wznoszące się jak dyadem nad skroniami, i w *szatychen*, charakterystyczną wstążkę na głowie, która z kształtu, w jaki jest złożoną, przypomina grzebień koguci. Twarz jej przyjemną była na wejrzenie; oko ładne i łagodne. Snadź za młodu bardzo była przystojną. Weszła i poważnie posunęła do kanapy.

— Czy pozna?..—szepnął Szłoma, i głośno odezwał się do żony:

— Poznaj tegie wielmożnego pana...

Żydówka popatrzyła przez chwilę i krzyknęła:

— Pan Ksawery!.. Nu!.. Jak nie poznać!..

Piers jej poczęła szybko wznosić się i opadać. Usta i oczy śmiały się uśmiechem radości. Zbliżyła się. Usiadła z drugiej strony Chorążego i wzięła go za rękę.

— Tak więc Jegomość, szlachcie w kontuszu, znalazł się po środku, pomiędzy Żydem w łapserdaku a Żydówką w muszkach i w imitacyi koguciego grzebienia. Za jedną rękę trzymał go Szłoma, za drugą Ruchla. Ta ostatnia, jak jej mąż, wpadła od razu na tór wspomnień.

Nie pytała się o nic, tylko opowiadała i niedawała Chorążemu mówić. Opowiadania szły jej ciężko, może dla tego, że była tłustą, a może z powodu łez, które jej często za powieki napływały.

Szloma wpadł w jakiś rodzaj zadumy. Kiedyniekiedy potrząsał brodą i ruszał ustami. Aż raptem przerwał Ruchli:

— Pan Chorąży zdrożony!.. Potrzebuje spoczyku... Chce jeść...

— *Hörstel!*.. — wykrzyknęła Ruchla—Prawda!.. A ja o tem na wieki zapomniała!.. Mam rybkiech, co się została z szabasu... doskonała... nadziewana... z pieprzem i cebulą...

— A ja mam butelkę miodu... — odezwał się Szloma—jedną tylko ale co rarytnego, bo prawdziwego kapucyńskiego... a starego, bo z tamtych jeszcze czasów stoi nietknięty i zapieczętowany... Robili go winnicie kapucyny... Ja o nim pamiętałem, i chował i nikomu nie mówiłem, bo spodziewałem się, że będę miał przed śmiercią takiego jak pan gościa...

I znów Szloma zaczął się o *nim* rozwodzić. Ruchla tymczasem wytoczyła się z izby, i wołaniem i rozkazami poruszyła tę część plemienia izraelskiego, która zamieszkiwała pod dachem domostwa. Pokazało się, że było tego nie mało. Po podsieni i izbach poczęły przebiegać i kręcić się żydówki, żydóweczki, żydzi i żydki. Do izby, kłapiąc patynkami, wszedł poważnie czterdziesto-paroletni żyd.

— To mój syn...—rzekł Szloma — A drugi mój syn mieszka w Woronicy, a trzeci w Tulezynie, a czwarty postawił sobie domostwo tu taki, w Niemirowie...

— Czém-że się trudni?.. — zapytał Szlome Chorąży, ukazując na obecnego jego syna.

— Ny... Czém się trudni?.. Mieszka ze mną... Ożenił się... Ma dzieci... Pan Bóg mu błogosławi... Mam po nim sześciu wnuków i trzy wnuczki... A wszystkich wnuków mam ośmnaście, a wnuczek dwadzieścia jedną, a prawnuków siedem, a prawnuczek pięć...

— Niech Bóg nie umniejsza...—rzekł Chorąży.

— Daj Boże... — powiedział Szloma. — A wielmożny pan wiele ma dzieci?..

— Ot, tego jednego...

— Niech się zdrów chowa!.. Przywiózł go wielmożny pan do szkoły?..

— Do szkoły...

— Aj-waj!..

I znów wspomnienia wyszły na scenę, przerywane rekomendacjami wnucząt i prawnucząt, które poczęły schodzić się do izby i z których dwoje—małe, tłuste i omurzone bachórki—zasiadły na kolanach pradziadka.

Ruchła się krzątała. Słysząc ją było niekiedy, gdy głośniejszawołała:

— Bichende!..—albo:

— Szwarzur!..—albo:

— Paskidny!..—albo:

— Misziener!..

Owoce krzątania jej była wieczerza, zastawiona na czystym obrusie i składająca się: z łokszyny ugotowanej na rosoli z koszerne go mięsa, z pieczonych gęsich udek, z kwaszonych ogórków, z tartego chrzanu, z gugla i z faszzerowanego na zimno szczupaka. Z głębi jakiejś skrzyni wydobyla srebrne, dwunastej próby, łyżki, widelce i noże, których staroświecka forma znamionowała że dawne pamiętają czasy, a nie żydowskie i rozmaite cyfry oznaczały,

iż z drugieję i to nie z jedneję dostały się Szlomie ręki. Na stole zjawiła się omszona butelka i lampeczki.

Do wieczery zasiedli Chorąży i Jaś. Szloma i Ruchla, chociaż siedli przy stole, ale nie jedli, a tylko bawili gości rozmową. Ruchla mówiła, patrząc na Chorążego:

— Mój Boże!.. Ny!.. Jakże się pan odmienił!.. Ot, postarzał i posiwił, taki młody, taki ładny, a taki swawolny...

Przy ostatnim tym wyrazie spojrziała na Chorążego jakoś tak zalotnie, jakby jej młode lata wróciły.

Chorąży uśmiechnął się.

— Czyż myślisz, Ruchlo... — rzekł żartobliwie — że nie potrafiłbym jeszcze i dziś poswawolić...

— A!.. a!.. starość nie radość, panie Chorąży... Minęło to, minęło!.. A pamiętam, co to było... Nasze żydówki, a jeszcze bardziej żydziowie, bali się pana Chorążego, jak ognia... Mój mąż nie pozwalał mi patrzeć na pana...

I zaśmiała się Ruchla głośno.

— Pamiętasz Szlomo, jak wypędzałeś mnie z izby gościnnęj, ile razy przyszedł pan Chorąży?.. A pan Chorąży, jakby na złość tobie, często przychodził... A ja, jakby na złość tobie, wychodziłam naprzeciw niego...

Ruchla znow się śmiała, i Chorąży się śmiał, i Szloma się śmiał.

— Za to teraz — rzekł ten ostatni — sam ciebie do Chorążego zawołałem...

— Co teraz!.. — odparła Ruchla z żartobliwym wyrazem twarzy.

Tego rodzaju rozmowy zaprawiały podróżnym naszym wieczerzę, która skończyła się tēm, że Jegomość, Ruchla,

Żzloma, syn tego ostatniego i dwóch zięciów wypili, stuknąwszy się na zdrowie, po lampeczce miodu, a Jasiowi dostał się od Ruchli zakonserwowany z ostatnich świąt kawałek hamanowego ucha.

Znanym jest skutek kapucyńskiego miodu, takiego szczególnie, którego wiek gubi się w niepewności po za liczbą lat dwudziestu. Wiadomym jest, że on nie upaja, ale rozmarza, odbiera władzę członkom ludzkiego organizmu i usypia, na co jedna lampeczka aż nadto wystarcza. Po tej tedy lampeczce, położywszy się w łóżku, zasnął Chorąży doskonale, równie jak i Jaś, któremu jak miód poskutkowała podróż.

Korzystając ze snu podróżnych naszych, rozglądnijmy się po Niemirowie.

Co to jest ten Niemirów? — Niemirów nasz, ten w którym śpi smacznie Chorąży i Jaś, leży na Podolu, na trakcie pocztowym, prowadzącym z Braclawia do Winnicy,

Gdyby Boh płynął w prostej linii od Winnicy do Braclawia, to Niemirów leżałby nad samym Bohem. Lecz ten psotnik od Winnicy skręca na bok, ku południo-zachodowi, potem znów zakręca się, jakby chciał pod Niemirów podpłynąć — ale nie podpływa, zakręca się jeszcze raz, i skąpawszy Worszyłówkę, Tywrón i Peczarę, i mnogie wsie i wioski, idzie sobie do Braclawia, stroniąc od Niemirowa zachodnio-południowemi okolicami. Za to przeprowadza on pod nim jeden z pomniejszych swoich przytoków, ochwytyjący go północno-zachodnio-południowym półkolem, które formuje dla Niemirowa rodzaj pomiernie wyniosłego cypla, przylądka, czy półwyspu, wciskającego się w amfiteatralne otoczenie wyniosłości, ciągnących się prawym brzegiem bohskiego przytoku. Jaką ten przytok

nosi nazwę—nie wiem. Może żadnej. Zasługuje on jednakże na nazwę, z powodu dwóch donośnych stawów, któremi podmywa Niemirów—jednym od północy, drugim od południa. Stawy te uzupełniają pozór przylądka, na którym wznosi się miasteczko.

Pomimo przylądkowego charakteru pozycyi, najbardziej przyjaznego pięknym widokom, Niemirów nie posiada widoków, albo raczej posiada bardzo powszednie: na pocztowy trakt, na role i lasy, rzadko na budowle. Można by wprowadzić z karczemek i drzew, z wody i ziemi skombinować jaki-taki obrazek; ale żeby się nim zachwycić, potrzebaby do naturalnej onego piękności dużo dobrej dodać woli.

Najlepsza jednakże wola na nicby się nie zdała od strony wschodniej, z której nic nie widać. A strona ta jest najważniejszą. W jej bowiem kierunku leżą wszystkie zakłady i uroczyska, służące do przechadzek, przejażdżek i rozlicznych rozrywkowych wycieczek znakomitym i mniej znakomitym mieszkańcom małego miasta. Tam, o parę wiorst za Niemirowem, spotyka się najprzód lasek, potem karczma, a za karczmą, na lewo, monasterek i zwierzyniec, na prawo znów lasek. Do karczmy w niedziele i święta docierali mniej znakomici mieszkańcy—stolarze, slusarze, kowale, kielbaśnicy z żonami i dziećmi, lub stolarczyki, ślusarczyki, kowalczyki, z kochankami—i rozkładali się w cieniu drzew bliższych lasków. Za karczmę ciągnęli znakomitsi mieszkańcy—nauczyciele gimnazjalni i officjaliści Pana Potockiego — i rozpierchali się po zwierzyńcu, monasterku i dalszych laskach. Ci zaś co mieli konie, jechali aż do Kowalówki.

Od karczmy do Niemirowa idzie w prostej linii droga, która tonie w mieście i kończy się przed kościołem. Droga ta na całej długości swojej wysadzona jest lipami i z tego powodu nazywa się Lipkami. Jest to jedyna w Niemirowie ulica nazwana. Inne nazwanie mają, chyba przypadkowie, jak np. kowalska — nazywała się kowalską póty, póki mieszkał na niej kowal, — miodowa — była miodową póty, póki pewien żyd nie wyszynkował syconego miodu, sprowadzonego z Żorniszcz. Lipki jedne nie ulegają tej zmienności, nie przezywają się inaczej, pomimo że mieszkał na nich sławny stolarz, Ryzop, i jeszcze sławniejszy kielbaśnik, Bajbuz. Niektórzy mylą się: równoległą Lipkom ulicę nazywają także Lipkami, dla tego tylko, że jest tam kilkanaście lip, posadzonych przed gimnazjum. To jednakże niesłusznie. Ani ta ostatnia, ani żadna inna ulica, nie mają nazwy stałej, a dostają niekiedy tylko przezwiska od studentów, jak np. Chaimowej, Żelechowskiego, Panien Ciechońskich, Pani Holeckiej; ale te długo nie trwają. Obecnie podobno ustaliła się nazwa ulicy Pałacowej; nie wiem; za moich czasów pałacu nie było, więc nie było i ulicy.

Najgłówniejszą pomiędzy ulicami nie są Lipki, ani ta na której wznosi się gimnazjum. Najgłówniejszą jest ta która stanowi miejską część pocztowego traktu. Przebiega ona na wskroś przez Niemirow, w prostej linii, od grobli braclawskiej do winnickiej, i na samym prawie środku długości swojej przyjmuje prostopadle wpadające w nią Lipki. Złączenie to ma miejsce przed kościołem. Z tego powodu kościół, geometrycznie rzecz biorąc, stanowi środkowy prawie punkt miejskiej figury. Od niego na wschód ciągną się Lipki, na południe jedna połowa głównej ulicy, zbiegająca na dół ku grobli braclawskiej,

na północ druga połowa tejże samej ulicy, zbiegająca także na dół ku grobli winnickiej, a po za nią, na pochyłości zachodniej, rozrzuconą jest bezładnie zakulisowa część miasteczka.

Część głównej ulicy, zawarta pomiędzy kościołem a groblą winnicką, jest najpryncypalniejszą: na niej bowiem mieszczą się wszystkie domy zajezdne i rynek ze sklepami—domy bliżej kościoła, rynek nieopodal od grobli. Pierwsze dwoma szeregami, frontem ku sobie zwróconymi, wyciągnęły się nad drogą. Drugi okrakiem na tejże samej drodze zrazu rozdyma się nieregularnie, ugarbiowany z boków sklepikami i straganami, w końcu formuje się w regularny czworobok, otoczony z dwóch stron murowanymi sklepami, z trzeciej zamknięty budynkiem, także murowanym, który mieści w sobie parę sklepów, wychodzących na rynek, i rzeźnicze jatki zwrócone ku grobli. Po nad jednym szeregiem sklepów wznosi się piętro. Było ono niegdyś salonem balowym, potem fabryką sukna, potem pensyonem damskim, potem jakimś składem, potem—nie wiem czem. Po za jatkami, ochwytyjąc je zrazu z obydwu stron, droga zbiega ku grobli spadzisto, i przechodzi u podnóża wysokości mogiły, stojącej niby na straży wehodka w staw małego cypla, zabudowanego fabrykami sukna. Za stawem ciągną się przedmieścia, ogrody i futory.

W czasie, do którego opis nasz się odnosi, budowle w Niemirowie, pod względem obszerności, wspaniałości i gustu, w następującym szły jedną po drugiej porządku: naprzód kościół katolicki, po nim cerkiew ruska, potem sklepy w rynku, dalej szkoły, apteka i komissoryat. Kościół luterański wznosił się dopiero z gruzów, w jakiego pożar powalił. Na nowe gimnazjum ani nawet fun-

damentów jeszcze nie zakładano. O pałacu ani myślano, a na miejscu gdzie on się wzniósł później, podejrzane w burzanach ukrywały się chałupki. Pomiedzy domostwami żydowskimi było parę, które mogłyby nazwać się porządne, gdyby zrównać się mogły z domostwem Szlomy i tём co stało naprzeciwko, kiedy były one jeszcze nowe:—starość pozbawiła je zalety porządności.

Pomiedzy domami niezajezdnymi, z tych jedne, żydowskie — zwyczajnie, jak żydowskie — były półdomami, pół-szałasami, budowanemi na to, żeby mieszkać, ale nie zakładać domowego ogniska; drugie chrześcijańskie wyglądały rozmaicie, lecz najbardziej eleganckie bardzo jeszcze skromnie. Z tych ostatnich, wyjąwszy kilku pokrytych gontami, do których zaliczały się: pomieszkanie dyrektora gimnazjum, najznakomitszej w Niemirowie figury, probostwo, pomieszkanie pastora, i jeszcze kilka innych, mających małomiasteczkową minę, wszystkie zresztą kryły się po wiejsku, pod słomianą strzechą. Po wiejsku też ogrodzone były płotami, otoczone podwórkami, szopami, szpichrzami, chlewkami, a nawet kurnikami i karmnikami, i miały zwykle z tyłu ogród z warzywem i fruktowemi drzewami, z przodu ogródek z malwami, nasturcyą, stokrotkami, rożanami krzakami, piwoniją i wszelkiemi innemi kwiatami. O piętrze nie było ani jednego domu. Piętro, dla człowieka urodzonego, zrosłego i zamieszkałego w Niemirowie, było przedmiotem niepospolitego podziwu. Ryzopa dom na podmurowaniu dawał mu do myślenia, a piętro na sklepach mocno go zastanawiało, i zarazem wzbijało w dumę, z tego powodu, że stawiało rodzime jego miasto na równi z Tulczynem i Winnicą, podwyższając je nad Tywrów, Krasne, Peczarę, Rajgródek,

Żorniszczę, Ilińce, Wonorowicę, a nawet nad Braclaw powiatu stolicę:

Miasta nasze na Rusi, gdyby nie Żydzi, to zdaje się, nie posiadałyby tego co nazywają racją bytu. Ale, gdyby pozostawić je na łasce Żydów, to nigdy nie wzniosłyby się po nad znaczenie targowic w dnie jarmarczne.

Żydzi posiadają w wysokim stopniu zdolność ciągnięcia korzyści z nadarzonej sposobności, lecz nie posiadają zdolności wysnucia tej sposobności z samych siebie, sprrowadzenia jej, stworzenia. Przemysłność ich zależy głównie na pośredniczeniu, na ułatwieniu stronom interesów. Jeżeli przeto są strony, jeżeli jest ktoś lub coś, co potrzebuje usług, to oni tam śpieszą, nastęrczają się i odnoszą korzyści kosztem, a nie rzadko i ze szkodą, obsługiwanych stron. Takimi są oni, bądź jako kupcy, bądź jako bankiery i wekslarze, a szczególnie, jako faktory. Charakter faktorstwa jest im najwłaściwszym. Faktorują, handlując z trzeciej lub do trzeciej ręki, faktorują, mieniając lub dostarczając środków wymiany, i faktorują, stręcząc. Przy takich silnych assocyacyach, jakiemi są kahały, nie zdobyli się na to, aby produkować; aby z miasteczek porobić centra fabryczne i przez to — z jednej strony — zatrudnić ludność miasteczkową, — z drugiej z bogacić kraj. Produkowanie tego rodzaju samo się im nastęrczało i nastęrcza: w tem nikogo i nic, wyjąwszy własnej woli i zamiłowania do lekkiego zarobku, nie mieli na przeszkodzie. Nie chcieli produkować, a chcieli żyć: musieli więc rozmaitemi środkami i sposobami wyzyskiwać życie na procentach, sprzedając usługi swoje, gdzie można i jak można, i — co z tego wypada — bogacąc się w miarę mniejszej lub większej wymagalności usług,

w miarę mniej korzystnej lub korzystniejszej sprzedaży takowych.

Przez samych żydów nie podniosły się miasteczka nasze, żydzi podnosili się, a z nimi i miasteczko, gdy powstał w niem zakład jakiś publiczny, lub założoną została jakaś, chociażby powiatowa rezydencya. Tulczyn wzniósł się z powodu wystawnego życia, jakie w nim Stanisław Potocki prowadził, a po jego śmierci podupadł. Winnica, Humań, Krzemieniec, trzymały się póty, poki posiadały szkoły. Przyczyną zamożności Berdyczowa—zamożności z każdym dniem zmniejszającej się—szukać potrzeba w dawniejszych czasach. Był np. Machnówki, biednej miłośnicy, polepszył Michałek (słynny lekarz Wojciechowski, znany powszechnie pod imieniem Michałka). To samo trafiło się innej miłośnicy, Ładyżynowi, kiedy w niem przez czas jakiś mieszkał Dr. Jachimowicz. Przykładów takich nalicyłbym tyle, ile miasteczek u nas podnosiło się i podupadało. Często obraz cudami słynący bywał przyczyną zamożności mieszczan. Niech tylko zjawi się coś podobnego—niech zamieszka jaki wielki pan, albo sławny lekarz, niech stanie jakaś główna kwatera lub jakieś biuro naczelne, niech założą się szkoły, fabryki, kościół, klasztor, niech obraz cudami zasłynie, niech, jednem słowem, jakakolwiek przyczyna ściągnie ludność z okolicy i sprawi zbiegowisko—o! to oni potrafią skorzystać.. Ale bez tego tłuką biedę i w wielkiej nędzy zagadkowym żyją sposobem: bo nie wszyscyż mogą nawet skórkami zajęczemi i woskobojniami handlować.

Widok miasteczek, pozostawionych na łasce samych żydów, jest prawdziwie smutnym. Niby zgalwanizowane, zrywają się one podczas jarmarku do gorączkowego życia, i żyją, ruszają się, buczą, piszczą, przez cały je-

den dzień—a nazajutrz, na dwa tygodnie, obumierają — i znów zrywają się do życia, gdy zaświta jarmarkowy dzień. Przyjeżdż w pomiędzy-jarmarcznej przerwie, to aż żal za serce ścisnie. Ujrzysz nagie chałupy, bez drzew i ogrodzeń; ujrzysz brudne żydzięta i brudniejsze jeszcze żydówki, pojedynczo tu i owdzie pokazujące się; ujrzysz żydów w obdartych łapserdakach, wlokących za sobą nogi, jak życie, ciężko powoli i niedbale, lub w śmiertelnych koszulach, wyspiewujących smutnym, jęczącym a konwulsyjnym głosem psalmy Dawida. Zdaje ci się, że tu ludziom życie obrzydło i dla tego zbywają je byle czém—byle rychlój wynieść się na okopisko. Popasasz więc popieszuźnie, lub nocujesz niespokojnie i uciekasz. A jeżeli na jarmarku zabawisz dłużej, to dla tego, że oprócz interesu który cię zatrzymuje, pozwala ci jeszcze swobodniej oddychać, chwilowa zmiana miasteczkowej atmosfery, nasiąkającej dziegiem, który chłopci na butach przynoszą, i alkoholem, który wydziela się z mohoryców.

Niemirów nie należy do tego rodzaju miasteczek. W nim są szkoły, a przy szkołach wzmogli się żydzi w dostatek; a z żydami podniosło się i miasteczko. A chociaż za kulisami, w gmatwaninie tylnych uliczek i przesmyków, można wleźć w gęstwinę takich chałup, które są gorszemi od najgorszych, to przecież głównejsze ulice i pozór mają lepszy i życia więcej. Szkoły przyczyniły się także do tego, że napłynęła i osiadła ludność chrześcijańska. Całą prawie wschodnią część miasta zamieszkali chrześcijanie, bądź rzemieślnicy, bądź utrzymujący uczniów na stancyi. Ci ostatni, po zaprowadzeniu ogólnych kwater, ustąpili miejsca rodzicom, którzy sprowadzili się dla edukacyi dzieci. Miejski ruch, życie i zamożność nawijają się około uczących się dzie-

ci, będących główną i jedyną przyczyną, że Niemirów znaczniejszym jest od Tywrowa, Krasnego, Peczary, Rajgródka, Żorniszcz, Woronowicy i Iliniec.

Na zamożność Niemirowa bardzo mały wpływ, mniejszy jakby się spodziewać należało, wywierają fabryki sukna, prowadzone przez Niemców. Nie mogą one zakwitnąć, nie produkując lepszych nad ilinięckie sukien i flanelek. Nie wiem jak tam rzeczy stoją obecnie, ale tak było za moich czasów. Sukna noszące stępel ilinięcki bardziej były poszukiwane, jak niemirowskie, pomimo, że fabrykantom tych ostatnich nie zbywało na zachęcie i pomocy ze strony skarbu pana Potockiego. Żydzi nie dbali o to: sprowadzali do sklepów swoich wyroby pokupniejsze i sami dyskredytowali miejscowe, bez względu na to, że mogły one wpływać przeważnie na pomyślność miasteczka.

Dodawszy jeszcze, że Niemirów posiada browar, ot i wszystko, co mogę o nim powiedzieć. Nie zdaje mi się, abym miał potrzebę wdawać się w szczegóły statystyczne, liczyć i klasyfikować ludność, dochody i rozchody i wymieniać, mierzyć i ważyć towary, jakich tam w sklepach, sklepikach i na straganach dostać można. Jako powieściopisarz, i tak już zrobiłem nadto, trzymając się przy opisie Niemirowa w granicach ścisłej rzeczywistości. Nie pozwoliłem fantazyi ani razu bryknąć, wzlecieć i tło rzeczywiste wyhaftować nieprawdą. To też—wiercie mi czytelnicy—ile razy w ciągu tego opisu przychodziły mi na myśl powieściopisarskie moje prawa i przywileje, to bardzo robiło się mi trudno... nie skłamać. Zadawałem sobie gwałt—i niechże się to policzy na mój karb, jako zasługa... I jeszcze, jako zasługa (ach! jakże to miło czuć się zasłużonym), niech poczyna się i to, że nie pi-

szę ile Niemirow ma ludności. Bo co tu, to musiałbym już skłamać. Bo to nie doszło do mojej wiadomości. A sądząc od oka, tyle tylko mogę powiedzieć: że mieszkańców w Niemirowie daleko jest więcej jak sto, a daleko mniej, jak sto tysięcy. Ale przytęm pospieszam uprzedzić: aby nikt z tego «od oka» nie zechciał, broń Boże! ludność niemirowską obliczać przez średnią proporcjonalną, wziętą ze stu i sto tysięcy. Otrzymałby bowiem w rezultacie cyfrę pięć a może i aż dziesięć razy większą od rzeczywistej.—To samo powiedzieć się da i o towarach. Ktoś tam stanął jak wryty i zapomniał języka w gębie, gdy doktoryzując się, zagadniętym został: ile mostów na Dnieprze?.. Ja nic innego bym nie uczynił, gdyby mi zadano np. pytanie: ile rocznie sprzedaje się w Niemirowie pieprzu?.. A nietylko pieprz, ale i wszystkie inne artykuły wprowadziłyby mnie w niepospolity ambaras, z którego także mógłbym chyba wybrnąć przez odoczne «mniej więcej»; ostrzegając zawsze o niebezpieczeństwie średniej proporcjonalnej. Lecz — cóż tam prawić mam o sobie!—kiedy wiem z pewnością, że w Niemirowie rzadki kupiec zna dokładnie stan własnych aktywów i passywów. Czyż się nie raz i nie dziesięć razy o to nie pytałem?.. Cóż mi odpowiadano:

— Ny!.. alboż ja wiem!..

albo:

— Gdzież o tém można wiedzieć!

albo:

— Et!.. co o tém gadać!..

albo:

— Na co ta ciekawość!..

Żydówka jedna ostrzegła mnie, że jeżeli będę bardzo ciekawym, to mi prędko włosy posiwieją.

Cóż jeszcze o Niemirowie napisać?

— A!—że jest błotnisty...—O tém jednakże mógłbym nie wspominać: bo w którym-że naszym miasteczku, na Podolu, Ukrainie i Wołyniu, błotne rzeki peryodycznie nie płyną ulicami?.. O tém wiedzą wszyscy. A o czém wiedzą wszyscy to to samo jakby nikt nie wiedział. bo nikomu nie przychodzi na myśl brukować ulice po miasteczkach. W Niemirowie, o ile przypominam sobie, jedna tylko ścieżka była wyłożoną kamykami, a że wypadła w poprzek ulicy, to pomagała kołom wozowym do łamania się. Zresztą, podczas wiosennych i jesiennych roztopów, można było czółnem pływać po błocie.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o zewnętrznym zarysie miasta. Jest on podobnym do łuka, nagięciem ku zachodowi a cięciwą ku wschodowi zwróconego. Nagięcie określonem jest bohskim przytokiem. Cięciwę znaczy rów, północnym końcem w staw, południowym w moczary nurzający się. Pomiędzy rowem a miastem są puste place, oczekujące na zaludnienie, jest cmentarz chrześcijański, nie opodal od północnego stawu leżący. Staw ten, powyżej nieco cmentarza, ma pozór rzeki podmywającej urwisty brzeg, na którym wisi pochyło okopisko żydowskie, będące przedłużeniem chrześcijańskiego cmentarza, ale leżące już za obrębem miasta. Nieboszczyków żydów od nieboszczyków chrześcijan oddziela najprzód jar, przypadkiem jakoś w tém miejscu przez naturę wyźłobiony, a potem ów rów znaczący graniczna cięciwę. Rów ten jednakże nie jest wrytym, ani dla przeszkodzenia pośmiertnemu zmieszaniu się żydowskich kości z chrześcijańskimi, ani dla obrony miasta, ani dla dopuszczenia onego rozrostu. Wryto go przeciwko tym, którym by zacheiało się wozem wódkę do

Niemirowa przekradać. To też wozem nie można go przejechać. Ale za to jest on znacznym dla pieszych kontrabandzistów ułatwieniem: na samą bowiem zabronioną granicę nastęcza im wyborne schronienie. W niektórych jednakże miejscach, jak np. przy cmentarzach, i nad stawami, są przesmyki, któremi jeżeli nie wozem, to konno można się przekraść z baryłką, są ścieżki obchodzące rogatkową surowość. Surowość ta wszakże stosuje się tylko do chłopów i żydów: bo co się panów tyczy, to tych nie ma prawa rewidować pana Potockiego odkupszczyk. Co innego w powiatowych, gdzie rządowe są kabaki, a co innego w prywatnych majątkach.

Niemirów wspomnianym jest i znanym w podaniach ludowych i historii wojen kozackich. Te ostatnie pozostały mu na pamiątkę duże okopy, o parę wiorst od miasta oddalone. Tych rozmiary, kształt profilu i stan są takie, że z małemi poprawkami i dziś mogłyby się przydać, gdyby położeniem i narysem zadość czyniły nowoczesnym warunkom sztuki.



VI.

W poprzednim rozdziale zostawiliśmy brynieńskich podróżnych naszych uspiońcych;— w tym oddajmy im dzień-dobry. Tak każe grzeczność; tego wymaga porządek powieści. Pierwsza jest łatwą, znaną, zwyczajną, a co najwięcej do niczego nie obowiązuje. Powiedzieć «dobry-dzień» komuś, komu się wszystkiego najgorszego życzy, na kogoby się chciało piorun z nieba sprowadzić, jest tém samém co oddychać z powodu płuc, patrzeć z powodu ocz, słuchać z powodu uszów. Człek -do kichnięcia uroczyściej się zbiera, jak do rzucenia z ust na wiatr «dzień-dobry».

Nie tak z porządkiem powieści. Wy, których sumienie nie jest obarczoném żadną powieścią, nie możecie sobie wyobrazić, w jakim byłem ambarasie, kiedy mi się Chorąży, po lampeczce kapucyńskiego miodu a Jaś ze zuuzrzenia, w poprzedzającym rozdziale pospali. Nie wiedziałem jak ich pobudzić... Myślicie może, że to łatwo...

Ale!.. Jeszczeż, gdybym korzystając z okazji, wziął się był do opisywania Niemirowa w nocy, to ponieważ «po nocy wszystkie koty szare», skróciłbym sobie i ułatwił pracę następującym sposobem. O mieście — jakim ono jest, jak wygląda, gdzie leży, etc. — nie powiedziałbym nic; ale kazałbym księżycowi świecić i przy bladym jego blasku malowałbym złudne obrazy. Przedstawiłbym Niemirow tak, jak się on wydał Jasiowi z bractwskiego traktu. Posztukowałbym domy ciciami, cienie fantazyą, fantazyę zmysleniem (dozwoloném, ma się rozumieć, a dozwoloném na szersze rozmiary, jak wolność druku we Francyi lub Austryi, bo bez ograniczeń), i za pomocą zmyslenia zobaczyłbym sam i wam pokazał jakieś takie dziwo na ziemi, któreby mi dozwoliło z ziemi, z tego «padołu płaczu», jednym susem skoczyć na niebo, Po co na niebo? spytacie. A, ot zaraz wytłómaczę.

Na niebie są gwiazdy. Owóż, te gwiazdy wielkim są resursem w takim przypadku, w jakim znalazłem się z Chorążym i Jasiem. Nic, tylkobym się przypatrywał gwiazdom, jak one z razu jarzą się i mrugają, i strzelają zalotnice promykami, niby wabiąc do rozkoszy na błękitném łonie nieba; jak następnie, znużone ezy zawstydzone, bledną, przygasają i gasną;—a na dalekim wschodzie rumieni się jutrznia, płacze łzami rosy i otwiera powoli słońcu wrota nieba. O jutrzni byłoby wiele do gadania: o jój zasłonie, wozie, koniach i o jój miłośkach z Tytonem, i o tém, jak ona źle wyszła na niedopełnieniu małej formalności w prośbie, podanej do Jowisza o nieśmiertelność dla kochanka, którego zestarzałego i co gorzej, starzejącego się przez cały ciąg nieśmiertelności, musiała w pieluszki upowijać i jak dziecko karmić i nosić. Dla wiecznie młodej, takiej ślicznej, rumianej i o różo-

wych paluszkach jutrzeńki, straszliwie musiało być bolesnym, mieć wiecznie żyjącego i pruchniejącego trupa za kochanka. To też ona biedaczka, niebieska odźwierna, wiecznie płacze rosą i płacząc otwiera wrota Apollonowi, który świetny i dumny, wyjeżdża na niebo.

Teraz-że nie ma łatwiejszego, jak wsiąść na rydwan Apollona, wjechać do izby gdzie śpią Chorąży i Jaś, i krzyknąć im nad uchem:—wstawajcie!.. Tym sposobem, dziwem dobrawszy się do gwiazd, od gwiazd do jutrzni, od jutrzni do słońca, dobrałbym się w końcu i do podróży naszych, i odszukałbym logikę, któraby może nieco szwankowała w niebieskiej wędrówce. Odszukanie to logiki zależałoby na tem, że wschód słońca zbiegłby się z rozbudzeniem Szlomowych gości i wprowadziłby mnie od razu na tor naturalny, wedle którego człowiek, rozbudzony się ze snu, wstaje, wstawszy umywa się, umywszy się ubiera, pije kawę, pali fajkę, odpoczywa, rozmyśla, znów pali fajkę i przystępuje do interesów. Niektórzy zmieniają ten tryb. Jedni, obudzony się palą fajkę, piją kawę i potem wstają. Drudzy—piją kawę, palą fajkę i wstają. Inni—wyznawcy hydropaty — wstają, piją wodę a potem kawę. Jeszcze inni—wyznawcy spiritopaty—zamiast wody używają wódki. Inni znów kawę zastępują herbatą, lub, jeżeli mają do państwa pretensję, czekoladą. Trzeba być ekonomem, ażeby z rana posilać się polewką piwną, lub chłopem, aby poprzestać na postnym barszczu albo kawałku suchego chleba. Panowie obok kawy, herbaty, czekolady, zakrapiają się jeszcze niekiedy jakiemś aptecznymi kroplami, które wzmacniają i orzeźwiają: bo wiedzieć należy, że prawdziwych panów sen nie wzmacnia ani orzeźwia... Co im sen!.. jest to dług naturze, ciężki—zwykle jak dług...

Niechże jednakże nikt nie pomyśli, że ja wyraz „pana” aplikuję do wszystkich bogatych, albo do wszystkich wyprawdzających się od kasztelanów, wojewodów i hetmanów. W naszym wieku wyrazy pozmiały znaczenie. Panem jest ten, co tylko używa— wymyśla, byle używać, byle wszystko na świecie co jest smacznym, wygodnym, dobrym i pięknym, podesłać pod własną osobę, jej do usług nakłonić. Pankiem jest ten, co wziąwszy pana za wzór, naśladuje go z całym zapalem.

Chorąży nie był ani panem, ani pankiem, i dla tego, jak tylko oczy otworzył, natychmiast zerwał się na równe nogi, wzuł bóty, które zawsze były kozłowe, otworzył drzwi i pełnym głosem rzucił na podsień te wyrazy:

— Semenek!.. wody!..

Wyszedł i spotkał się z Semenkiem, niosącym ogromną mosiężną miednicę i konewkę wody. Miednica postawiona została na ziemi. Chorąży stanął nad nią, rozkraczył się, nachylił i począł się myć. Semenek zlewał na ręce, na głowę, na kark, znów na ręce. Chorąży prychał jak koń, szorował się, poczerwieniał szczególnie na karku, w końcu podstawił głowę, Semenek wylał na nią ostatek wody z konewki, Chorąży wstrząsnął się, bryzgi rozleciały się na wsze strony, nakrył głowę rącznikami i wszedł do izby.

— A wstawaj-no śpiochu!..— zawołał, obcierając się, na syna, na którego słońce ten wpływ wywierało, że chciało mu się jeszcze choć troszeczkę pospać.

Lecz słowa ojca niby mina wysadziły go z pościeli. Porwał się, wyskoczył z łóżka i również jak ojciec, najpierw do umycia przystąpił. I w przeciągu pięciu niespełna minut obydwa Jeże byli zupełnie ubrani: stary

w nowy granatowy kontusz, z wylotami na grzbiet zarzuconemi; młody w gimnazjalny mundur, któremu brakowało jeszcze galonków na kołnierzu, a to dla tego, że nie wiadomo było, czy Jaś do pierwszej klasy od razu, czyli też pierwój do proformy przyjętym zostanie. Miało się to w ciągu dnia rozstrzygnąć.

Szloma dotrzymał słowa. Przyszedł oddać Chorążemu dzieńdobry w racimorowym kaftanie i w szabasowej czapce; i był jakiś wesoly, chociaż zawsze poważny, bim-bował, to jest podśpiewywał sobie pod nosem jakąś wesolą nutę, w której kiedy niekiedy, «bim!.. bam!..» się odzywało, bo powiadał, że młode przypominał sobie lata.

Ruchla ustroiła się w atlasową czarną suknię, i nowe na głowę włożyła muszki, na których obok prawdziwych pereł prawdziwe świeciły brylanty. Nie umiem opisać kroju jej sukni, to tylko wiem, że była tak zrobioną, iż nie zakrywała napiersnika, z czego się pokazuje, że Ruchla trzymała się starzej mody żydowskiej.

Moda ta wymagała jeszcze, aby żydówki goliły głowy: ona i w tém od niej nie odstępowała.

Szloma i Ruchla od rana zaraz nawiedzili gości swoich, i ta ostatnia poprzedzała swoją osobą jedną z wnuczek, która wniosła do izby tacę, a na tacy dwie szklance kawy ze śmietanką i obwarzankami.

Poranek tedy zbiegł podróznym naszym naturalnym trybem: wstali, ubrali się i pili kawę, i do kompletu brakowało tylko fajki, gdyż Chorąży ani fajki nie palił, ani tabaki zażywał, a Jasiowi za weześnie jeszcze było do jednej i do drugiej.

Po kawie nie odpoczywał Jegomość, ani rozmyślał, lecz natychmiast udał się z Jasiem do dyrektora.

Dyrektorem podówczas był M....ski.

Niektóre władze szkolne miewają zły zwyczaj strojenia się w miny dobroczyńców względem udających się do nich rodziców. Jest to wprawdzie tylko słabość ludzka, zależąca na pewnej wrodzonej człowiekowi inklinacji do podrożenia się z bliźnim, ale słabość ta rozmaicie każe się zapatrrywać na siebie. Przebaczalna w ogólności u tych wszystkich, którzy nic nie mają do roztrząsania rozumem, nieznośną jest w ludziach noszących tytuł: »uczonych.«

M....ski nie ulegał tej słabości. W nim było coś szlachetnego, obywatelskiego, ale nie było tej arrogancyi, tej ślepej, zapamiętałej *morgue*, która powiada:

— Drzyj przedemną, dla tego, że odemnie zależy powiedzieć to »tak«, albo to »nie«; które ciebie tyle obchodzi...

Ale która skromnieje, jak najtrwożliwsza trusia, jak tylko sama znajdzie się pod ciśnieniem »tak« lub »nie.«

Po M....skim, jeżeli się coś słyszało o Sniadeckich i Czackich, można było poznać, że on do ich rodzaju należał. Nie dorósł ich głową, ale nie bardzo od nich niżej stał sercem, które go zawsze ku temu wiodło co szlachetniejsze i godniejsze.

Chorąży w obec M....skiego znalazł się mało że nie tak, jak swój w obec swego. Była to dziewiąta godzina i dyrektor był już w kancelaryi, ale jeszcze sam—coś pisał. Ujrawszy wchodzącego Chorążego, szybko przyłożył szkiełko do oka, popatrzał na niego przez chwilkę, zerwał się i zaprosił go uprzejmie, wskazując mu stołek obok siebie.

— Z kimże mam honor?...— zapytał.

— Ksawery Jeź...— była odpowiedź— Przywożę do szkół syna...

— Jeź!.. Jeź!..— pochwycił M....ski marszcząc brwi i muskając gwałtownym ruchem ręki czoło i czuprynę do góry.— Już mamy jednego Jeża... Czy nie z tych?

— Z tych samych...— odparł Chorąży— Mój syn jest ich stryjeczno-rodzonym..

— A, syn!..— zawołał M.....ski, jakby tylko co usłyszawszy o nim, i znów szkiełko przyłożył do oka, zmarszczył się i przypatrywał Jasiowi, który stał obok ojca, mnąc czapkę w rękę.

— Cheesz się uczyć?..

Za Jasia odpowiadał ojciec:

— Po to przyjechał...

— Cóż umiesz?..

Jas przechylił na bok głowinę, język mu jakoś niechęący wysunął się z gęby i po ustach łąził, a filuterny uśmiech wisiał na oczach. Ojciec znów musiał za niego głos zabrać, i wyliczył wszystkie przedmioty, jakich w Hrynenkach się uczył.

M....ski wpadł w zadumę, oczy otworzył szeroko, jakby nie słuchał tego co Chorąży prawił, i po chwili jakby w zamyśleniu, niby sam mówiąc do siebie, zapytał:

— Co zaszło pamiętnego w 1025 roku?..

Jaś podniósł głowę, wyprostował się, schował język i odpowiedział:

— Śmierć Bolesława Chrobrego, 17go czerwca...

— A w 1347ym?..

— Zjazd Wiślicki...

Brawo!..

Dyrektor, za każdą odpowiedzią Jasia, pocierał sobie czuprynę niecierpliwie, a twarzą i oczami wyrażał wielkie zadowolenie. Lecz raptem zamyslił się, i kręcąc z giestem przeczenia głową, rzekł:

— To za wiele!..

Ale poprawił się i dodał:

— To za mało!..

Znów mu się z ust wyrwało:

— To zawiele...

I po chwili, przybierając minę urzędową, zwrócił się nagle do Chorążego z temi słowy:

— Z tem wszystkiem synek pański może pójść do proformy, jeżeli nie umie pisać, czytać, czterech działań i tabliczki Pitagoresa...

Chorąży uśmiechnąwszy się odrzekł:

— Umie on i to..

— A!...— zawołał M.....ski.— Czytaj!... i podał Jasiowi gramatykę Wostokowa, która mu się pod rękę nawinęła.

Jaś przeczytał kilka wierszy.

— Dobrze!.. przerwał mu— *trzy razy pięć?*

— *Piętnaście..*— odparł chłopak.

— *Siedm razy ośm?..*

— *Piędziesiąt sześć?..*

— Dobrze!.. mogę zaręczyć, że syn pański pójdzie do klasy pierwszej... Zaraz tu zejda się nauczyciele, to go przeegzaminują... A gdzie go pan dobrodziej postawi na stancyi?..

— Jeszcze nie wiem...— odpowiedział Chorąży— Chcę poradzić się w tym względzie z panem dyrektorem dobrodziejem...

— Postaw go pan tam, gdzie tamten Jeź stoi.. Tam mu będzie nie źle.. Tam nie zapomni może tego co umie, a jeżeli zechce się uczyć, to czegoś się nauczy..

Czyjeś przyjęcie przerwało rozmowę. Kancelarya zaczęła się napępniać. Zeszli się nauczyciele i po krótkim egzaminie, uznali Jasia dostojnym klasy pierwszej; poczem bohater nasz został formalnie wpisany, Chorąży złożył papiery i pieniądze, i Jaś znalazł się na tej drodze, która z razu małą jest ścieżką, stopniowo rozszerza się i w końcu przybiera rozmiary tak szerokie jak świat. Można tę drogę przyrównać do rzeki, której źródło jest nikłe a ujście w oceanie. Póki się jest na rzece, płynie się z jej nurtem, a raz na oceanie, natychmiast rozpoczyna się potrzeba kierowania się podług kompasu i walczenia z bałwanami. W tym przyrównaniu, podstawiając równe zamiast równych, to jest: zamiast oceanu świat, zamiast kompasu rozum, a zamiast bałwanów ludzi, znajdziemy: że wraz na świecie, natychmiast rozpoczyna się potrzeba kierowania się podług rozumu i walczenia z ludźmi.

Jaś postawionym został na stancyi u pana Karola Mimówolego i natychmiast przeniósł się do niego ze swoim kuferkiem i pościelą, a wieczorem i własną osobą.

Chorąży nazajutrz równo ze dniem opuścił Niemirów.

Pożegnanie jego z synem było krótkie. Pocałował go w głowę i powiedział:

— Bądź zdrow!.. ucz się!.. szanuj się i pilnuj!..

Pożegnanie ze Szmulostwem było dłuższe. Ruchla dogadywała i zatrzymywała:

— Ny!.. mnie, dalibóg, że żał za panem!.. Kiedyż my się zobaczymy!.. Odwiedzaj pan często syna, bo nie

mogę się spodziewać, żebyś pan przyjechał kiedy umyślnie dla odwiedzenia biednych żydów... Pan mi to był obiecał i nie dotrzymał...— tu z uśmiechem groziła palcem, na którym świecił duży brylant.— O, wy panowie!.. wam zdaje się, że biedni żydziowie nie potrafią mieć dla was przyjaźni... A bądź pan o synka spokojnym... Będziemy na niego naglądać z daleka... I my coś wiemy... O i my się na coś zdamy...

Szumł ze swojej strony zaręczał także przyjaźniostwo, a jego dzieci, wnuki i prawnuki świadczyły o niem swoją obecnością w całym komplecie, jaki się pod dachem szmulowego domostwa mieścił. Ledwo Jegomość zdołał wydrzeć się z objęć i otoczenia żydów i żydówek. Czepiali się go za poły, jak uciekającego dłużnika.

Po odjeździe Jegomości, Szumł, Szmulowa i cała ich rodzina rozpoczęli natychmiast formalne bosyny. Pozrzucaли patynki i pończochy, posypali głowy popiołem, usiedli na gołej podłodze, a mężczyźni po kilka razy na dzień zarzucali na siebie śmiertelne koszule i napełniali domostwo żałosnym, płaczącym krzykiem majufes. A nie u samego tylko Szmula odprawiały się bosyny. Wieść gruchnęła po Niemirowie, że *wun* umarł, i niejeden stary żyd, szczególnie z zakulisowych lepianek, poczuł się do obowiązku nakrzyczenia Jehowie o *jego* duszy. Byli jednakże i tacy, których to bynajmniej nie obchodziło. Ale nie było takich, którychby gorszyło, że starce ludu wybranego modlą się za duszę goima. W tym razie fanatyzm zrobił wyjątek:— pękł w obec wielkiej cnoty, w obec żywego przykładu. Kto wie— cnota i przykład— czy nie najskuteczniejszymi byłyby na fanatyzm biczami!..

A w chwili kiedy Chorąży odjeżdżał, Jaś otwierał oczy pod dachem państwa Mimowolich, jakby go przebudził turkot bryczki ojcowskiej, którego nie słyszał, bo z Lipek nie mógł słuch jego aż do kościoła sięgnąć; ale może odczuł sympatycznie oddalenie się ojca... Może odczuł... wszak »w niebie i na ziemi tyle jest cudów, o których ani śniło się filozofom!..«

Otworzył oczy, podniósł głowę i obejrzał się po izbie, która była zarazem sypialnią, uczelnią i jadalnią. Wzdłuż pod ścianami stały łóżka, w połowie próżne, dla tego, że nie wszyscy jeszcze uczniowie zjechali się byli. Na środku stał długi sosnowy stół, obstawiony ławkami i drewnianymi bez poręczy stołkami. W drugim pokoju przez otwarte drzwi widać było także łóżka. Łóżeczko Jasia stało przy środku ściany. Kąty bowiem miejsca najwygodniejsze, były już pozajmowane przez tych, co wcześniej przyjechali i byli doświadczeńsi. Na ścianach wisiały na sznurkach podwójne i potrójne półeczki na książki. W najwygodniejszym kącie, przy łóżku, stał stoliczek z szufladką, nakryty jak serwetą kilku arkuszami szarego papieru i zastawiony od ściany oprawnymi i porządnie w szary papier ubranymi książkami. Przed książkami stał kałamarz, excytarz i zgaszona świeca w lichtarzu: przed stoliczkiem stołek, na którym leżały porządnie złożone suknie; nad łóżkiem wisiały na czerwono bejcowane półeczki, wypełnione książkami, porządnie w okładki i papier oprawnymi; a na łóżku leżał, śpiąc smacznie, pan instruktor, uczeń czwartej klasy, odpowiedzialny za klasyczne przedmioty i pobierający za to od rodziców po rublu lub dziesięć złotych na miesiąc (jeden tylko prezes Skrzybicki płacił mu dwa razy siedm złotych), a od pana Mimowolego

stół, stancję, z wyraźną wymową osobnego stoliczka, stołka i świecy, opranie i prywatne lekcye francuzkiego języka. Wszystkich łózek w obydwóch izbach, licząc w to i pana instruktora, było czternaście.

Jaś, podniósłszy głowę, obejrzał to wszystko uważnie, zatrzymał przydłużej wzrok na panu instruktorze, a słysząc dokoła siebie przyspieszone oddychanie śpiących porankowym snem kolegów, położył się napowrót i zamyslił. Pierwszy to raz do głowiny jego zawitała *myśl*— ta potężna w świecie moralnym siła, ta dźwignia niedotykalna i niezłomna, bo ukuta ręką samego Boga. Ważna to więc była dla Jasia chwila— ta najpierwsza chwila świtania myśli. Mnie się zdaje, że od niej zależy cała następna moralność człowieka, że w niej zatliwa się to światło, które, jak ów słup ognisty, przewodniczący Izraelitom w wędrówce po pustyni, przewodniczy człowiekowi przez całe życie.

O czém-że myślał Jaś?..

On układał, zestawiał i porównywał wszystko, co dotychczas widział i słyszał. W jego wyobraźni stanęły postacie hryneńskie i zharmonizowały się w jeden pełny zastęp, owiany atmosferą czynów i słów. Ojciec, ciotka, nauczycieli, ekonom, wójt, gumienny i rówiennicy, w jakiejś jednej, poważnej, surowej a pięknej przedstawili się mu postaci, przemawiającej do niego nauką przykładów, nauką, streszczającą się całkowicie w tych słowach, któremi go w świat wyprawili. I każde z ich słów odezwało się w jego pamięci, zadrgało życiem, jak rozpękające się w płód nasionko. On je sobie wszystkie, co do jednego przypomniał i ułożył z nich niby wszystkie pierwsze zarysy życiowego programu, mającego się później dopełnić, lecz nie zmienić. Cóż, niby postano-

wienie, niby pierwsze kiełkowanie przekonania, zrodziło się w jego duszy.

Jaś cisnął się głową do poduszki, kurczył się pod kołderką i zalał się łzami, bo w sercu jego zakolało jakieś takie uczucie, któremu podobnego szukać należy w sercu dziewczem, w chwili, gdy czyste i młode, zaręcza się przysięgą obowiązkóm nowego, nieznanego życia. I gdy się wypłakał, z tej jednej, ogólnej, hrynieńskiej postaci poczęły oddzielać się pojedyncze i przesuwały się przed nim, jak na przeglądzie, i wionęło od nich coś, jak ta pieśń, którą dziecku przy kołysce śpiewają. Jasiowi poczęły się kleić powieki na nowy sen i już usypiał, już ze wszystkich hrynieńskich postaci widział tylko samą jedną dziewczynkę na wrotach, ślaniającą się ku niemu, jak rozchwiany wiatrem wierzchołek topoli i uśmiechającą się... gdy w tym zasypiał raptem i zadzwonił gwałtownie excytarz, i pan instruktor ziewnął na łóżku, a po ziewnięciu chrząknął i krzyknął:

— Héj!.. wstawajcie!.. A co to!.. nie słyszeliście!.. A no!.. Albin!.. A!.. Teodor!.. Henryk!..

I sam pierwszy dał dobry z siebie przykład.

Chłopaki przeciągali się, ziewali i leniwie podnosili. Jaś był najpierwszy na nogach. Albin, (ten sam, którego czytelnicy znają) dla dwóch powodów— raz dla tego, że ojciec płacił za niego instruktorowi czternaście złotych na miesiąc; powtóre, że tenże instruktor jeździł z nim dla repetycyi na wakacje— był z p. instruktorem najpoufalej ze wszystkich uczniów, więc najpóźniej dosłyszał jego wołanie, i dosłyszawszy, jeszcze nie wstawał, tylko się prosił:

— Jeszcze troszeczkę!.. choć pół godzinki!.. panie Gromkiewicz!..

— Nie!..— grzmiał instruktor, [choć niezbyt surowo.— Wstawaj!..

— Uuu...— odzywał się Albin z pod koldry.— Najdroższy panie Gromkiewicz!.. choć kwadransik!.. choć dziesięć minut!..

— Wstawaj!..— nie dawał się Gromkiewicz ubłagać.

— Minutka!..

W tym zaszybiał i począł powoli bić godziny zegar ścienny, wiszący za drzwiami w drugim pokoju, w równej odległości od szarag, na których wieszano płaszcze, i tablicy, na której przerabiano matematykę i zawieszano mapy geograficzne. Pan instruktor zatrzymał się, liczył i naliczył ośm.

— Ósma!..— zawołał.

Należy jednakże tę zrobić uwagę, że zegar ten w dziwniej i ciąglej był z czasem i z sobą samym niezgodzie, i pełno miał kaprysów. Niekiedy, jak mu się na pośpiech zebrało, w godzinę trzy godziny przebiegał; niekiedy we trzy jedną; czasami o trzeciej bił dwónastą, a o dwónastej siódmą; czasami, przez kilka godzin szedł sobie milczkiem; czasami znów wszystkie godziny wybił od razu, za jednym zamachem. Pan Mimowoli miał o nim jak najlepszą opinię, a kaprysy jego zwał na uczniów, których wiecznie podejrzewał o dotykanie się do zegara. Sam go nakręcał, regulował i naprawiał, i co parę dni to obciążał, to ulżywał wagi, na których wisały: mosiężny pół-funt, klucz do odkręcania szrub powozowych, jedna półowa obcęgow, mała *presse-papier* i u samego spodu garnuszek z piaskiem. Ten to

garnuszek, z powodu piasku, mogącego się odsypać i dosypać, był głównym regulatorem potrzebnego do wag ciężaru i zarazem świadczył o wynalazczym geniuszu pana Gromkiewicza. On bowiem wpadł na pomysł garnuszka z piaskiem. Pan Mimowoli powziął z tego powodu wielkie o jego zdolnościach wyobrażenie i mówił do Pani Mimowolowej:

— Loli!.. ten chłopiec zajdzie daleko...

A Pani Mimowolowa odpowiadała:

— Lolo... a czyż ci tego od samego początku nie mówiłam?..

Pan Mimowoli marszczył się nieukontentowany i wzruszył ramionami:

— Przestrzegalem cię i prosiłem tyle razy, moja duszko, ażebyś nie używała takich wyrazów, jak »czyż«, bo to ekiwok; z tego z łatwością może się zrobić kalambur...

— I!.. nie nudź-że mnie twojemi ekiwokami i kalamburami...— przerywała niecierpliwa nieco Pani Mimowolowa.— Bądź kontent, że nie jestem żoną *equivoque*...

— Jeszcze co!..— wołał mąż strwożony i udawał się natychmiast na stronę studencką, i tam, jeżeli uczniowie byli w domu, taką im palił perorę:

— Bardzo proszę nie dotykać się do zegara... Zegar nie na to wisi, aby do niego dotykać się... Jeżeli złapię którego, majstrującego koło zegara, to mu każę przez dwie godziny klęzcć i dwieście wokabuł zadam... Proszę nie ruszać piasku z garnuszka, ani do sexternów, ani do niczego... Piasek do sexternów jest u pana Gromkiewicza... Dałem mu cały worek i prosiłem, aby wydawał w miarę potrzeby... Piasek ten powinien wystarczyć na cały kwartał...

Rzeczywiście, pan instruktor był dystrybutorem piasku i pełnił tę funkcję z całą skrupulatnością, z powodu której można go było podejrzewać o chęć pozyskania szerszego nieco zaufania państwa Mimowolów, o otrzymanie na przykład dystrybucyi białej kredy albo atramentu. Lecz rozdawnictwem atramentu i białej kredy trudnił się sam pan Mimowoli, a ołówki, pióra, papier, czarna kreda, raifedry, nici, igły, guziki etc. etc., stanowiły wydział pani, która na oddzielnych i zatytułowanych imieniem i nazwiskiem każdego ucznia sexternikach, prowadziła rachunek wydanych przedmiotów, spłacalnych co kwartał przez rodziców. W tytułach na sexternikach dawała się rozpoznać ręka pana Gromkiewicza. On je zszywał, obcinał, rygował i nadpisywał. On także temperował pani pióra.

Pani pilnowała swego wydziału: rozdawała, zapisywała a zapisywała nawet atrament i kredę, chociaż to do niej nienależało;— czyniła to jednakże dla tego, aby nie komplikować rachunków. Gdy się dowiedziała o piasku, zaraz ją to uderzyło:

— Lolo!..— rzekła do męża— jakże! to daremnie będziemy rozdawać piasek!

— Jakże chcesz, Loli!..— odparł mąż.— Jaką cenę położyć?.. Grzegorz nabrał go nad stawem i przyniósł... E!.. niech już tak będzie!..

W ogólności, mówiąc o panu Mimowolim, powiedzieć należy, iż on jednej rzeczy znieść nie mógł, to jest ekiwoków, i że żył z żoną w jak najlepszej zgodzie, pokładając w niej nieograniczone zaufanie. Jeżeli np. który z uczniów zażądał u niego jakiego przedmiotu z żoninego wydziału ofukiwał się i mówił:

— Wiesz, że ja tego dać nie mogę, bo nie mam!..
Idź do mojej żony, niech ci da!..

Ale niechże kto w jego przytomności wymówił jaki wyraz, który on uważał za ekiwok, natychmiast bladł, drżał, i jeżeli to był uczeń jego pieczy powierzony, naj-surowszej poddawał go karze. I był ten z nim wielki ambaras, że niepodobna było z góry wiedzieć, jakie on wyrazy do rodzaju ekiwoków zalicza; zdarzało się bowiem nieraz, że przypadkowy zbieg dwóch sylab w dwóch wyrazach sprawiał na nim takie przykre wrażenie, jak najnieprzyzwoitszy dwójznacznik.

— Moja duszko!.. moja Loli!..— wołał pan Mimoswola.— Pomyśl jak co masz mówić!.. Nie kalaj ust ekiwokami!..

Po za tą słabością, nie można było dopatrzeć w nim wielkich wad. Był on sobie tém, co można nazwać: pedagogiem z polorem. Do pedagogii usposobił się w Liceum Krzemienieckiem, poloru nabrał w kilku majątnych domach, w których guwernerował. Umiał po francuzku i po niemiecku, znał trochę rysunek, nauki klassyczne posiadał sposobem anegdotycznym; ale największą jego zaletą była słabość do literatury polskiej, której najwznieślejsemi w jego mniemaniu pomnikami były: Wojna Chocimska Krasickiego i Barbara Radziwiłłówna Fe-lińskiego, a to dla tego, że pierwsza do Henriady, a druga do utworów Rassyna podobną była. Naruszewicz, Trembecki, Karpiński cieszyli się także jego względami. Posiadał ich dzieła w niewielkim księgozbiornie, lubił o nich rozprawiać i w nagrodę za pilność udzielał uczniom swoim książki polskie do czytania. Z tego to zapewne powodu, M.....ski mówił Chorążemu, że Jaś u niego »nie zapomni może tego, co umie.« Nauczenie się zaś cze-

goś odnosić się chyba mogło do języka francuzkiego, który stanowił punkt honoru pana Mimowolego. Tak markami męczył uczniów, że trzeba było chcąc nie chcąc nauczyć się po francuzku.

Stancya pana Mimowolego była rodzajem półpensjonu. Uczniowie chodzili do szkół, a w domu, oprócz szkolnych przedmiotów, uczyli się wokabuł, frazesów, pisywali z dyktowanego i tłumaczyli z francuzkiego na polskie, do czego niewyczerpaném źródłem służył Telemak. Tém karmili umysł, a ciało śniadaniem, obiadem, podwieczorkiem i kolacją. Śniadanie jedli o siódmėj; o pół do ósmėj odzywał się dzwonek szkolny, więc szli do szkoły, z kąd wracali o jedenastėj; o dwónastėj jedli obiad; od pół do drugiej do piątėj spędzali w szkole i wróciwszy dostawali podwieczorek, a w parę godzin późnij kolację. Jedna godzina, od szóstėj do siódmėj, przeznaczoną była na zabawę, a reszta na nauki i spanie. Spali więc, bawili się, uczyli i karmili— a porównując ze sobą te rozmaite zajęcia, wypadło: że spali dobrze, bawili się wesoło, uczyli się jako tako, ale karmili— nie szczególnie. Zacierka poranna mogłaby ująć, gdyby nie mąka i masło; obiad byłby niezłym, gdyby nie mięso i nie za często występujący pasternak; podwieczorkowi szkodziło także masło a niekiedy powidła; a na kolację, na drugie danie, przemieniały się kolejno: kartofle, bigosik, kluseczki lub kaszka; na pierwsze zaś: kapuśniaczek z wędzonką lub krupniczek jaglany także z wędzonką, i we wszystkiém tém było coś takiego, bez czego by się obeszło. Naprzykład: wędzonka była zawsze gęsto szrutem naszpikowana. Działo się to z tego powodu, że wisiała nad kominem, pod daszkiem, wystawiona na działanie dymu. Póki dym działał, póty wi-

siała ona spokojnie; lecz gdy nie paliło się w piecu, zlatywały się do niej wrony. Długo pan Mimowoli nie wiedział, jak sobie z wronami poradzić; bo chociaż posiadał strzelbę, ale obawiał się strzelać na dach, żeby broń Boże domu kłakami nie podpalić. Aż od jakiegoś strzelca dowiedział się, że kłaki zastąpić można niepalnym materiałem. I od tej chwili, co dnia prawie, podczas gdy uczniowie byli w klassach, można go było widzieć w ogrodzie, ze strzelbą w ręku czatującego na wrony. Jak tylko która zbliżyła się do wędzonki, on pali do niej. Rzadko kiedy dostawało się wronie, ale wędzonce prawie zawsze.

Pani Mimowolowa wierną była pomocnicą męża i trzymała uczniów w rygorze, to jest, kpała ich, ile razy który poskarżył się na mąkę, masło, mięso, a szczególnie na powidła.

— Jak to!.. — wołała z oburzeniem. — Gdzież to nauczyłeś się wymyślać!.. Takie powidła!.. Gdzież to lepsze widziałeś!.. Ja sama nic nie jem innego...

Co to, to było nieprawdą, bo państwo Mimowolowie jadali osobno i zupełnie co innego. Co oni jedli?— to było niezmiernie ciekawą dla uczniów tajemnicą, której jeden koniec zasłony odkrywał się co dnia, pod postacią talerza, okrytego z górą jakąś smaczną, wonną i pożywną potrawą, stawianą w czasie obiadów i kolacyj przed panem instruktorem. Ta dynstynkcyja wpływała przeważnie na szacunek, jaki dla niego mieli uczniowie i sprawiała, że pan Gromkiewicz bardzo był zadowolonym ze stołu państwa Mimowolich. Ta bowiem jedna potrawa tak była donośną, iż nie tylko zastępowała mu wszystkie inne, ale służyła jeszcze jako środek dywersyi przeciwko niezadowoleniom, jakie wywoływały obiady i ko-

lacye. Gdy zjawiała się na stole, pan Gromkiewicz przysuwał ją do siebie, jadł póki mógł, a czego nie dojadł, dzielił pomiędzy tych, którzy najmniej sarkali na masło, mięso i powidła.

Żeby skończyć o państwu Mimowolich, dodam jeszcze, że byli to ludzie młodzi — on liczył niespełna lat czterdzieści, ona niezupełnie trzydzieści — żyli już z sobą około dziesięciu lat i nie mieli dzieci. Pani była wcale przystojną i miała bardzo dobrą o sobie opinię — należała bowiem do tego rodzaju kobiet, które znane są pod nazwiskiem: osób utalentowanych, to jest — umiała po trochu z wszystkiego tego, czém nasze niewiasty popisują się w towarzystwach. Miała przytém serce podobne do masła i powideł, które dzieciom rozdawała: mogło być lepszym, ale że nie było, to nie ona na tém cierpiała.

Pana Mimowolego frasowała bezdzietność. Chciał on bardzo przechować ród Mimowolich, który, jak twierdził, wyprowadzał się z Włoch, pochodził od Minutolich, przybył do Polski z Boną, i w Polsce dopiero, w skutek zbiegu rozmaitych okoliczności, zatracił litery *n*, *u*, i *t* i zamienił takowe na *m*, *o*, *w*.

Panu na imię było Karol, pani — Karolina i ztąd to pochodziły owe «Lolo» i «Loli», któremi się małżeństwo wabiło. Nieraz gdy pan Mimowoli zajęty był na stronie studenckiej dyktowaniem Telemaka, a na drugiej stronie dźwięcznie, srebrzyście, ozwało się «Lolo», natychmiast przerywał dyktowanie, zrywał się, spieszył i zanim doszedł do żony, słyhać go było:

— Co, Loli!... co, moje życie!..

Z tego wszystkiego pokazuje się, że dwoje tych ludzi, żyło ze sobą, jak dwoje tych gołąbków, o których pisze J. U. Niemcewicz, że:

Jeden się zwał Bezendech, Nemezendech drugi,
W jedném jadły korytku, z jednéj piły strugi...

Pytanie: czy Loli Lolowi nie mąciła wody w strudze?
—Nie wiem... Pan Gromkiewicz, któremu—powiedzmy na-
wiasem — w klasie czwartej dwadzieścia trzy lat się
skończyło, utrzymywał, że:

— Ta dama światła i dobra, jakich mało, bardzo ła-
skawa i prawdziwie wyższa kobieta...

Wypada jeszcze o panu Gromkiewiczu kilka słów po-
wiedzieć. Wiemy już, że był porządnym, wiemy, że mie-
wał wynalazcze pomysły, ale nie wiemy, że mu na imię
było Gustaw (co ma swoje znaczenie) i że w powierzchow-
ności jego, krzepkiej i zdrowej, było coś, co powiadało, że
go nigdy głowa boleć nie może. Instruktorem był dobrym:
dobrze przerabiał matematykę i geografję, i pilnie prze-
słuchiwał uczniów lekcyj a i sam uczył się nieźle, bo
zwykle bywał w klasie jeżeli nie piątym, to czwartym.
Dla czego w dwudziestym trzecim roku życia znalazł się
w klasie czwartej, to nie z jego pochodziło winy. Nauczycie-
ciele bardzo byli z niego kontenci: on bowiem był jednym
z tych co to ślepą w nich pokładają wiarę. Ideałem
jego życia było zostać starszym nauczycielem w gimna-
zyum jakiegokolwiek przedmiotu — byle nauczycielem, i
dla tego uczył się pilnie wszystkiego, niedozwalając so-
bie żadnych postronnych dystrakcyj. I dla tego także
przykładał się do francuzczyzny, i słuchał ciekawie roz-
prawiań pana Mimowolego o Rassynie, Boileau, Corneillu,
Bossuecie. Ale ile razy ten zaczął mówić o Krasickim,
lub Naruszewiczu, zasiadał natychmiast przy swoim
stoliczku i brał Kajdanowa do ręki. Jego zdaniem, pan
Mimowoli mówił czasem bardzo rozumnie i pięknie, a cza-
sami gadał głupstwa...

— Cóż po tém mnie albo uczniom!.. — powiadał—
czyż o to pytają na egzaminie!..

Warto go było posłuchać, kiedy deklamował odę *Bóg* (Dzierżawina), albo: *Na śmierć Księcia Mszczerskiego*, (nie pomnę czyje, podobno Łomonosowa). Z jakim przyciskiem wymawiał każdy wyraz, jak podnosił i zniżał głos, jak się upajał rozkoszą deklamacyi... Z tego można sądzić o jego głowie i smaku. Powiedziano mu w klassie, że to piękne i on się zachwycił i uwierzył, że to poezya; i pomimo swoich dwudziestu trzech lat, nie domyślił się, że to nie poezya, ale tylko zwierszowanie komplementów, ciągnących się przez kilkanaście ukutych strof. Raz mu to był powiedział Jaś, kiedy on był w szóstój, a Jaś w 3ciej klassie. O jakże się zgorszył!...

Cóż ty mi gadasz, zawołał, cóż to nie słyszałeś co mówi C.....?!

Dla pana Gromkiewicza nie podzielać zdania nauczyciela było taką zbrodnią, takim grzechem, o którym samo pomyślenie napełniłoby go przerażeniem. To też nie tak nie karecił w dzieciach, jak objawianie własnych zdań, i nie go tak nie dziwiło, jak niespodziane usłyszenie jakiejś kwestyi, dla której w przepisanych dla szkół książkach nie można było znaleźć rozwiązania. Jeszczeż jeżeli to była kwestya naukowa, to pocieszał się nadzieją dowiedzenia się o niej w uniwersytecie: bo ani mógł przypuścić, aby gimnazyum i uniwersytet nie wyczerpywały wszelkich ludzkich wątpliwości. Ale jeżeli wątpliwość nie zdawała się mu wchodzić w sferę naukową, to tylko wzruszał ramionami, odnosił ją do kategorii szarad, albo pytał się: z kąd się ona mogła wziąć?.. Miał więc racją pan Mimowoli, mówiąc, że pan Gromkiewicz zajdzie

daleko; miała racją pani Loli, że przewidziała to od samego początku; miał racją i pan Gustaw, że mu o nic innego, tylko o nauczycielstwo w przyszłości nie chodziło... Taką miarą mierzył, jaką chciał żeby i jemu odmierzone. I szedł spokojnie i wytrwale z klasy do klasy, z oprawnemi porządnie książkami pod pachą, z ufnością w sumieniu, z scyzorykiem w kieszeni, nie oglądając się ani na prawo ani na lewo, nie mierząc drogi za sobą ani przed sobą, pewny, że jeżeli tak będzie iść, to żadnej nie spotka przeszkody, któraby go do celu nie dopuściła. Chyba śmierć!.. ale ta była nieprawdopodobną. Dwadzieścia trzy lat, zdrowie czerstwe, umysł czysty, sumienie bezpieczne, odpędzały wszelkie przypuszczenie wczesnej śmierci; której tak się nie spodziewał, że zawczasu formował sobie kolekcję swoich sexternów gimnazjalnych i z góry cieszył się uciechą, jaką na starość sprawią mu wspomnienia. Był to więc uczeń bardzo dobry, instruktor doskonały, młodzieniec bardzo przyzwoity i z pewnością nie miał w życiu takiej chwili jak Jaś — chwili uroczystych ducha zaręczyn.

Kiedy chłopcy powstawali i poubierali się, pan Gromkiewicz podzielił ich na klasy i poprzecznał miejsca przy stole.

— Tu, ztąd dotąd — mówił — pierwszo-klasnicy, tu drugo-klasnicy, a tu trzecio-klasnicy. Pamiętajcie, aby każdy pilnował swego miejsca.

Potem zakomenderował do pacierza. Każdy ukląkł na swoim miejscu, a Jaś otrzymał rozkaz odmówić pacierz w głos, dla tego, że znalazło się, iż w alfabetycznym porządku jego nazwisko rozpoczynało kolęj.

Następnie, z rozkładu lekcji, przepisane porządnie

i przybitego nad jego stoliczkiem, odczytał przedmioty, jakie dnia tego, przed obiadem, na każdą przypadały klasę, i oznajmił, w jakie kto zaopatrzyć się ma książki i sexterny.

Potem nastąpiło śniadanie, a wkrótce po śniadaniu dał się słyszeć dzwonek.

— Dzwonią do klasy!..—zawołał—wychodźcie...

I wyprowadził chłopaków na ulicę. Na ulicy ustawił ich w ordynek po parze, mniejszych z przodu, słusznieszych z tyłu, opatrzył i ruszył, idąc sam z boku przestrzegając porządku. I tak zaprowadził ich aż na korytarz gimnazjalny; nie odstępując, poki nie widział jak każdy udał się do swojej klasy.

Dziwne wrażenie robi na chłopcu pierwsze przestąpienie progu szkolnego. Na zdanie sprawy z tego wyrażenia jeden tylko w naszym języku właściwy posiadamy wyraz; tym wyrazem jest: *zglupieć*. Nie trzeba go jednakże brać w literalnym znaczeniu, bo w takim razie należałoby z daleka progi szkolne omijać. «Zglupiał» nie znaczy że doprawdy zgłupiał, ale że w części zapominał się, w części osłupiał, w części się zdziwił, zdumiał, nawet zląkł. Pomiędzy *zglupieć* a *zglupieć* wielka zachodzi różnica. Pierwsze przemija, jak strach; drugie pozostaje przyplastrowane do mózgu człowieka. Jest więc różnica psychologiczna ogromna, ale gramatycznej nie ma żadnej. Ten sam akcent, takie samo czasowanie i rząd. Nie śmiałem przeto powiedzieć bez ogródki, że Jaś zgłupiał z obawy, aby kto nie pomyślał, że on zgłupiał.

Postąpił kilka kroków od progu, stanął i począł oglądać się. Widział na prawo i lewo ławki, wznoszące się

coraz wyżej, zapełnione uczniami, a na prost wznosił się na stopniach pulpit, w którym domyślał się katedry. Klasę napełniał gwar, podobny do tego, jaki pszczoły w ulu sprawiają. Po środku klasy przechadzał się jakiś poważny jegomość, w czarnym surducie, i grzmiącym głosem odzywał się od czasu do czasu.

— Cicho!.. błazny!..

Jaś wahał się jeszcze, gdy jegomość ów zawołał na niego:

— Czegóż stoisz jak bałwan!.. siadaj!..

Chłopak dopadł najbliższej ławki i usiadł.

Wkrótce potem dał się słyszeć dzwonek.

Gwar w klasie ucichł raptem, jakby się urwał, i nastąpiła chwila takiej ciszy, jak zawieszenie tchu w oczekiwaniu. Jegomość w czarnym surducie podszedł ku drzwiom, a usłyszawszy za niemi odgłos zbliżających się na korytarzu kroków, otworzył je, i wszedł inny jegomość, w granatowym, z błyszczącymi guzikami i z szafirowym kołnierzem fraku.

Za ukazaniem się tego ostatniego uczniowie zerwali się na nogi. Po zerwaniu się tem można było rozpoznać, że ten co wszedł jest nauczycielem, czyli jak jeszcze podówczas po staremu mówiono profesorem, professor podszedł do katedry. Jeden z uczniów odmówił modlitwę. Professor usiadł i— rozpoczęła się lekcya.

Zadałbym sobie a bardziej czytelnikom nie lada ćwiczenie, gdybym się wdał w opisy lekcji, w opowiadanie wykładów i w charakteryzowanie profesorów. Wypadłoby z tego wielorakie może zło, dla wielu stron, którego *nolens volens* musiałbym dotknąć. Musiałbym się bo-

wiem poskarżyć. Bo, niestety!—wyznać należy—że wyjąwszy takich Gromkiewiczów, nikt zresztą nie wyniósł ze szkół wspomnień rozkosznych, ozłoconych urokiem pierwocin młodości. Przeżyło się kilka najpiękniejszych lat, przepchało się najdroższy czas—ot tak—byle prędej do końca... Byle dorwać się do siódmej klasy i wysunąć w świat, bo tam, za siódmą klasą, zdawało się, że musi być szerzej, że tam dopiero, nie suche, zimne formuły i i prawidła, nie monotonne, abecadlane wiadomości, ale ciepła jakaś, jasna, piękna i wysoka zaświeci idea, która podniesie, ogrzeje i ożywi. Już to winą wieku naszego, winą nas wszystkich w ogólności, winą—nie wiem zresztą czyją: może rodziców naszych—tej idei brakowało szkołom. I dla tego edukacyjna całość nie przedstawiała się w postaci harmonijnej jedności, lecz rozpadała się wstrętne: najprzód, na uczących i uczących się,—następnie na przedmioty,—dalej na lekcyę, fakta, dane formuły, formułki, prawidła, wiadomości i wiadomości, które lokowały się w głowie, bardzo porządnie, każda na swoim miejscu, jak żołnierze w szeregu, i bardzo nadawały się do egzaminu, ale... do niczego więcej. Gromkiewiczze wychodzili na tem doskonale. Lecz innym robiło się w głowach mętno: bo tych systematycznie i foremnie uszykowanych kategorii nie mieli do czego odnieść, ani około czego skupić. Jakowaś czczość, bezcelność, rozlana niejako w atmosferze, maskowała się egzaminem. Uczono się dla egzaminu, egzaminowano dla promocyi, i ostatecznie promocyja świeciła jako pochodnia w pochodzie życia. Nazwijmy to chorobą naszego wieku i szukajmy doktora, któryby zaczął nas leczyć od dzieciństwa, byle nie środkami na rozwolnienie, byle nie plastrami na ściąganie humorów.

Owóż, w takich to warunkach znalazł się nasz Jaś,

na początku jedenastego roku swego życia: na stancyi, pod wpływem Mimowolich i Gromkiewicza, w klassie pod gradem wiadomości, a w sobie samym pod opieką ojcowej opatrności. Z pod potrójnego tego działania, w którym dwie pierwsze części zlewały się mniej więcej w jedną, a trzecia stawała osobno, trzeba było wyjść... człowiekiem: oto jakie zadanie narzuciło się Jasiowi, a narzuciło w taki sposób, że on je przeczuwał, ale jasnej wiedzy jeszcze o nióm nie miał. Zobaczmyż, jak on sobie radził.

W pierwszej klassie, zdawało się, że chłopak zaparł się sam siebie, albo że się przyczał, tak przypiął się do książki. Z początku spróbował po bryneńsku obchodzić się z lekcyami: gdy go professor *wyrwał* 1), nie recytował, ale opowiadał. Lecz gdy został następującym skarcony sposobem:

Cóż to ty smarkaczu!.. pleciesz jak w gorączce!.. Czy myślisz że mnie oszukasz?.. Czy nie widzisz, że przedemną leży książka?.. Jeżeliś się nie nauczył lekcyi to przyznaj! się żeś osieł, a nie wykręcaj się głupiem pleceniem... Idź klęczyć!.. a na drugi raz dostaniesz różgą!.. Nie oszukuj professorów.

Jaś odkłęczał i potem już co do słowa recytował, pomimo, że dosłowne wyuczanie się nie bez trudności mu przychodziło. Uzałił się on na to przed Gromkiewiczem a ten mu tak tę rzecz wytłómaczył:

— Swojami słowami to tylko dla siebie możesz umieć, ale dla profesora potrzeba tak, jak w książce.. Bo i od czegoż byłyby książki!.. Jeżeli się podług książki nau-

1) Techniczne wyrażenie, znaczy: zapytał o lekcyę.

czysz, to lepiej jak swojemi słowami. Musieli być rozumniejszymi od ciebie ci co pisali dzieła elementarne dla szkół przeznaczone inaczej nieprzeznaczono-by ich. Ma więc rację professor. Najlepiej zrobisz, jeżeli go posłuchasz i będziesz recytował, co do słowa... Ucz się i słuchaj, to dobrze na tem wyjdiesz...

Jaś posłuchał rady instruktora i dobrze na tem wyszedł: bo pomiędzy stu z górą uczniami, którzy podczas klasy pierwszej napełniali, został pierwszym. Professorowie go polubili. Sypnęły się na niego pochwały. Z każdego-przedmiotu został audytorem. Cenzorowie go poważali. Pan Mimowoli nim się chlubił. Pan Gromkiewicz częściej jak innym udzielał mu niedojadków ze swęj *extra*-porcyi. Nawet kalafaktor mu się kłaniał. A-gdy po egzaminie nastął akt uroczysty rozdawnictwa nagród, najpierwsza nagroda jemu się dostała, i na świadectwie z'góry na dół jeden wyraz celujący powtórzył się tyle razy, ile było przedmiotów.

Z aktu uroczystego, z pewnym rodzajem zawrotu w głowie, z książką pochwalną i świadectwem w ręku, biegł Jaś na stancję, gdzie oczekiwał na niego Daniło z zaprzężoną bryczką.

— Patrzaj!...— wołał młody laureat, pokazując furmanowi czerwono oprawną książkę.

— Co to?...—zapytał Daniło.

— Pochwalna książka!.. jestem pierwszym uczniem!..

— To dobrze...— odparł furman obojętnie i chciał coś dodać, gdy dał się słyszeć głos pani Mimowolowej:

— Jasiu!.. Jasiu!.. chodźże!.. zjedz śniadanie na drogę!..

Śniadanie jadł Jaś nie na stronie studenckiej, ale z państwem Mimowolim, którzy go chwalili bez miary i zachęcali, i wystawiali, jaką to radość sprawi ojcu.

Jaś cieszył się radością ojca. Lecz jakże się zdziwił, gdy Chorąży obojętnie, obojętniej jak Daniło, przyjął wiadomość o pierwszeństwie i książce pochwalnej.

— Twoim obowiązkiem—rzekł—jest uczyć się, na to aby stać się pożytecznym ludziom... Do tego jeszcze daleko... Zobaczemy później...

Pochwalił się Jaś przed Hryhorem.

— To nie o to chodzi,—powiedział stary gumienny —czy ty dostał książkę pochwalną, ale o to, czy ty co umiesz?.. Zobaczemy później.

Ciotka, która: powitała go z najżywszem uniesieniem radości, wieść o pochwałach zbyła także ni tak ni owak.

Jaś więc schował książkę i świadectwa i nie chwalił się już przed nikim.

Nie będę opisywał jak go przyjęto w Hrynenkach. Przyjazd jego był zawsze niecierpliwie przez wszystkich wyglądanym i każdy z Hryneneczan ciekawym był dowiedzieć się o ile i w jakiej mierze on się zmienił i postąpił. Po trzy razy w ciągu roku — na Boże narodzenie, Wlełkanoc i wakacye — przyjeżdżał Jaś do domu ojcowskiego, i za każdym razem baby chórem powtarzały:

— O Bożeż mój!.. jakże on rośnie! jak na drożdżach!.. a jak pięknieje!.. a jak mu włosy ciemnieją!..

Mężczyznom zaś, poważniej rzeczy biorącym, chodziło głównie o to, czy nie nabrał jakich narowów. Więc nie nie mówili, gdy przyjeżdżał; ale gdy odjechał, zgadzali się powszechnie, że:

— Jakoś go Bóg strzeże...

Bo on nie przywoził z sobą takich wyobrażeń, któreby wstrętnemi wydawały się hryneńskiej gromadzie. Stawał w niej jak pomiędzy swoimi, jak w rodzinie, jak dobry edukowany syn chłopski, nie wstydzący się rodziców w siermiędze. I było to jego własną zasługą; nie brakło bowiem pokus bardzo ponętnych, które go gwałtem prawie strącały na drogę wyłączości społecznej, podniesienia się nad gmin, uznania się «paniczem». Widział w szkołach pełno odcieni. Ci co stali u Mimowolego, z góry patrzyli na tych co stali u Bajbuza, a zazdrościli tym co stali u Dyrektora. Cieńsze sukno na mundurku, było tytułem, a tytuły ojców nadawały stanowczą wyższość. Pomędzy dziećmi wydzielala się wyraźnie arystokracja od demokracji, a ta ostatnia, jako szlachecka, o całe niebo wyżej się niósła nad motłochem chłopskim, który gdzieś za sobą po wioskach zostawiła. Ekonomowie byli arystokracją względem chłopów, a demokracją względem prezesowiczów, marszałkowiczów, sędziców. A jeżeli się przypadkiem jaki hrabicz trafił, to był znacznym jak tłusta plama na suknie. Stany niby równały się w klassie, ale tylko pozornie, dla tego, że żaden nie przechodził szkoły hryneńskiej. Nie wyniósł więc z domu pojęcia o obowiązkach społecznych, a tylko nasiąkł wyobrażeniami o prawach i przywilejach, w których coraz mocniej utwierdzał się w szkołach, postrzegłszy, że każdemu z kolegów o nie chodzi, że każdy odwołuje się to na mamę, to na papę, to na mundnrek, to na stancję, to nawet na powóz, jakim do niego mama w odwiedziny przyjeżdża. Najwyraźniej jednak odróżniały się dwa rodzaje społeczne—dziedziców, zwanych paniczami, i niedziedziców—wkluczające w siebie rozmaite podrodzaje i odcienia.

Jaś z ojca miał wioskę; był dziedzicem; należał więc z prawa do arystokracji szkolnej. Był przytém pierwszym uczniem; podnosił się więc podwójnie. Papy przeto i mamy paniczów, troskliwe o dobre dla synków towarzystwo, dowiadując się, że młody Jeż uczy się dobrze, radziły im wdawać się z nim. Panicze tedy garnęli się do Jasia.

Ale cóż! — kiedyż on był straszliwy prostak... Gdy mówił, to często gęsto odezwał się po chłopsku; gdy się pogniewał, to nieraz jak załajał w sto czortów i w siedm żeber, to aż w piętach postygało, albo gdy dał szturchańca, który nazywał *sztusakiem*, to aż dechy zabiło; gdy się bawił, to najulubieńszą jego zabawą były: *hytki*, *byczok*, *baranec* lub tym podobne.

— Mamo—mówili panicze—ten nasz pierwszy uczeń taki jest nieprzyzwoity, zupełnie jak chłopskie dziecko...

— To nie wdawaj się z nim, moje dziecko...— odpowiadały matki.

I zformowała się z razu około Jasia próżnia towarzyska, bo nawet i ekonomezuki stronili od niego, gdyż i dla nich był on za zbyt chłopem. Ojcowie, którzy znali Chorążego, wrzuszali ramionami i mówili:

— Co ten stary dziwak myśli sobie!.. Na syna nawet, na własne dziecko, względu nie ma!.. Wychował go chyba na pastuszka do świń!..

Państwo Mimowolowie strofowali i karali naszego bohaterę. Często, kiedy inne dzieci bawiły się on klęczał, lub wokabul się uczył. A nieraz samemu panu Mimowolemu tak ostro się postawił, że gdyby nie celujące w naukach postępy, nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż rada

Ducha świętego byłaby do niego zastosowywaną. Raz było z nim bardzo kręto. Nazwał panią Mimowolowę indyczką. I usilnemu tylko wstawieniu się Gromkiewicza winien był, że uszło mu to na sucho. Państwo Mimowolowie pisali o tem do Chorążego, który w ten sposób skarcił syna:

— «Piszą mi, że nieprzyzwoicie obchodzisz się z kolegami... Trzeba ich dobrze traktować... Słyszałeś o tem przysłowiu: — wlaższy między wrony, krakaj jak i one... Trzeba starać się zastosować do towarzystwa i nie zrażać ludzi niepotrzebnie... To głupio... Tylko w takim razie masz prawo nie uleść wymagalnościom towarzystwa, jeżeliby żądano, od ciebie spodlenia się... Grzeczność jest tanią monetą, której nie należy skąpić... Nie bądź rozrzutnym, nie wyrzucaj jej przez okno, ale nie skąp...»

Jasiowi przykreść sprawiło odosobnienie towarzyskie w jakim znalazł się w szkołach. Chodził jak dzik pojedynk i tylko kły pokazywał. Lecz za to za każdym przyjazdem do domu z rozkoszą rzucał się na łono towarzystwa hryneńskiego. Dla wiejskich swoich rówienników był on zawsze rówiennikiem — mędrszym, ogłaskanym polem, woniejącym, że tak rzekę, wonią wielkiego świata, ale zawsze swoim. On im się udzielał, i pomimo że w szkołach uchodził za nieokrzesanego prostaka, do Hryneuk jednakże przywoził zawsze coś takiego, co nie koniecznie było prostaczem, co się zaszczępiało pomiędzy młodzieżą wiejską i przyjmowało jak moda. Tu był wzorem, tam budził wstręt.

Ta dwoistość stosunków towarzyskich ciążyła mu. Z niesmakiem jechał do Niemirowa, gdzie go czekały pochwały nauczycieli, i krzywe patrzeć się kolegów

Na dobitek złego, pochwały postawiły go w położeniu fałszywem: wystawiły go bowiem w oczach kolegów, jako takiego, którego trzeba wystrzegać się. Obijało się to o jego uszy. Ale Jaś jeszcze nie rozumiał tego przyczyny. Aż raptem odkryła się przed nim, gdy razu pewnego posądzonym został o doniesienie jakiegoś zbytku, za który kilku «z dobrych chłopców» dostało potężne ćwiczenie.

— To ty oskarżyłeś nas! — powiedział mu wręcz w oczy jeden z odważniejszych.

— Ja?! — zawołał Jaś i ponsował od uderzenia krwi do głowy — Ja?!... *breszesz* jak sobaka!!

A nie mogąc pohamować oburzenia, które w nim niesłuszne podejrzenie wywołało, poskoczył ku śmiałemu koledze, porwał go za piersi i uderzył. Kolega mu oddał. Wszczęła się bójka, w której wzięło udział ze dwudziestu chłopaków, a wszyscy stanęli po stronie tego, co odważył się niebezpiecznemu Jasiowi powiedzieć w oczy, że ich zaskarżył.

Z całą długo tłumioną zemstą, która w sercach dziecinnych naiwnie, ale bardzo silnie się rozwija, uderzyli oni na niego Jaś bronił się z rozpaczą, lecz uległ przemocy: upadł, wysilony szarpaniem się, obdarty, podrapany i poznaczony sińcami na ciele i twarzy.

Chłopaki pierzchły, ujrzawszy nieprzyjaciela w takim stanie, trwoga surowej kary zawisała nad niemi, jak miecz Damoklesa. Nie jeden z góry już płakał. A że to się stało w przestanku między dwiema lekcyami, kiedy jeden professor wyszedł a drugi jeszcze nie przyszedł, w miejscu odosobnionem, do którego wybiegają uczniowie podczas między-lekcyi, przeto napastnicy Jasia, zbiegli-

szy się do klasy, z drżeniem spoglądali na drzwi, spodziewając się lada chwili ukazania się Jasia, w towarzystwie inspektora i całej władzy szkolnej.

Drzwi się otworzyły i wszedł professor. Jasia nie było. Professora uderzyła zaraz nieobecność, pierwszego ucznia, więc spytał:

— Gdzie Jan Jeź?..

Ten co siedział obok Jasia i nie wiedział o wypadku, odpowiedział:

— Był na poprzedniej lekcji... wyszedł na dwór... zaraz przyjdzie...

Lecz Jaś nie przychodził. Winowajcy pocierpli ze strachu. Kilku z nich wyrwał professor, odpowiadali nieprzytomnie, bo lekcya wywietrzała im raptem z pamięci. Strach był wielki. Ale godzina jakoś mijała, a ani pobity, ani mściciele jego nie przychodzili.

Przy końcu lekcji wpadł do klasy dyrektor. Po minie jego znać było, że w groźnym był usposobieniu.

— Kto pobił Jana Jeża?.. — zawołał.

Odpowiedziała mu głucha cisza.

— Kto pobił Jana Jeża?.. — powtórzył, i szukał w tłumie oczyma. Lecz krótki wzrok M....skiego nie dozwolił mu dojrzyć śmiertelnej bladości, jaką okryły się lica winowajców.

— Cóż! czy nikt się nie przyzna?

Nikt się nie przyznał. Napróżno dyrektor obiecał zmniejszenie kary i zagroził, że będzie pasy dał, jeżeli przyjdzie do odkrycia winowajców inną drogą, nie ich własnego, dobrowolnego wyznania. Winowajcy milczeli. Powoli jednak ochłonęli z pierwszego przestachu; ale nie mogli zrozumieć, co to się stało!.. Dla profesora było to dziwną nowiną.

— Co spotkało Jeża?..— zapytał dyrektora.

— Zbito go do pół— śmierci... odparł M.....ski— Stróże znaleźli go na podwórzu szkolném... Nie mógł iść... Odesłałem go do domu i powierzyłem staraniom lekarza..

— Toć on sam powinien wiedzieć najlepiej kto go pobił...— zauważał professor.

— Zapewne!..— odparł dyrektor— ale trudno u niego dopytać się... Płacze... Powiada, że posadzono go o skarzenie... i nie więcej...

Professor dopomógł dyrektorowi w śledzeniu winowajców. Przekładał, że tajemie winy w dziesięćnasób ją powiększa. Nie nie pomogło. Winowajcom zabłysła słaba nadzieja uniknięcia kary. Więc pozostali przy niej.

— Ja dowiem się, o! dowiem!..— krzyknął M.....ski.— Ale biada wam!..

Jaś był w smutnym stanie. Leżał w łóżku, obłożony zimną wodą; oczy miał popodbijane, na głowie guzy, na twarzy sińce i ślady podrapań do krwi; ale najbardziej mu dokuczyło parę, jak mówił, sztusaków, które pod bok dostał.

Woda jednakże zimna i młoda krew prędko go uzdrowiły. Na czwarty dzień już był w klassie. Winowajcy spoglądali na niego z trwogą z daleka i zdawało się im, że jakoś źle patrzy mu z oczu. Strach różgi znów im do serc zawitał.

Przyjście Jasia do klasy stało się hasłem rozpoczęcia śledztwa na nowo. M.....ski wpadł, groźniejszy jak poprzednio, i pierwszemi jego słowy było:

— Kto pobił Jana Jeża?..

Jak poprzednio, głuche odpowiedziało mu milczenie.

— Kto ciebie pobił?..— zapytał dyrektor Jasia.

— Nie wiem...— odpowiedział zapytany.

— Kłamiesz!..— krzyknął M.....ski.

Jaś milczał.

— Kto ciebie pobił?..

Jaś milczał.

— Cóż to, nie będziesz ty odpowiadał?..— z najżywszą niecierpliwością zawołał dyrektor.— Kto ciebie pobił?..

— Nie wiem...— odparł chłopak.

— Kłamiesz!.. kłamiesz!.. kłamco!.. smarkaczu!.. brudasie!.. *saligót!*.. parszywa owco!..— trzepał w złości M.....ski, i porwał Jasia za rękę, i wywłókł go na środek klasy.

— Ty wiesz!.. nie kłam!.. mów, kto ciebie pobił?..

Jasiowi łzy stanęły w oczach; spojrział po kolegach; spotkał się oczami z wzrokiem tych, którzy go niegodnie posadzili, i przerywając sobie łkaniem tłumionego płaczu, głośno powiedział:

— Wiem!.. wiem!.. ale.. nie powiem!..

To było ostatnie jego zeznanie. Nad to nic już nie dało się z niego wydobyć.

M.....ski, który prędkim był z natury, wpadł w wściekłość.

— Ty musisz powiedzieć!.. ty powiesz!..— krzyczał— i wywlekając z ławek uczuiów na oslep, stawiał ich przed Janem i pytał:

— Ten?..

— Nie powiem!..— powtarzał Jaś.

— Ależ, osle!..— przerwał M.....ski.— Czy ty wiesz że oni właśnie ciebie o skarżenie posadzili... I w dodatku potłukli... I jeszcze się kryją!.. Ty im w oczy

powiedz swoją krzywdę!.. jak człowiek uczciwy, głośno i otwarcie!.. Pozwalam ci prosić za nimi!.. Powiedz, kto cię bił?..

— Nie powiem..— odparł chłopak.

— Nie powiesz?..— Zobaczmy, czy nie powiesz!..— krzyknął dyrektor.— To upor!.. na upor, upor!.. Przelamię ja go!..

I zawołał na stróżów i kalafaktora. Przywiesiono stołek i różgi.

M.....ski przeszedł się po klasie, jakby dla uspokojenia wewnętrznego wzruszenia. Ale widać było po nim, że zaciekł się.

— Powiesz?..— zapytał przytłumionym głosem, zatrzymując się przed Jasiem.

Chłopak milczał.

— Rozbierzcie go!..

Stróże w mgnieniu oka przysposobili Jasia do operacyi i na skinienie M.....skiego wyciągnęli go jak lisa. Kalafaktor stanął z lewej strony i splunął sobie w dłoń, w której trzymał groźne brzozone narzędzie.

— Powiesz?..

Jaś milczał.

M.....ski skinął. Różga świsnęła. I dało się słyszeć smaganie giętkich prętów po nagim ciele; ale nic więcej. W klasie była cisza grobowa. Jaś zaciął zęby.

Nie jeden z winowajców po kilkakrotnie zbierał się już przyznać. Lecz groźba była tak wielką, że każdy zamarł prawie ze strachu, obezwładniał na miejscu i nie tylko przemówić, ale ledwo zdołał oddychać.

Dziesięć razy powtórzyło się smaganie i tylko parę razy jęknął Jaś z bólu. Ale nic nie powiedział. Po

ławkach ozwały się płacze. Na twarzy dyrektora wyraz zapamiętałego gniewu ustąpił raptem miejsca innemu jakiemuś wyrazowi, jakiegoś serdecznego wzruszenia, równie jak gniew silnego, ale wprost przeciwnego. Skinął na stróżów i kalafaktora.

— Ubierzcie go!..— zawołał.

I szybko wyszedł z klasy, a we drzwiach słychać było, jak mu się wyrwały wyrazy:

— Żelazo!.. ten się nie złamie!.. Zahartował go ten stary!..

Wypadek ten pewnym rodzajem skruchy przejął kolegów Jasia, a szczególnie tych, którzy go wywołali. W dziecinnej ich wyobraźni Jaś od razu wyrósł na bohatera, w jednej chwili z podejrzanego i niebezpiecznego, został »tęgim chłopcem.« Być pierwszym uczniem, być w łaskach u dyrektora i wszystkich professorów, zostać niesłusznie pokrzywdzonym, i za własną krzywdę, zamiast przyjąć łatwą zemstę, która się sama napraszała, odrzucić zemstę a narazić się nie tylko na utratę łaski przełożonych, ale dostać publicznie w skórę— wydało się im takim heroizmem, że się nim dość zachwycić nie mogli. Winowajcy szczególnie czuli się upokorzonymi, i to tak głęboko, że nie śmieli go przeproszać, nie śmieli oczu podnieść na niego. Starali się więc trafić do Jasia sposobem pośrednim. Sprobowali ująć go datkiem, który taki cudowny wpływ wywiera na audytorów. Więc ofiarowali mu przez trzecie osoby, ten piernik, ów pierożek, inny scyzoryk, inni szkatułeczkę. Jaś odepchnął to wszystko z pogardą.

— Ja im dam!..— odgrażał się.

Bo nie odrzucił on zemsty. Obraza zanadto go do-

tknęła i t \acute{e} m jeszcze silniej, gdy, dowiedziawszy si \acute{e} od M....skiego o przypisywanej sobie winie zmierzył ca \acute{y} j \acute{e} y ogrom.

— Ja im dam!..— powtarzał.

Ale nie wiedział jak wyrz \acute{e} c zemst \acute{e} .

— Zabić!..— Kr \acute{e} ci \acute{o} mu si \acute{e} po g $\acute{o$ wie.

Zabić jednak \acute{z} e wyda \acute{o} mu si \acute{e} za ma \acute{o} .

Razu pewnego, podczas rekreacji, kiedy Jaś w \acute{l} asnie myśla \acute{l} o sw \acute{e} j krzywdzie, stan \acute{a} ł przed nim rapt \acute{e} m jeden z g $\acute{o$ wnych sprawc \acute{o} w jego nieszczęścia, i rzek \acute{l} :

— Jasiu!.. bij mnie,.. zabij... zr \acute{o} b ze mn \acute{a} co chcesz... ka \acute{z} mi robić co si \acute{e} tobie podoba... tylko niech ja wiem, \acute{z} e si \acute{e} kiedyś przestaniesz na mnie gniewać...

Jaś drgn \acute{a} ł i zgrzytn \acute{a} ł z \acute{e} bami. Ale wyraz twarzy mówiącego by \acute{l} taki proszący i szczer \acute{y} , \acute{z} e zapyta \acute{l} go:

— Czego \acute{z} chcesz odemnie?..

— \acute{Z} ebyś mnie ukara \acute{l} , Jasiu... bo nie śmiem ciebie przepraszać... Ty mi nie mo \acute{z} esz przebaczyć...

— Czemu nie!..— wyrwa \acute{o} si \acute{e} przez p \acute{o} ł rozbrojone-
mu ju \acute{z} Jasiowi.

Koledze l \acute{z} ą napełni \acute{o} si \acute{e} oko. Jaś wyciągn \acute{a} ł do niego r \acute{e} k \acute{e} , i zemsta spad \acute{l} a mu z serca, ust \acute{e} pując miejsc \acute{a} rozkoszy przebaczenia.

Koleg \acute{a} tym by \acute{l} niejaki Henryk Otocki.

Po nim i inni zbli \acute{z} ali si \acute{e} do Jasia, i ta pr \acute{o} źnia początkowa, to zaczarowane ko \acute{o} , kt $\acute{o$ re z daleka otacza \acute{o} bohatera naszego, p \acute{e} k \acute{l} o, rozwia \acute{l} o si \acute{e} , i Jaś ujrz \acute{a} ł si \acute{e} niespodzianie koleg \acute{a} wśród koleg \acute{o} w.

Prostackwo jego przestało razić. A jak tylko przestało razić, poczęło powoli znikać. Widząc, że nie ma amatorów do *hytek*, *byczka* i *barańcia*, bawił się w piłkę, w metę, w palanta, w kwaska i odbijankę. Postrzegłszy się, że grubiaństwo wyrażenia i sztusaki robią przykrość, przestał ich używać, i tylko w nadzwyczajnym wypadku uciekał się do nich niekiedy. Bez zaparcia się samego siebie, zastosował się do wymagalności towarzyskich, w taki mniej więcej sposób, w jaki rozumny wędrowiec zastosowuje się do zwyczajów obcego kraju: w Paryżu np. mówi, stroi się i żyje po francuzku; lecz przemów przy nim po polsku, lub zakadź mu zrazami, natychmiast odezwie się w nim żyłka polska. Tak i w Jasiu hryneńskie chłopstwo odzywało się przy każdej okazji, i z całą łatwością przychodziło mu wdziwać i zrzucać polerowaną skorupę. W Hrynenkach, jego pierwotni rówieśnicy otaczali go, słuchali i poważali. W Niemirowie, jego koledzy otaczali go, słuchali i poważali.

Postać jego opromienił jakiś rodzaj wyższości, z którą przeszedł drugą, trzecią, czwartą i wszystkie następne klasy, i zajęła niechęć takie stanowisko, że nadawała ton i w pewnej mierze stroiła, wypełniała życie szkolne. Czego professorowie niedopowiedzieli lub inaczej powiedzieli z katedry, to on odgadł i poprawił, niewyczerpany zapas ku temu znajdując w tém, czego nauczył się w Hrynenkach i od ojca. Stał się więc w pewnym stopniu nauczycielem, chociaż tego ani znać było po nim, bo nie a nie nie miał w sobie pedanteryi, przywiązującej się zwykle do bardzo chwalonych dzieci. Uczył się nie zawsze jednakowo, palił z bata coraz le-

piej, siglował coraz inaczej, ale nigdy nie przestał być dobrym kolegą i nigdy koleżeństwa dla siebie nie wybierał w wybranych sferach. Dla niego wszystko było jedno, panicz, nie panicz—byle przystawał do miary jego wyobrażeń... I bywało z nim rozmaicie: bywał na górze, był i na dole;— ale o tem należy obszerniej pomówić.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	<i>Stronica.</i>
ROZDZIAŁ I.	5
— II.	37
— III.	79
— IV.	109
— V.	149
— VI.	190

SPIS ZAWIĄZKÓW

1	1
2	2
3	3
4	4
5	5
6	6
7	7
8	8
9	9
10	10
11	11
12	12



F

1245

1